

JANUSZ KORWIN-MIKKE  
U PROGU WOLNOŚCI

Z POSŁOWIEM  
STANISŁAWA MICHAŁKIEWICZA

Gdańsk 1995

## U PROGU WOLNOŚCI

Piszę te słowa do Ciebie, Obywatelu Rzeczypospolitej. Polaku-lewaku z wykształcenia, ale Polaku-prawicowcu z tradycji. Do Ciebie piszę - by wyzwolić Twą duszę zduszoną miliardami słów i obrazów narzuconych nie tylko przez partyjną prasę, radio i telewizję. Piszę - by dać Ci: Słowo. Wiesz bowiem, że w tym wszystkim jest coś nie w porządku - ale nie umiesz tego wyrazić, gdyż nowo-mowa nie posiada na to słów - a jeśli, to słowa te są złe, brudne.

Takim brudnym słowem jest „prawica”. Przyznam, że byłem zaskoczony, gdy na jakimś spotkaniu audytorium zareagowało zdziwieniem na informację, że w języku polskim słowo „lewica” jest obciążone ujemnie. Rację miał nieboszczyk dr Gebbels: wystarczy - jak z psami Pawłowa - powtórzyć dowolne słowo dostatecznie wiele razy w dodatnim kontekście - a stanie się ono dodatnie! A przecież każdy wie, że „prawy człowiek”, „wyciągnąć prawicę” - to zwroty pozytywne, natomiast „lewy facet”, „zrobić na lewo”, „zrobić lewą ręką”, „mieć dwie lewe ręce”, „lewizna” itd. - ujemne. Nasz język obronił się - a mimo to tysiące podręczników, książek, słuchowisk i filmów, gdzie człowiek lewicy jest nieodmiennie pozytywny, a prawicowiec negatywny - zrobiło swoje.

Ostatnio lewica - zarówno „awangarda klasy robotniczej”, jak i ta do niedawna podziemna - zaczęła lansować hasło: „rozdzielenie lewica - prawica - nic dziś już nie znaczy...” Oznacza to chęć kapitulacji fortecy - przy założeniu wszakże, że obrońcy po wpuszczeniu wroga nadal będą świetnie wiedzieć kto jest kto i swoich popierać - a my mamy - broń Boże - nie dostrzegać różnic.

Przegrali. Przegrali w praktyce i przegrali w teorii. Mało kto czyta szeregi uczonych słów produkowanych przez lewicę. Co więcej: skoro chcą zatrzeć różnicę, to znaczy, że wiedzą, że przegrali. Chcą nas teraz jak Almanzor: podstępem. Nic z tego. Różnice między lewicą i prawicą są jasne - i są widoczne. Jeśli istnieją Marsjanie - u nich też istnieje lewica i prawica, choć jeśli mają trzy ręce, to pewno inaczej się nazywa.

Nie raz już wyliczałem przeciwieństwa lewicy i prawicy. Nie będę się powtarzał. Nie będę też twierdził - jak czynią to niektórzy endecy - że istnieje lewicowo-socjalistyczno-żydomasońsko-inteligencki spisek, by doprowadzić do powstania Państwa Światowego, dobrotliwie rządzonego przez intelektualistów, którego prototypem jest Szwecja. Nie, drogi Czytelniku! Nie ma żadnego spisku! Prawda jest znacznie straszniejsza. Ci ludzie, gotujący nam

(i sobie) niewolę pod płaszczykiem „państwa dobrobytu” święcie wierzą, że działają dla zbawienia Ludzkości i szczęścia Jednostki. I tym są groźniejsi!

Czy to znaczy, że trzeba ich odróżnić od nas, by wypalić zakażone miejsca rozpalonym żelazem? Nie! Co więcej - twierdzą, że formacja lewicowa jest potrzebna, jest wręcz niezbędna - tak samo jak dzieci ze swą wrażliwością na krzywdę niezbędne są w każdym społeczeństwie. Twierdzą za to, że tak samo, jak nikt rozsądny nie pozwala rządzić w swoim domu dzieciom, tak samo nie wolno lewicy dopuszczać do rządów.

Tu doszliśmy do podstawowej różnicy między lewicą i prawicą. Wszystkie liczne cechy są jedynie jej konsekwencją. Lewica i prawica chcą w gruncie rzeczy tego samego: chcą dobra, chcą szczęścia, chcą zdrowia dla siebie i bliźnich. Różnica polega na tym, że lewica jest krótkowzroczna.

Lewica zachowuje się jak dziecko lub kobieta. One chcą tego dobra już, zaraz. To, że dobro tu i teraz spowoduje zło tam i potem - lewicy nie obchodzi. Jest to ciekawe: lewica dysponuje potężnymi mózgami, które powinny łatwiej niż przyziemny umysł prawicowca orlim wzrokiem dojrzeć te konsekwencje. Jednak te potężne mózgi potrafią również rozwijać wymyślne argumenty, byle oszukać samych siebie, że te konsekwencje nie zaistnieją.

Intelektualiści potrafią dokonywać celów kazuistyki, by przy pomocy najnowszych osiągnięć nauki „udowodnić” rzeczy, o których fałszywości wie każda sprzątaczką. Lewicowiec potrafi twierdzić, że jeśli w rozwój dziecka w ogóle nie ingerować - to wyrośnie nie mały neandertalczyk lecz właśnie „najlepiej rozwinięty człowiek”. Swoje dziecko oddaje przy tym do najlepszych szkół - nie wywozi np. na bezludną wyspę - i naprawdę nie widzi w tym sprzeczności!

Wielu wspaniałych naukowców było przy tym obdarzonych umysłem naiwnym jak dziecko. Albert Einstein lub lord Bertrand Russell („najmądrzejszy dureń w Anglii”) są klasycznymi przykładami. Ludzie ci - w praktyce zawodowej rozszechniający włos na czworo podpisywali dowolne apele kierując się wyłącznie uczuciem, bez kontroli rozumu. Ich następcy czynią to do dziś. Ich głosy witane są przez lewicę z aplauzem. Gdy jednak w sprawach społecznych zabierają głos nie fizycy, matematycy, filolodzy lub chemicy - lecz fachowcy, np. socjobiolodzy - już lewica gwizdże i woła: „fasyzm nie przejdzie!”. Albowiem wnioski wyciągane pod kontrolą Rozumu inne są, niż to, co swym uczuciem widzi lewica. Trudno się dziwić, że dla wielu „czucie i wiara silniej mówi” niż szkiełko i oko mędrca - ale tu widzimy coś

więcej, widzimy chłopców z Goldinga „Władcy Much”, którzy usiłują terrorem zabronić nam korzystania z Rozumu.

Tak więc, drogi Czytelniku, musisz krytycznie używać własnego Rozumu - jeśli dopuścisz, by biegł on po utartych ostatnio szlakach - zaprowadzi Cię do obozu lewicy. Może już jesteś w jego obrębie: przyjrzyj się temu gmachowi.

Oto kilka przykładów, gdzie lewica działając w imię bliskiego interesu naraża naszą przyszłość na szwank.

Zacznę od drobiazgów, ilustrujących metodę:

1) Pomoc nauce. Cóż wspanialszego! Cóż bardziej może przyczynić się do Postępu Ludzkości niż zasilenie rządowymi pieniędzmi uczonych, przebijających się ku światłu Wiedzy! Jakież postępy! A jednak... A jednak! Gdy pieniądze zamiast z funduszy własnych lub prywatnych ofiarodawców idą z kasy państwowej (lub zinstytucjonalizowanej) z wolna, z wolna, z wolna, miejsce badaczy rzeczywistości zajmują ci, co umieją zebrać o dotacje. To jest nieuniknione: ten, kto 99 proc. czasu poświęca zabiegom o otrzymanie pieniędzy uzyskuje ich więcej, niż ten, co swój czas traci na badania. Co więcej: ci, co dają pieniądze, zaczynają domagać się określonych badań - a więc to biurokraci, a nie uczeni, determinują naukę. Z wolna hochsztaplerzy zaczynają dominować - i nauka ląduje tam, gdzie jest obecnie, tj. na dnie:

Zauważ! Ci sami ludzie, którzy żałują, że została wynaleziona energia jądrowa, którzy domagają się „zerowego wzrostu” - domagają się, by państwo subsydiowało naukę w imię postępu! Nie, oni nie są wynajęci - oni nie widzą w tym sprzeczności!

2) Pomoc dla przemysłu. Budowa np. nowych miejsc pracy przez tworzenie państwowej firmy lub nawet dotowanie prywatnej. Jakież to piękne! A jednak...

A jednak pieniądze na to skądś muszą iść. Ściąga się je z tysięcy przedsiębiorstw, które wobec tego statystycznie mniej inwestują - a zatem mniej tworzą miejsc pracy. Każdy ekonomista może udowodnić, że w końcowym efekcie powstanie mniej miejsc pracy i mniejszy dochód społeczny niż gdyby rząd nie interweniował. Jednak lewicowe dziecię widzi nowy zakład pracy i tysiąc zatrudnionych robotników - nie widzi, że w tysiącu zakładach gdzieś na prowincji nie przyjęto po jednej osobie. Jeśli nawet widzi - to nie kojarzy tych dwóch faktów, tylko ochoczo bierze się za budowę tysiąca stu nowych zakładów pracy...

3) Zasiłki dla bezrobotnych! Wspaniała rzecz! Dlaczego ludzie, nie z własnej winy nie pracujący, mają głodować?

A jednak! Przyznawanie zasiłków powoduje nie tylko to, że ludzie nawykają do swej poniżającej roli. Najpierw zasiłki dawane są hojnie - powstaje więc kasta ludzi umyślnie bezrobotnych (przynajmniej formalnie, bo w rzeczywistości często biorą forszę, a pracują na lewo). Ci zawodowcy - (porównaj z naukowcami) - zaczynają z wolna wygryzać prawdziwych bezrobotnych. Na to nie ma rady: prawdziwy bezrobotny nie zdobędzie tak wspaniałych zaświadczeń jak zawodowiec.

4) Płaca minimalna. Wspaniała sprawa! Niech ludzie zarabiają godziwie!

A jednak! Pomińmy ludzi, którzy sami potrafią znaleźć sobie pracę za np. 300 zł - im ustawa o minimalnej płacy 300 zł nie jest potrzebna. Ale co zrobić z takim, który ma dwie lewe ręce - i którego za 200 zł jeszcze by wzięli ale za 300 już nie. Musi iść na zasiłek dla bezrobotnych. Wszelako dziecina z lewego autoramentu sądzi, że ten, co ma pracę za co najmniej 300 zł ma ją dzięki ustawie - a powstającego wśród upośledzonych bezrobocia nie kojarzy z ustawą o płacy minimum. Absolutnie!

(Jest gorzej! Ten, co ma pracę za 300 zł, bez ustawy miałby płacę 320 zł. Przecież z czegoś trzeba płacić zasiłek owemu stworzonemu przez lewego wujaszka bezrobotnemu. Niechby to było skromne 180 zł. Wytworzyłyby on dobra dla społeczeństwa i wyrównałyby bilans; nie pracując za 180 - czy 250 zł - sam się demoralizuje, innym nie daje nic i powiększa inflację).

5) Ubezpieczalnia! Genialny pomysł! Dlaczego chory ma być pokrzywdzony? Płaćmy mu całość lub choćby część zarobków! Jednak...

A jednak! Wiesz, Czytelniku, co, nieprawdaż? Tak jest! Jest to samo, co z naukowcami, bezrobotnymi itd. Zdrowe byki na zaświadczeniach idą robić fuchy, a prawdziwy chory ma kłopoty. Jeśli jest ciężko chory, stoi w kolejce z setkami hipochondryków (którym do głowy by nie przyszło wezwać lekarza, gdyby był on płatny) - a jeśli jest lekko chory, to nie dostanie zwolnienia. Kogoś przecież trzeba uznać za symulanta w tej lawinie zwolnień!

Przy okazji tysiące urzędników zajętych jest kontrolą lekarzy, recept i zwolnień. Oczywiście, jeśli można oszukać lub przekupić lekarza, to na pewno tym łatwiej przekupić urzędnika - sprawa jest więc beznadziejna, proszę lewicy.

To wszystko były drobiazgi. Drobiazgi??? Toż to zniszczenie moralności i mechanizmów społecznych, nie mówiąc o ekonomicznych-zakrzykniesz pewno, Czytelniku. A ja powiadam Ci: „To są naprawdę drobiazgi. Po pozbyciu się socjalizmu znikną w parę lat. Lewica zaburza nam znacznie bardziej podstawowe mechanizmy”. Takich jak te mógłbym jeszcze podawać dziesiątki.

Pomówmy teraz o sprawach naprawdę ważnych.

Lewica nieustannie narzeka, że nasza cywilizacja w swej nieznośnej pruderii posuwa się do utożsamiania wręcz moralności z moralnością seksualną. Lewica atakuje to wściekle. Znów jednak nie przychodzi jej do głowy, że akurat nasza cywilizacja jest taka - i akurat nasza cywilizacja zdominowała świat - i że między tymi faktami może być jakiś związek przyczynowy!!!

Tymczasem to właśnie pozornie nierozumne społeczeństwo jest mądrzejsze od przemądrzałych intelektualistów. Najlepszym dowodem są ostatnie sukcesy prawicy. Lewica opanowała szkoły i uniwersytety, prasę i telewizję, parlamenty i senaty, radio i kino. Tabuny feministek-lewicówek sączyły truciznę, którą wymyślały setki błyskotliwych autorów, edukacjonistów i dziennikarzy. A prawica spokojnie produkowała - dzieci. Przekazywała im swe tradycje rodzinne. I na czyje w końcu wyszło?

Społeczeństwo jest mądre. Społeczeństwo wie, że sfera seksualna jest najważniejsza. Płeć determinuje bowiem dobór naturalny. Weź, Czytelniku, dowolną książkę z tego zakresu, a przekonasz się, że nawet paroprocentowa zmiana w doborze jakiejś cechy po kilku lub kilkunastu pokoleniach całkowicie przeobraża populację. Stąd dobór ludzi w pary, sposób przekazywania cech dziedzicznych dzieciom - jest na najdłuższą metę najważniejszym czynnikiem określającym nasz byt.

Zauważ! Ten sam lewak - najlepiej niedojrzały Czerwony, czyli, Zielony - będzie bronił okolicę przed osuszeniem błot - bo paroprocentowa zmiana wilgotności może zakłócić łągi prukawki-błotniarki. I ten sam lewak beztrąsko twierdzi, że wszystko jedno, czy dzieci będą rosły w rodzinach, czy w komunach, czy kobiety będą monogamiczne, czy nie. Będzie żądał rewolucji seksualnej, rewolucji obyczajów małżeńskich... Zupełnie jak gdyby nie zakłócało to naszego środowiska naturalnego, jakim jest tradycja rodzinna!!!

Jasne, że to dziecko, które w zapale bredzi. Ale te dzieci stanowią ustawy!!! Te dzieci podejmują działania, które odbijać się będą na nas - tak, na NAS - za dwieście i więcej lat! A ludzie pozornie odpowiedzialni wzruszają ramionami: niech się dzieci bawią, ludzkość nie ma wrogów. wytrzyma różne eksperymenty. Może to i racja. Ale niech nie eksperymentują na nas!

Oto kilka konsekwencji lewicowych eksperymentów:

6) Fundusz alimentacyjny. Godny podziwu poryw serca! Dlaczego mają cierpieć dzieci nieodpowiedzialnych ojców?

A jednak! Lewica tym dzieciom pomaga. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że dzięki istnieniu systemu alimentów rodzi się dziesięć lub więcej razy dzieci równie nieszczęśliwych. Rodzi się - gdyż dziewczyny wiedzą o dobrodziejstwie alimentów i nie dbają o właściwy wybór partnera!

Jest paradoksem, że troska o wygląd ludzkości spoczywa w rękach (rękach?) mężczyzn - a troska o jej rozum w rękach kobiet. To one dobierały partnerów pod tym kątem: musi być silny, mądry i odpowiedzialny. Nieubłagana selekcja eliminowała dzieci tych kobiet, które o to nie zadbały.

Obecnie kobieta może mieć dziecko z byle kim. Jeśli jest to osobnik nie zainteresowany rodziną - będzie płacił, byleby był bogaty. Może i nawet nie być bogaty - państwo za niego alimenty wyłoży! Nie mówię, że kobiety świadomie zachodzą w ciążę z byle kim, najlepiej jednak bogatym! Skądże znowu, są to rzadkie przypadki. Po prostu mniej na to zważają. A przesunięcie o parę procent w doborze jakiejś cechy...

Gdy pytamy, skąd pijaństwo wśród młodzieży, nie zapominajmy, że pijak miewał dawniej trudności w znalezieniu żony czy metresy. Teraz ma o wiele mniejsze. Narzekamy na nieodpowiedzialność młodzieży? Jest to młodzież od nieodpowiedzialnych ojców.

Dzieci urodzone z tych związków są naprawdę nieszczęśliwe. Lewica stara się ratować tysiąc tych dzieci - a produkuje nowe dziesięć tysięcy. Nie widzi związku między tymi aktami - przeto jedyną jej reakcją jest żądanie zwiększenia alimentów, przedłużenia wieku alimentacyjnego itd.

7) Rozwody Oczywiście! Jak można w ogóle kwestionować ten humanitarny akt? W krajach bez rozwodów dziesiątki par cierpi i męczy się ze sobą - dajmy im wolność!

A jednak! Te pary uzyskują wolność. Ale co z tymi, które dopiero się tworzą? One - przynajmniej podświadomie - wiedzą, że mają furtkę - a więc będą zawierać związki bardziej lekkomyślnie. Stąd następne rozwody - ale i tragedie setek tysięcy i milionów dzieci. Nie wiesz, Czytelniku, że z zawartych w Warszawie obecnie małżeństw rozpada się średnio więcej niż co drugie? To się dowiedz! Wiedz też, że jest to wynik ustawy rozwodowej. Nie jest efektem to, że się rozwodzą - lecz to, że powstało tyle małżeństw, które rzeczywiście powinny się rozwiązać!

Można powiedzieć: sami sobie są winni. Można też wykopać dziurę w chodniku i twierdzić, że ci, co w nią wpadną sami są sobie winni - i nawet hoduje się wskutek tego rasa bystrzejszych ludzi. Tylko nie tego oczekujemy od ustawodawcy! W dodatku: co z małżonkami,

z których jedno myśli, że zawiera związek dogonny, a drugie myśli, że zawiera czasowy kontrakt?

8) Równouprawnienie kobiet w rodzinie. Wreszcie coś bezspornego. Czemu jeden człowiek ma podlegać dyktatowi drugiego?

A jednak! To jest jeden z przykładów, gdzie endeków rozgrzeszam z tego, że widzą w tym posunięciu spisek wymierzony przeciwko ludzkości przez jej wrogów. Jest tak oczywiste, że żadna organizacja mająca dwie równouprawnione głowy nie może sprawnie funkcjonować - że fakt, iż laureaci Nobla tego nie wiedzą wydaje się po prostu niewiarygodny. A jednak tak jest. Ci ludzie tak wierzą w dogmat o równouprawnieniu, że sprzecznych z nim faktów po prostu nie dostrzegają. A w dogmat wierzą, bo ludzie nauki są uczeni, że teoria im prostsza, tym lepsza; zróżnicowanie ludzi komplikuje teorię...

Obcięcie rodzinie głowy odbija się jednak - i tego lewicowa dziewczyna nie dostrzega - niekorzystnie przede wszystkim na... kobietach. Wychodzi taka za męża nie dbając za kogo, pewna, że w razie czego prawo ją obroni. Wobec tego stawia się hardo, prowokuje - aż wreszcie zdesperowany mąż nie wytrzyma i tłucze ją na kwaśne jabłko. Gdy grozi, że odwoła się do sądu, mąż spokojnie mówi, że po pierwsze wówczas połamie jej kości, a po drugie gdy pójdzie do więzienia, to ona straci na tym finansowo. I biedaczka milczy. To jest prawdziwa tragedia. Ta kobieta wpadła w pułapkę. Gdyby wiedziała, że będzie musiała być mężowi posłuszna, długo wybierałaby takiego, co do którego nabrałaby rozsądnej pewności, że jej nie skrzywdzi. I bardzo starałaby się o utrzymanie harmonii w rodzinie...

Obecnie na niesnaskach cierpią dodatkowo dzieci - o ile są. Prawdziwie odpowiedzialny mężczyzna bowiem długo zastanawia się nad spłodzeniem dziecka, nad którym potem nie ma kontroli. Nie może on zdecydować o kierunku jego kształcenia (natomiast musi za nie płacić), nie ma nad nim w zasadzie żadnej władzy. W Szwecji nawet uderzyć smarkacza nie wolno, bo grozi proces sądowy!!!

9) Emerytury. To już bezsprzeczne dobrodziejstwo wymyślone przez lewicę. Każdy płaci składkę - a nawet jeśli nie, to w Szwecji i tak o starość troszczyć się nie musi... Tylko - co to ma wspólnego z rodziną?

A jednak! Ma! Lewica nie dostrzega, że skoro ludzie mniej muszą troszczyć się o przyszłość, to rośnie rasa ludzi beztroskich. Można powiedzieć: beztroskie dzieci zatroszczyły się o swoją reprodukcję, o to, by w przyszłych pokoleniach było jak najwięcej lekkomyślnych...



Co więcej, homo jednak jest oeconomicus. W normalnym społeczeństwie człowiek chciał mieć dzieci motywowany świadomym lub podświadomym pragnieniem zapewnienia sobie starości. Im więcej dzieci, im lepsze ich wychowanie, im są zdrowsze, im lepiej wykształcone - tym większe prawdopodobieństwo, że starość będzie dostatnia i szczęśliwa.

Wprowadzenie przez lewicę przymusowych ubezpieczeń odwróciło wszystko. Emeryt jest od dzieci niezależny - o tyle, o ile musi do nich dokładać ze swej emerytury. A dokładać musi, gdyż dzieciom w wieku 25-45 lat - czyli wtedy, gdy najbardziej potrzebują pieniędzy na wychowanie własnych dzieci - zabiera się dwie trzecie pieniędzy na przyszłe emerytury...

Tak więc homo oeconomicus wylicza sobie, że im mniej dzieci - tym lepiej. Jak porządny endek nie ma uwierzyć, że to wszystko nie zostało zmontowane przez paru genialnych Żydów w nowojorskiej Świątyni Cyrkla i Kielni?

Przecież to naprawdę wygląda na genialny spisek! W dodatku lewica uzyskuje drugą rzecz: zmniejszenie się przyrostu naturalnego.

Lewica nie lubi wielu dzieci, gdyż wiele dzieci oznacza większą śmiertelność - czyli lepszą selekcję. Wiele dzieci oznacza też - argumentuje nie tylko dziecina lewicy, ale i taki pozornie błyskotliwy libertyn jak p. Jerzy Urban - zmniejszony dobrobyt.

Dlaczego? Dlatego, że dochód dzieli się na większą liczbę ludzi niepracujących...

Nikt mi nie wmówi, że p. Urban czy lewicowy profesor nie jest w stanie zauważyć, że skoro zmniejszy się liczba dzieci, to w pokoleniu następnym na jednego pracującego przypadać będzie jeszcze więcej niepracujących - emerytowanych rodziców-egoistów. Z tym, że to lewicowca nie obchodzi, bo to będzie w następnym pokoleniu. Po nas - choćby potop?

10) Zabijanie płodów. Każda kobieta powinna mieć prawo do zawartości swojego brzucha, nieprawdaż? Czy można krępować wolność jednostki? - woła dziecina lewicowa, wzywając do sojuszu liberałów.

A jednak! Ciekawe, że prawa do absurdu domagają się wyłącznie ci, którym już nie grozi wyskrobanie z łona matki... Miliony zamordowanych - milczą.

Proszę popatrzeć. W starożytnym Rzymie ojciec rodziny miał prawo skazać wyrodne dziecko - nawet na śmierć. Dziecina lewicowa oburza się na ten barbarzyński zwyczaj...

Tam decyzję podejmował człowiek rozważny - i karał śmiercią złe dziecko. Dziecko, które zawiniło. Tu decyzja podejmowana jest na podstawie kaprysu kobiety - a śmierć osiąga wszystkich: zdolnych i niezdolnych, świętych i zbrodniarzy, zdrowych i chorych. Czyli aborcy ze

wszech miar są gorsze, niż ius necis ojca rodziny. A mimo to lewica uważa aborty za dobro. I przez długi czas liberałowie popierali to stanowisko: dopóki nauka nie ustaliła, że człowiek powstaje w chwili połączenia gamet. Od tej chwili, gdy wiadomo, że zygotę będzie można utrzymać przy życiu bez matki - od tej chwili argument o prawach człowieka skłania liberałów do opowiedzenia się przeciwko abortom.

Zauważ: zwolenniczki abortów używają dwóch argumentów: zarodek jest obcym ciałem, które kobieta ma prawo usunąć - oraz: zarodek jest własnością kobiety, która z nim może zrobić, co chce. Nie widzisz w tym sprzeczności?

A co z prawami ojca - pytam?

O to lewica nie dba. Można by odnieść wrażenie, że stara się ona przekazać jak najwięcej decyzji kobietom. Mężczyźni myślą zbyt precyzyjnie - przeto zbyt łatwo znajdują luki w lewicowych ple-ple-ple. Nie, równouprawnienie kobiet, a jeszcze lepiej: matriarchat - to byłoby znacznie lepsze.

Lewica nie dba o to, że brutalizują się kobiety zmuszone do podejmowania takich decyzji. Nie dba również o rzecz zasadniczą: o piekło, jakie ustawa dopuszczająca zabójstwo dziecka tworzy matkom: dzięki niej mężczyzna może kobietę szantażować: „Jak nie zrobisz skrobanki - to...”. To - oczywiście - lewicy nie obchodzi. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że dopuszczając usankcjonowanie abortów, obniża szacunek dla ludzkiego życia! Tadeusz Boy-Żeleński zginął z rąk faszystów - ale można powiedzieć, że dosięgła go Nemezis: on bowiem jest jednym z wielu twórców Epoki Pieców (już słyszę krzyk oburzenia lewicy!).

Na ten temat też można jeszcze długo. Rozumny człowiek widzi, że lewica robi niemal wszystko, co może, by podkopać fundament naszego bytowania. Jeszcze rozumniejszy człowiek wie, że robi to ona po prostu z głupoty. Lewica chce dla nas dobrze. Niestety: nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło. Jej dobrymi chęciami solidnie wybrukowane jest piekło, które nam gotuje.

## LUDZIE MYŚLCIE - TO NIE BOLI!

Na świecie dziwne dzieją się rzeczy - a ja uparcie jak ta Kasandra wołam: Ludzie! Przestańcie patrzeć na to, co było 50 lat temu; patrzcie na to, co dzieje się dzisiaj - i nazywajcie to właściwie!

Zacznijmy od tego, że niejaki Karol Marx powiedział, że socjalizm zostanie zbudowany w najwyżej rozwiniętych krajach świata, gdzie podstawowe potrzeby będą już zaspokojone. Powiedział, do jasnej cholery - czy nie?

Powiedział również, że aby zbudować socjalizm, należy najpierw zbudować demokrację. Powiedział - czy nie?

Czy w Rosji carskiej była demokracja? Nie było. Czy Rosja była najwyżej rozwiniętym krajem kapitalistycznym? Też nie. Czy były rozwiniętymi kraje budujące „socjalizm afrykański”? Nie były - prawda?

No to przestańmy wierzyć Włodzimierzowi E. L. Tljanowowi (ps. Lenin”), że „leninizm” to „twórcze zastosowanie marxizmu”! Wielu pravicowców bowiem w walce z socjalistami ułatwia sobie robotę zwalając na nich wszystkie winy Lenina, Stalina i ich następców. A od kiedy to Prawica tak wierzy Czerwonym?!? Hę?

Tropmy dalej. Komuniści obiecywali wspólność dóbr - posuniętą aż po wspólność żon. Miłość fizyczna - to była dla nich czynność równie ważna moralnie, jak „wypicie szklanki wody”. Czy tak to było w Rosji?!? Nigdy! Poza garstką teoretyczek-rewolucjonistek reszta Rosjanek prowadziła w miarę normalne życie seksualne...

...a w krajach najwyżej rozwiniętych? Czy przypadkiem właśnie wśród studentów Harvardu i Oxfordu stosunek seksualny nie jest czymś jak wypicie szklanki wody?

Małżeństwo - wg. bolszewików - to miał być co najwyżej cywilny kontrakt. Czy tak nie jest - właśnie w najwyżej cywilizowanych krajach Zachodu?

Willi Brandt, Adolf Hitler, Olaf Palme i inni socjaliści domagali się, by państwo ubezpieczało i zabezpieczało człowieka od kołyski - po grób. Postulat ten zrealizowany jest... właśnie na Zachodzie!! O dziwo - mało kto o tym wie - w Związku Sowieckim ubezpieczenie NIE było pełne, a nawet ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej nie było tam obowiązkowe (!!).

Może warto uwierzyć socjalistom, że to istotnie nie było tak; że to oni za leninizm-

stalinizm ponoszą tylko część odpowiedzialności? I tym uważniej przyjrzyć się temu, co dzieje się na Zachodzie?

Praktycznie wszyscy antagoniści Wolnego Rynku powiadają w dyskusjach ze mną tak: „Ta Pańska gadanina jest bez sensu, bo przecież nawet w krajach nie-socjalistycznych na Zachodzie państwo planuje, ingeruje w gospodarkę - i Wolny Rynek praktycznie nie istnieje!”

To zabawne - ale nikt nie wyciąga z powyższej przesłanki poprawnego wniosku: „Skoro tak, to znaczy, że są to państwa socjalistyczne”. To trochę tak, jak gdyby ktoś zobaczywszy latającego kormorana upierał się, że dowodzi to, że ryby umieją latać - z uporem odmawiając przyjęcia do wiadomości, że kormoran jednak nie jest rybą...

To zabawne, być może, ale socjalista Hitler zapowiedział, że jak podbije Europę to zlikwiduje palenie papierosów. Właśnie się to - brutalnie - robi. Zapowiedział też, że wprowadzi wegetarianizm (sam też był jaroszem - nie wiem czemu wegetarianie nie podają Hitlera jako przykład, że dieta bezmięсна prowadzi na najwyższe stanowiska?) - i na razie socjalistyczna Europa walczy tylko z futrami... Poczekamy, zobaczymy!

Ciekawym wskaźnikiem tego, GDZIE właśnie budowany jest socjalizm, jest liczba żydowskich intelektualistów. Intelektualiści uwielbiają budować socjalizm - a między intelektualistami Żydzi należą do najwybitniejszych. Do roku 1924 towarzystwo budowało socjalizm w Moskwie mając nadzieję, że opanuje on cały świat (warto przeczytać pamiętniki Weisberga-Cybulskiego!); robiono to z entuzjazmem i radością. Niestety, Józef W. Dżugaszwili zgasił ten szlachetny zapał, wziął się za „budowę socjalizmu w jednym kraju”, zdradził ideały Rewolucji Światowej - a na domiar złego zaczął prześladować Żydów!! Już w 1976 roku połapała się w nieporozumieniu Hanna Arendt, odmawiając Sowietom „prawa do nazywania się państwem socjalistycznym”, od tego czasu los Sowietów był przesądzony. Teraz najważniejsza jest budowa socjalizmu w Stanach Zjednoczonych - i w całym świecie.

Dlatego właśnie USA wbrew własnym interesom wszędzie popierają demokrację i „postępowe” reżimy. Dlatego Stany walczyły o obalenie gen. Pinocheta w Chile, prez. Marcosa na Filipinach, a popierały np. Nelsona Mandelę i „Solidarność”... Od parudziesięciu lat polityką amerykańską coraz pewniej rządzi to samo bractwo, które po raz pierwszy zdobyło władzę nad Nową w 1917.

Tym razem już nie będą tak naiwni. Nie zrobią pomyłek, które doprowadziły do utraty władzy w Niemczech w 1933 i w Rosji w 1924. Ale co by nie robili - ludzie patrzą, liczą - i

czekają. Patrzą uważnie na to, czy wspólna Europa ma być socjalistyczna a la Maastricht - czy ma to być Europa Ojczyzn a la de Gaulle lub p. Thatcher? I patrzą, kto się za czym opowiada.

Powiadam raz jeszcze: nie chodzi tu o Żydów, ale o Żydo-Komunę! Poznaje się to najłatwiej po tym, że Żydo-Komuna nienawidzi również państwa Izrael!! Zdecydowanie woli postępowych Palestyńczyków. Stąd powolne przeorientowanie się Stanów z poparciem dla Izraela na pozycję bardziej neutralną. Izrael? ...a, da mu się jakoś przeżyć. Jednak państwo to ma, w oczach Żydo-Komuny, podstawowe wady: budowało socjalizm zbyt skromnie (a mogło przecież jak p. Saddam Hussejn, rewolucyjnie); po drugie: zaczęło właśnie powolną kwerctację socjalizmu; a po trzecie: dlaczego Izrael ma względnie spokojne stosunki z Egiptem lub Arabią Saudyjską - a zle z budującymi ustrój Sprawiedliwości Społecznej Irakiem i Syrią?!? A?

Nie ulegajmy więc przesądom i fobiom. Nawet słowa „Lewica” i „Prawica” często używane są myląco. Ba! Zdarza się, (rzadko) że partia „socjalistyczna” proponuje liberalizację, a „liberalna (często) ją kasuje.

Patrzmy uważnie - bo jeśli nie, to obudzimy się w Nowym Lepszym Socjalizmie budowanym przez rozmaitych bankrutów jak pp. Craxi, Mitterand i Suarez, którzy, wykopani z własnych krajów, znajdują u nas podatny grunt dla swoich idei. Oczywiście: socjalizm europejski jest lepszy od moskiewskiego - ale lepszy samochód jest DROŻSZY...

...i dlatego tyle teraz dopłacamy!

## EUROPA

Rozmaici socliberałowie, w tym brytyjscy, nienawidzący pani Małgorzaty Thatcher - nalegają na szybkie utworzenie Wspólnej Europy. Wszyscy widzą na własne oczy, że role zupełnie się ostatnio odwróciły: jeszcze kilka miesięcy temu Polska była traktowana jako partner, starający się usilnie o członkostwo; obecnie wciąga się Polskę do Europy nieomal na siłę, tworząc fakty dokonane i nie powiadamiając naszych obywateli o skutkach podpisywanych porozumień.

Ponieważ w naszej partii, tj. w Unii Polityki Realnej, zdecydowanie przeważa ostrożność wobec „Europejczyków”, wielu pyta: „Czy wobec tego w ogóle jesteście liberałami?” Pora na wyjaśnienie.

Liberał jest człowiekiem starającym się zwiększyć wolność człowieka. Dlatego wszyscy liberałowie - demokratyczni, konserwatywni i socjalni - byliby za zniesieniem w Europie kontroli na granicach. Byliby za tym, by - jak w chrześcijańskim Średniowieczu - po Europie jeździło się bez ograniczeń, a papiery mistrzowskie wydane w Hiszpanii uznawane były w Polsce.

Ta jednak „Europa”, do której na siłę ciągną nas eurokraci z Brukseli, jest tej wolności zaprzeczeniem.

Przede wszystkim w Europie średniowiecznej każdy władca bił własną monetę. Czasem fałszował ją - zgoda; wówczas jednak jego poddani zaczęli rozliczać się w innych monetach, a fałszywych zaczęli używać wyłącznie do płacenia księżu podatku. Wolna konkurencja między pieniądzem powodowała naturalne ograniczenie fałszerstw.

Eurokraci wymogli - mimo protestów p. Małgorzaty Thatcher, która przypłaciła to utratą posady - by w Europie istniała jedna waluta, ecu. Można postawić dolary przeciwko orzechom, że nie minie i 10 lat, a upadający reżim europejski zacznie (jak pod koniec ery socjalizmu w Polsce) dodrukowywać masowo pusty pieniądz. I o to właśnie chodzi!

Po drugie: w Europie średniowiecznej każdy władca ustanawiał własny system podatkowy. I znów: znacznie zwiększało to wolność obywatelską. Gdy ustanowił zbyt duże podatki - co bardziej przedsiębiorczy poddani wynosili się do innych krajów i zbyt pazerny reżim dość szybko padał. Oczywiście pod koniec Średniowiecza władcy próbowali zabraniać opuszczania kraju (i próbowali narzucać przymus rozliczania się w ich pieniądzu po sztywnym kursie!), ale to było tylko przedłużanie agonii. Państwa dające więcej wolności w końcu zawsze

triumfowały. Uwaga: dotyczy to również Polski! Początkowo była krajem wolnym i w Polsce osiedlali się Szkoci, „Olędrzy”, Żydzi i - przede wszystkim - Niemcy. Pod koniec - wystarczy przejrzyć „Volumina legum” - liczba zakazów wydawanych przez zbyt rzadko zrywane sejmy była tak wielka, że Rosja Katarzyny II wydawała się krajem wolności - przynajmniej tym, którzy (jak Wolter) nie przyjrzeni się rosyjskiej wsi. Ta wieś rosyjska - bo przecież nie proletariatus - dostarczy później żołnierzy do przeprowadzenia tzw. rewolucji październikowej.

I znów: wbrew p. Thatcher ustalono, że w Europie obowiązywać będzie jednolity system podatkowy.

Można z góry przewidzieć, do czego to doprowadzi: wszystkie kraje będą płaciły podatki na ogromne świadczenia rozdzielane przez monstrualną biurokrację. Polak, utrzymujący do tej pory na głodowej pensji jednego polskiego urzędnika, przekona się, ile kosztuje urządza ze Strasburga, ile kosztuje powielenie 55 zarządzeń w 11 językach, ile kosztuje klimatyzacja w biurowych pomieszczeniach, a także: ile kosztują zasiłki dla bezrobotnych (a tak, będziemy dokładać do bezrobotnych Arabów pobierających francuskie zasiłki - a bo co?)

Dlatego domagam się - i domagać będę - by poszczególne państwa miały prawo do bicia własnej monety i ustanawiania własnych systemów podatkowych. Dokładnie tego obawiają się eurokraci: gdyby tak zachodni przemysł zaczął się w szybkim tempie przenosić do Polski, trzeba by obniżyć podatki - a w ślad za tym mniej byłoby do ukradzenia, mniej do dzielenia swoim klientom, mniej do wydawania na rozmaite socjalistyczne dziwolągi.

W tym więc kryją się tajemnice „przyspieszenia”: oni boją się panicznie, że za dzień, za godzinę w Polsce zostaną z posad usunięci Europejczycy (jeszcze z ery p. Edwarda Gierka, niekiedy), że Polacy przejrzą na oczy i nie zechcą stać się nowym (po NRD) poletkiem doświadczalnym socliberalizmu. W NRD uniknięto (?) kryzysu wpompowując w kraj „na dzień dobry” 40 mld marek; nam nikt tego, na szczęście zresztą, nie obiecuje...

Dlatego „europejskie” instytucje finansują propagandowe wydawnictwa zachwalające europejską „wolność” - i potępiające nas, konserwatywnych liberałów, jako reprezentantów Ciemnogrodu i ksenofobów. A tymczasem, kto chce całkowitego zniesienia ceł w obydwie strony: Unia Polityki Realnej - czy, za przeproszeniem, Unia Wolności? Kto domagał się i domaga wolności dla banków, z prawem do emisji nawet prywatnego pieniądza: UPR - czy np. niesławnej pamięci Kongres Liberalno-Demokratyczny?

Prawda jest bowiem taka, że jest to istotnie ostatni dzwonek: lewica przegra wszędzie, że

Szwecją włącznie. Lewica natomiast ma 75 proc. w Parlamencie Europejskim - instytucji, którą tradycyjnie nieufna wobec międzynarodówek prawica po prostu zlekceważyła. Dlatego właśnie eurokraci domagają się, by w ciągu paru lat 80 proc. decyzji zostało przekazanych z rąk suwerennych parlamentów Parlamentowi Europejskiemu.

Już powszechnie mówi się o tym, że zjednoczona Europa wyda wojnę gospodarczą Stanom Zjednoczonym - co oznaczać będzie wysokie cła na import tanich samochodów amerykańskich, na przykład. Nie wiem jak Państwo - ale ja osobiście nie mam ochoty wypowiadać gospodarczej wojny Stanom Zjednoczonym. Już raz Zjednoczona Europa wydała wojnę - i to prawdziwą, a nie tylko gospodarczą - USA; było to w 1942 roku. Nie skończyło się to najlepiej. Była to zresztą też Europa socjalistyczna, z przymusowymi ubezpieczeniami dla robotników, z systemem emerytalnym...

Wreszcie ostatni, delikatny aspekt: coraz wyraźniej widać, że będzie to Europa zdominowana przez Niemcy. Ostrzegał przed nimi - i też pożegnał się z posadą - brytyjski minister spraw zagranicznych p. Mikołaj Ridley. Ja tam nic nie mam przeciwko niemieckiej dominacji - ale pamiętam, że w XIX w. zaczęło się od życia w Państwie Prawa, a po parudziesięciu latach Reichstag uchwalił podatki (płacone także przez Polaków) na wykup ziemi z polskich rąk.

Bardziej realne jest jednak, że zjednoczona Europa uchwali, na przykład, iż wszyscy muszą sobie sprawić do samochodów laserowe, nie oślepiające, reflektory i dyfrakcyjne szyby (koszt: 2000 dolarów). Oni to, oczywiście, wytrzymają. A my? - my przesiądziemy się na hulajnogi!

Jak wolność - to wolność! Nieprawdaż?



## POLITYCZNE PRIORYTETY

Polska polityka zagraniczna stoi w tej chwili w rozkroku. Sytuacja jest - co okaże się dopiero za parę lat, ale wtedy już będzie za późno - dramatyczna. Trzeba przyjrzeć się dokładniej jej problemom.

Podstawową przyczyną kłopotów jest demokracja. Jeśli lud ma decydować o polityce, to musi wiedzieć, co zrobią wybrani przezeń przedstawiciele. Tym samym przedstawiciele ci muszą z góry zadeklarować, co będą robili - a tym samym potencjalny przeciwnik zna dokładne zamiary polityków. Kowalski obstawiający gracza w pokera nie domagałby się; by ten - choć przecież gra za pieniądze Kowalskiego - konsultował z nim swoje przyszłe decyzje (gdymby treść tych rozmów znał przeciwnik). A tak właśnie czyni Lud w demokracji! Dzięki temu Sowiety, państwo anachroniczne, ale zarządzane autorytarnie, mogło przez dziesięciolecia wodzić za nos zachodnie demokracje. Na szczęście naszym partnerem są na razie też demokracje - strzeżmy się tylko, by nie być bardziej demokratycznymi od nich.

Błąd ten jest nieusuwalny. Gdyby zamiast przedstawicieli każdą decyzję podejmował sam Lud w referendum, to konkurenci mogliby - robiąc badania opinii publicznej (a kręcą się u nas różne „niezależne” instytuty, kręcą) - znać wynik nawet przed decyzją Ludu.

Natomiast państwo autorytarne może z dnia na dzień obrócić sojusze, bez konieczności przekonywania o tym kogokolwiek - tym samym ratując państwo, albo i pokój; jeśli bowiem zachwianie równowagi może doprowadzić do wojny - np. Zachód uzyska zdecydowaną przewagę nad Wschodem - to jedno z państw Zachodu odwracając sojusze może w ciągu jednego dnia równowagę przywrócić - i wojny nie będzie. W demokracji przekonanie obywateli tego państwa, że powinno się „zdradzić” dotychczasowych sojuszników albo trwać za długo, albo wręcz jest niemożliwe. Dlatego większość wojen prowadzą państwa demokratyczne - porównajmy Ateny i Republikę Rzymską ze Spartą i Rzymem za rządów królów, a nawet Cezarów; ciekawe, że w USA wszystkie wojny w XX wieku wszczynali Demokraci, a kończyli „krwiożerczy” Republikanie.

Polska powinna, oczywiście, mieć politykę prowadzoną autorytarnie. Problem polega na tym, że w dzisiejszych czasach przywódcy są często przekupni, okazują się być agentami obcych mocarstw itp. - co się raczej dziedzicznym (proszę jednak popatrzeć na polskich królów elekcyjnych) monarchom nie zdarzało... No, ale to marzenia; wróćmy do realiów.

Realia zaś są takie, że za rządów p. prof. Krzysztofa Skubiszewskiego Polska trzymała się w zasadzie tylko jednej opcji politycznej: Zachód. Wszystko zostało postawione na jedną kartę - i ta karta nie wyszła. NATO odrzuca naszą propozycję. Polska pozostaje bez żadnego przymierza.

Gwoli ścisłości trzeba powiedzieć, że p. Skubiszewski jeszcze jedną opcję w zanadrzu miał: Wyszehrad. Była to słuszna i naturalna koncepcja Międzymorza. Niestety, nadzieje na NATO spowodowały, że kraje te - podobnie jak przed poprzednią wojną - nie tworzyły sojuszu dostatecznie energicznie (i nadal nie tworzą!). Jak Państwo pamiętają, przecieki z amerykańskiej demokracji (na szczęście nieszczelnej) wskazują, że Prezydent USA, Wiluś Clinton i p.o. Prezydenta Rosji, Borys Jelcyn, zobowiązali się nie dopuścić do powstania bloku państw środkowo-europejskich - i robią to skutecznie. Muszą mieć dobrze ulokowanych w naszych gremiach agentów, gdyż jest to przecież koncepcja naturalna i oczywista...

Załóżmy, że pozbędziemy się tych agentów i Polska odzyska niezależność polityczną (a Czechy, Słowacja, Węgry i inni - nie); co powinniśmy robić?

Odpowiedź brzmi: przede wszystkim - drogo się sprzedawać!

Na to, by móc się sprzedawać, trzeba trzymać wszystkie opcje otwarte. Nasi „wielcy politycy” mogliby się tego nauczyć od pierwszej-lepszej panny na wydaniu!

Nie można więc mówić: „Naszą szansą jest NATO”; trzeba mówić:

„Możemy wejść do NATO; rozmawiamy jednak o sojuszach również i z Sąsiadami za Wschodu! Myślmy też może o utworzeniu wraz z Wyszehradem, Austrią i Szwecją bloku państw neutralnych...”

W tym celu trzeba - w demokratycznym właśnie kraju - tak wychowywać klasę polityczną, by rozumowała na zimno, bez uprzedzeń charakterystycznych dla politycznych amatorów. Jest oczywistym nonsensem tworzenie „partii pro-rosyjskiej” (podobnie jak nie istnieje „partia pro-niemiecka”, „pro-amerykańska” lub „pro-Murzyńska”) - a padają takie głosy! - ale trzeba Lud przygotować psychicznie na możliwość takiego odwrócenia sojuszków. Dopóki bowiem jest w Polsce demokracja, a Lud darzy Rosję lub Ukrainę atawistyczną niechęcią, to NATO spokojnie może traktować nas jak psa, wiedząc, że i tak na gwizdnięcie przylecimy do nogi - i jeszcze ogonem będziemy merdać.

Technicznie biorąc w polityce wschodniej możliwe są dwa sojusze:

Możliwość pierwsza: WNP przestaje ostatecznie istnieć; Polska graniczy więc z Białą Rosją, Litwą i Ukrainą. Wówczas mamy dwie opcje: albo sojusz z Rosją przeciwko tym

państwom i Niemcom (co jest układem trwałym, wielokrotnie przeze mnie opisywanym) - albo też (jeśli w Rosji zwyciężą zwolennicy tradycyjnego sojuszu z Niemcami) odtworzenie Imperium Jagiellońskiego z Litwą, Białą Rusią i Ukrainą, który - najlepiej wraz z Wyszehradem - miałby szansę przetrwać między tymi potęgami.

Możliwość druga: Imperium Rosyjskie zostanie odtworzone. Wtedy, jeśli chcemy uniknąć rozbiorów (a taka możliwość istnieje; p. Jacek Bartyzel na Kongresie Młodej Prawicy w 1993 r. słusznie wskazał, że pada nie tylko porządek jałtański, ale i wersalski!) musimy zdecydować komu się sprzedać... I znów: nie mogą powstawać partie pro-rosyjskie lub pro-niemieckie, tylko jeden czynnik musi wytargować dla Polski najlepsze możliwe warunki - bo Polska wtedy będzie musiała zostać państwem satelickim. Jeśli ktoś myśli, że jakiś sojusznik zachodni ruszy na pomoc Polsce zagrożonej przez Niemcy lub przez Rosję - to myli się głęboko. Zresztą: myli się niejako w próżni, bo po prostu nikt z nami żadnego sojuszu nie zawrze! Nikt nie chce na Zachodzie doprowadzić z powodu Polski do kolejnej wojny Światowej. Raz Polsce udało się namówić na to Francję i Wielką Brytanię - i tamtejsze koła polityczne zaklinają się, że więcej się na to nabrać nie dadzą!

Konkluzja jest krótka: musimy mieć - po pierwsze - silną władzę zdolną do prowadzenia naszej nawy państwowej (w tym również do tłumienia buntów i strajków na pokładzie!); po drugie - politykę otwartą na wszystkie azymuty, politykę prowadzoną na zimno, bez przesądów, na podstawie wyrachowanej kalkulacji. Politykę realną.

## OSTRZEGAM!

Dyskusja o NATO nie jest dyskusją o przyszłości Polski, energia i zdecydowanie, z jakim działa NATO w Bośni i Hercegowinie dobitnie pokazują, że w konflikcie europejskim interwencja tego paktu raczej nie będzie istotna.

Dyskusja o NATO jest raczej dyskusją o charakterze naszej cywilizacji. Widzimy w niej dwie wielkie koncepcje:

1) NATO - jako Pakt Białego Człowieka. W myśl tej koncepcji do NATO ma zapisać się Rosja (bez swych azjatyckich kolonii, ale z Syberią), oczywiście wszystkie kraje Europy - i ma on bronić nas przed zalewem rasy Żółtej i Czarnej. Jest to koncepcja utrzymania Imperium Rzymskiego w całości - przynajmniej do czasu, dopóki fale imigrantów nie podmyją Imperium od wewnątrz.

2) Podziału Imperium na Imperium Wschodu - i Imperium Zachodu. W myśl tej koncepcji granica powinna sięgać tam, gdzie sięgała cywilizacja zachodnia. Do NATO powinny należeć Czechy, Śląsk i Wielkopolska (jeśli ktoś chce zobaczyć granicę między cywilizacją Zachodu i Wschodu niech rzuci okiem na „Schemat połączeń sieci PKP” - wystarczy!), być może Łódź i Warszawa - natomiast na pewno nie Białystok i Siedlce.

Tak zapewne patrzą na sytuację stratedzy. Nie piszę o politykach demokratycznych głoszących w Parlamencie, bo jest to stado zabieganych szczurów, uwikłanych w bieżące spory. Kilka wpływowych grup stara się sterować ich poczynaniami - czego efekty są różne.

Walka o NATO jest tylko przykładem, jak działają mechanizmy polityki polskiej. Gdy się im przyglądam ogarnia mnie zimna wściekłość.

Polska od kilku lat traci szansę po szansie. Już p. gen. Jaruzelski nie wykorzystał chyba dostatecznie paraliżu, w jaki popadł był Związek Sowiecki w okresie niemocy Breżniewa. To, co nastąpiło potem, było jedną tragikomedią. Gdy po kolejnym akcie zapadła kurtyna, na widowni rozległy się śmiechy.

Rano 14 stycznia 1994 r. na przykład usłyszałem w jakiejś stacji radiowej, że przystąpienie do „Partnerstwa dla Pokoju” to sukces naszej polityki. Pan Bóg jest cierpliwy: słyszy i nie grzmi - acz solidne wyładowanie elektryczne dobrze zrobiłoby niektórym rozgłośnikom.

Prawda jest taka, że w tej sprawie nasze MSZ zaspąło kompletnie.

Nie wiemy: celowo - czy przypadkiem. Już dawno wyrażałem wątpliwości, czy całe MSZ pracuje dla nas - czy przypadkiem niektórzy urzędnicy nie pracują dla Króla Prus? W każdym razie bierność MSZ wynikała z niezdecydowania poprzednich kierowników tego resortu. Pan Andrzej Olechowski, świeży szef, stąpał po niepewnym gruncie - i, zdaje się, nie bardzo wiedział, za jakie dźwignie można pociągnąć. W dodatku - przy całym szacunku dla tego ekonomisty - umieszczanie na czele MSZ człowieka wymienionego na „liście Macierewicza” jako asa wywiadu, z pewnością nie polepsza sytuacji Ministra SZ Rzeczypospolitej!

Do akcji ruszył sam Pan Prezydent - i, trzeba przyznać, wykazał wiele energii - tyle, że było już grubo za późno. Rzucił wielkimi słowami, groził, że nie podpisze „Partnerstwa dla Pokoju”, że nie pojedzie do Pragi. Tak też powinien był zrobić. Jednak poniósłszy fiasko, ugiął się, pojechał, podpisał - i jest to kompromitacja.

Powtarzam: nie ma konieczności zapisywania się do NATO. Jeśli jednak gromkim głosem tego się domagano, „Partnerstwo dla Pokoju” uznając (słusznie) za humbug - to potem nie należało zwijać chorągiewki!

Gdy to mówiłem na pewnym spotkaniu, pewien Słuchacz spytał:

„Ciekawe: jak Pan prowadziłby grę z tak słabymi kartami?”

Słabymi?? Nie ma słabej karty, gdy partnerzy grają napiętą grę!

Ja postąpiłbym dokładnie tak samo jak Stalin w 1939 roku: rozpocząłbym spokojnie rozmowy z Rosją nt. wejścia do systemu obronnego WNP! - Tak: włącznie z rozmieszczeniem na Ziemiach Zachodnich wyrzutni rakiet atomowych średniego zasięgu!

Teraz są dwie możliwości:

1) Pakt Atlantycki, zaniepokojony tą perspektywą, przyleciałby w dyrdy oferując przyjęcie do NATO - co byłoby osiągnięciem celu w tej chwili nie osiągniętego.

2) NATO by nie zareagowało. Wówczas podpisujemy pakt z Rosją. Mamy zabezpieczoną granicę z Niemcami, a Rosja nie ma żadnego interesu by nękać swego lojalnego sojusznika. Okupacja jest zawsze b. kosztowna...

W każdym razie: trzeba coś wybrać. Jak raz już pisałem: by wybrać - trzeba umieć się sprzedać: każda panienka na wydaniu opanowała tę niezbyt skomplikowaną dyplomację: słuchać ofert od jednego, drugiego, trzeciego konkurenta, wreszcie wybrać jednego - i jemu już być wierna. Czy to takie trudne??!?

Niestety: Polsce znów grozi, że zostanie zawieszona w próżni, między dwoma blokami. Z

tą tylko różnicą, że przed wojną mieliśmy przynajmniej układ z Ententą; teraz na Zachodzie mówi się, że Polska każdy układ doprowadziła do klęski - bo pewna swych sojuszników prowokuje wrogów. I coś w tym jest!

Nawiasem pisząc: by wejść do NATO, trzeba się uzbroić. Kraje NATO wiedzą, że jak dwa a dwa daje cztery, w dzień po przyjęciu Polska poprosiłaby o sprzęt - za darmo lub na jakichś niespotykanych warunkach kredytowych - jako „przedmurze”. Nie? Przecież dokładnie o to (o oddanie nam za darmo wyposażenia armii NRD) poprosiliśmy Bundesrepublikę!!! A gdybyśmy tego nie otrzymali, to - jak słusznie zauważył pewien urzędnik Pentagonu, podobno sam p. Les Aspin - swój wysiłek ograniczylibyśmy do postawienia na granicy wschodniej tabliczek: „Uwaga: NATO. Nie wchodzić”. Swego czasu na moje biurko dotarła analiza konserwatywnej „Heritage Foundation”. Zalecenia dla Prezydenta USA Clintona przed wyjazdem do Europy były następujące (podaję wybiórczo kilka):

na szczyt NATO w Brukseli: [Mowa o szczycie państw członkowskich NATO w dniach 10-11 stycznia 1994 r.]

- Poprzeć ofertę partnerstwa byłych krajów Układu Warszawskiego i do europejskich b. republik sowieckich - wykluczając kraje tradycyjnie neutralne, jak Szwecja lub Szwajcaria;

- Ogłosić, że USA poprą członkostwo w NATO głównych demokratycznych partnerów jak tylko będą oni gotowi do ponoszenia militarnej i finansowej odpowiedzialności za sojusz.

- Sprzeciwić się uczestnictwu Ukrainy dopóki Kijów nie będzie honorował swych międzynarodowych zobowiązań do ratyfikacji Paktu START I (bez ograniczeń) i Traktatu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej.

- Zadeklarować, że Ameryka nie zamierza uczestniczyć militarnie w utrzymywaniu pokoju i operacjach humanitarnych nie mających znaczenia dla jej żywotnych interesów narodowych.

na spotkanie w Pradze: [Rozmowy w sprawie układu tzw. „Partnerstwa dla pokoju” z udziałem Prezydenta USA Clintona oraz przywódców Polski, Czech, Węgier, Słowacji (11-12 stycznia 1994)]

- zadeklarować pragnienie USA by ujrzeć Polskę, Czechy i Węgry wchodzące do NATO, jak tylko będą do tego gotowe;

- zaoferować pomoc USA Polsce, Czechom i Węgrom w miarę jak będą zmieniać swoje narodowe struktury bezpieczeństwa i siły zbrojne na odpowiadające członkostwu w NATO;

na spotkanie w Moskwie: [Oficjalna wizyta prez. Clintona w Rosji w dniach 13-15 stycznia 1994 r.]

- zadeklarować pragnienie ujrzenia Rosji... (dalej j.w.);

- nie deklarować żadnych wspólnych z Prezydentem Jelcynem gwarancji bezpieczeństwa dla Europy Środkowo-Wschodniej.

Jak widać, polityka sugerowana przez Republikanów niewiele odbiega od robionej przez Demokratów; drogowskazem jest interes USA. Podobnie i my powinniśmy prowadzić agresywną politykę opartą o zimne wyrachowanie i egoizm państwowy.

Teraz pytanie: czy nasz Prezydent byłby zdolny do prowadzenia takiej gry?

Odpowiedź brzmi: Oczywiście! Pan Lech Wałęsa nie jest przecież głupszy od przeciętnej panny na wydaniu - a znacznie bardziej stanowczy, gdy trzeba; mając dobrego doradcę i wykonawców - dałby sobie radę...

...natomiast nie da sobie rady mając Rząd z premierem prowadzącym swoją politykę, Ministerstwem Spraw Zagranicznych opanowanym przez rozmaite mafie i masonerie, Parlamentem wtrącającym się we wszystko, oraz Narodem nienawidzącym Pana Prezydenta, bo Ten, nie wiadomo po jaką cholerę, zamiast zajmować się sprawami ogólnopaństwowymi, wtrącał się w politykę wewnętrzną, obiecywał, nie dotrzymywał, gadał co Mu ślina na język przyniesie i w ogóle politykował w najgorszym słowa tego sensie.

Mimo to lepszy jeden facet - niż 460 Einsteinów. Niestety: u nas Einsteinów mnogo, a każdy chce władzy. Również: w polityce zagranicznej.

Tymczasem w Rosji p. Borys Jelcyn już pozbył się kontroli Parlamentu nad polityką zagraniczną. Za jakieś trzy lata w Niemczech obejmą władzę narodowi socjaliści. A u nas - d\*\*\*kracja. Do d\*\*\* z tą d\*\*\*kracją!

Jak sami nie zrobimy z tym porządku - to inni zrobią z nami porządek. jak w 1772 roku. I równie gładko.

To ostatnie jest nawet jakąś pociechą...

## ONZ

Genialny - przynajmniej jako pisarz - p. Stanisław Lem napisał kiedyś, że im większe głupstwo, tym większa szansa, że ludzie go nie zauważą...

Wielu naszych publicystów nieśmiało napomyka, że może by nie przesadzać z tą EWG - pardon: już nie EWG tylko UE; niektórzy zastanawiają się czy wchodzić do NATO (osobiście mimo wszystko wolałbym właśnie NATO...); jeszcze inni krytykują poszczególne organizacje ONZ - zwłaszcza odkąd Watykan odważył się poskarżyć na UNICEF. Mało kto jednak, zamiast zastanawiać się nad celowością zatrudniania dodatkowych pracowników w ONZ, zastanawia się: po jaką cholere to-to w ogóle istnieje, ile nas kosztuje i po co MY w tym uczestniczymy?

Ja świetnie rozumiem, że prawdziwą przyczyną, dla której rządy nadal utrzymują przy życiu tego pokracznego bękarta traktatu jałtańskiego, jest możliwość utrzymania za pieniądze podatnika pokaźnej liczby szpiegów płci obojga; gdyby rozwiązać ONZ, szpiegów tych trzeba by utrzymywać za pieniądze wywiadu - a ci cholerni cywile nie chcą dawać na wojsko; na UNICEF, duraki, dadzą... Zwracam wszelako uwagę, że kto raz wejdzie na ścieżkę działań podejrzanych, ten sam może zostać nacięty (vide: „Żelazo” i FOZZ). Inne państwa mają więcej pieniędzy na szpiegów - i wcale nie jest wykluczone, że nasi szpiegowie w ONZ już od dawna pracują dla kogoś innego - oczywiście nic nie mówiąc o tym swoim szefom.

Oczywiście, wszyscy oni zapewniają na wyścigi, że obecność Polski w ONZ (czytaj: ich obecność na liście płac ONZ) jest absolutnie konieczna. Ci, co nie pracują dla wywiadu zapewniają o tym jeszcze gorliwiej - to jasne; jednak tylko idiota pyta o zdanie osoby zainteresowane: to tak, jakby np. pytać nauczycieli, czy chcą mieć podwyższone pensje i obniżone pensum. Opinie pracowników ONZ zostawmy więc na boku.

Prawda o ONZ jest taka, że jest to instytucja najzupełniej niepotrzebna. Zajmuje się głównie braniem pieniędzy od rządów - i marnowaniem ich na różne sposoby.

Najprostszy jest wariant zastosowany przez pewnego postępowego Murzyna - pardon: Afrykanina - którego w ramach klucza geograficznego mianowano szefem UNESCO. Facet ten 80% (!! ) pieniędzy wydawał na swój personel, hojnie płacąc tym, co mówili, jak im zagra - a wywalając z roboty oponentów. Miarka przebrała się, kiedy UNESCO zażądało ni mniej ni więcej, tylko, by... wszystkie agencje światowe, szerzące oczywiście burżuazyjny jad - poddać kontroli UNESCO i stworzyć w ten sposób jedno, optymalne, źródło jedynej prawdziwej



informacji. Nazwano to Nowym Ładem Informacyjnym.

Pechowo facio (nazywał się, o ile pamiętam, M'Bowl) trafił z tym na epokę p. Reagana, który łupnął pięścią w stół, a przyjrzawszy się wydatkom czarnego apologety Ministerstwa Prawdy po prostu... zakręcił kurek z pieniędzmi. W ślad za nim poszła p. Thatcherowa - i po wycofaniu się dwóch głównych sponsorów UNESCO mocno przycichło, bo Sowieci dawali dużo dobrych rad, ale mało prawdziwych pieniędzy.

UNICEF był skromniejszy: na potrzeby swej biuralicji wydawał tylko 52% funduszy. Jednak właśnie akcja UNICEF-u z FAO pobiła wszelkie rekordy, gdyż przy okazji karmienia głodujących dzieci w Abisynii, okazało się, że administracja ONZ plus biurokracja etiopska połknęły 99,4% pomocy, zostawiając dzieciom 0,6%. Dzieci są małe, więc dużo jeść nie muszą.

Znaczniejsza część budżetu ONZ idzie na operacje wojskowe. Te są znane - od początku do końca - ze znakomitej skuteczności. Pierwszą była Korea, gdzie wojska głównie USA pod flagą ONZ nie zdołały pokonać czerwonego maniaka. JE Kim Il-Sunga, który rządził szczęśliwie do 1994 r. - i dopiero Jego śmierć wyzwolił Koreę od postępu iście skomasowanego. Ostatnią: Somali, gdzie znów wojska USA pod flagą ONZ z tryumfem wzięły do niewoli przez pomyłkę personel ONZ, natomiast nie umiały znaleźć i pokonać p. gen. Aidida.

W międzyczasie były tak spektakularne akcje, jak wygonienie z Konga - a raczej: zamordowanie - innego czerwonego watażki, Patryka Lumumby, przy okazji czego zginął... Sekretarz Generalny ONZ (!). Władzę objął - i dierży do dziś - p. gen. Mobutu, Sese Seko, tj. Ojciec Narodu. Wynik to pozytywny - gdyby zapomnieć o tym, że wojska ONZ zostały posłane po to, by... p. Mobutu z Konga właśnie wyrzucić.

Za to gdy w Nigerii walczyła o niepodległość Biafra, ONZ nie kiwnęła nawet palcem. Nie: nie dlatego, że Ibo byli chrześcijanami; dlatego by nie naruszyć zasady nienaruszalności granic w Afryce...

Wojska ONZ posłano też m. in. na Cypr, by zapobiegły wojnie między Grekami, a Turkami i podziałowi Cypru. Przez piętnaście lat pracowicie zapobiegały - przy czym od strzałów z za węgła zginęło łącznie więcej ludzi, niż na normalnej wojnie - a wojna i tak wybuchła natychmiast, gdy tylko wojska się wycofały. Jak funkcjonuje ONZ w odniesieniu do mordów w Jugosławii - wszyscy wiedzą. [Trudno o dobitniejsze potwierdzenie słuszności tez Autora jak właśnie „działalność” wojsk ONZ w Jugosławii...]

Głównym zajęciem ONZ jest jednak wygłaszanie pompacyjnych mów, kłócenie się, czy

przyjąć wizytę Dalaj Lamy, opracowywanie genialnych projektów Konwencji Praw Małego Zwierzęcia lub Konwencji o Walce z Narkomanią - przy czym kiedyś państwa nie zainteresowane tymi bzdurami protestowały rozgłośnie - obecnie (z chwalebnym wyjątkiem Królestwa Arabii Saudyjskiej) po prostu podpisują - i nie wykonują. Czasem dodają do konwencji jakieś zastrzeżenia - i dobrze jest, bo przecież dyplomatom nie zależy na tym, by postanowienia tych konwencji były wykonywane, tylko na tym, by Konwencje zostały podpisane! Za to biorą pieniądze!! Podejrzewam, że są płatni od konwencji.

A jeszcze oprócz tego głosują. Dzięki temu Luksemburg z Katarom mogą sobie przegłosować Japonię, a Nikaragua z Kostaryką - Kanadę. I fajnie jest, i demokratycznie - dopóki np. Kanada nie rozpadnie się na 10 niepodległych państw. Proszę zauważyć, że po rozpadzie ZSRS siła głosu tych narodów raptem wielokrotnie wzrosła - a Rosja nadal ma, jako Wielkie Mocarstwo - prawo weta. Na szczęście nikt się już dziś nie przejmuje głosowaniami w ONZ...

Nikt się nie przejmuje - ale wszyscy na to płacimy. Są to setki milionów dolarów. Co prawda dumnych Lechitów stać na zrzutkę po parę dolców na ten cyrk - ale nie stać nas na związany z tym zalew głupoty. Pamiętajmy bowiem, że wielu naszych całkiem łebskich ludzi, zamiast pisać np. projekty ordynacji wyborczej, konstytucji czy innych praw - siedzi i wyklóca się z jakimiś Arabami, Latynosami i Amerykańcami o ważkie słowa w nieważnych i śmiesznych konwencjach międzynarodowych.

Świat wychodzi z Jałty - i pora na porzucenie tej pokraki, jaką jest ONZ. Najlepiej by było, by Polska zgłosiła wniosek o samorozwiązanie się ONZ (zanim ONZ zbankrutuje). Jeśli to się nie uda - nic straconego: do dziś istnieje sobie, o czym mało kto wie, Liga Narodów, i ma nawet chyba do dziś w Szwajcarii jakiś pałacyk. Zapomniano ją rozwiązać - i tyle. Być może to samo będzie z ONZ.

Natomiast powinniśmy wystąpić z ONZ. Nie ma potrzeby ośmieszać się przebywaniem w tym podejrzanym towarzystwie - i w dodatku za to jeszcze płacić. Szwajcaria do ONZ nie należy - i jakoś żyje. Mam nawet wrażenie, że cieszy się większym szacunkiem ONZ-u, niż Polska...

Wystąpmy - o ile nie chcemy, by działały demokratyczne poglądy nieboszczyka ks. Konarskiego: „Przegłoszą Ciebie - ale za to wiele razy Ty z innymi przegłosujesz tamtych”. Jacyś Murzyni z Koreańczykami każą nam jeść pałeczkami, potem my z Koreańczykami każemy Murzynom jadać ryż zamiast manioku, a razem z Murzynami zmusimy Koreańczyków, by pili piwo. Proszę zauważyć, że każda strona odniosła dwa dyplomatyczne sukcesy - a tylko jedną

porażkę! Dyplomaci dostaną premię - ale czy my, Murzyni i Koreańczycy będziemy szczęśliwsi?!?

Ja sędzę, że nie. Natomiast bez ONZ będziemy na pewno zdrowsi.

Na umyśle. Czego wszystkim życzę.

PS. Kto wie i pamięta: nad czym ostatnio obradowało Zgromadzenie Ogólne ONZ? I jakie decyzje ostatnio podjęło? A Rada Bezpieczeństwa?

## ROZPAD

Gdy rozpadał się - czy aby się nie odrodzi? - Związek Sowiecki, mówiono, że - podobnie jak w przypadku Rosji Carskiej - rozpada się więzienie narodów. To samo zresztą mówiono o Cesarstwie-Królestwie.

Potem rozpadła się Czecho-Słowacja - i znów przypisano to tendencji do tworzenia się państw narodowych. Podobnie i z Jugosławią.

Trochę gorzej jest z Kanadą. Kolebie się ona od dwóch lat na krawędzi rozpadu. I znów: jako przyczynę wskazuje się frankojęzyczny Quebec - pomijając jawnie socjalistyczny charakter Partii b Zuebekańskiej.

No dobrze: ale dlaczego Kalifornia chce rozpaść się na kilka stanów?

Jeśli temat to zbyt egzotyczny, to spytajmy inaczej: dlaczego na krawędzi rozpadu są obecnie Włochy? Już nie tylko Padawice (Piemont, Genua, Lombardia, Florencja, Wenecja), ale nawet jakaś gmina chce wystąpić z Republiki i ogłasza się Wielkim Księstwem?

W tym ostatnim przypadku chodzi zapewne o dochody ze znaczków pocztowych i turystyki. Można również sprzedawać monety: niech koszt jej wybicia równy będzie 20 centom; jeśli będzie to moneta o wartości 50 centów, a zechce ja mieć jako ciekawostkę co dziesiąty Ziemianin, to mamy ponad \$100 mln dochodu; w podziale na 300 poddanych Wielkiego Księcia - niezły grosz... A znaczki? Można przecież drukować na okrągło!

Moim zdaniem państwa rozpadają się nie tyle wskutek różnic językowych czy kulturowych - lecz po prostu dlatego, że przestają wypełniać swoje funkcje.

Państwo (w sensie polszczyzny) to jest pewien organizm: składa się ze społeczeństwa (tzn. jego kultury), z zasad prawnych, oraz z aparatu ucisku (czyli państwa w sensie zachodnio-europejskim: The State, L'Etat).

Na to, by państwo działało, system prawny musi być w miarę zgodny z systemem kultury danego społeczeństwa - tak, jak system kostny musi być dopasowany do mięśni. Owszem: kości można nieco skrócić lub wydłużyć - ale w pewnych granicach; po ich przekroczeniu organizm staje się niezdolny do życia.

Wszystko to oczywiście zdaje się psu na budę jeśli aparat ucisku uciska nie tych, co trzeba. Jeśli ochronne mechanizmy atakują nie obce komórki, lecz własne - to mamy do czynienia z rakowaceniem organizmu.

Są też w organizmie komórki wyrodnijące - jest to, zauważmy, całkowicie normalne; jednak gdy organizm zamiast je izolować sam je sztucznie rozmnaża (np. popierając homoseksualizm) - to nie przyczynia się to do zdrowia organizmu. Jeśli energia zużywana jest głupio, jeśli mózg dopuszcza by mięśnie zanikały poprzez lenistwo - to organizm staje na krawędzi rozpadu.

Różnica polega na tym, że - z punktu widzenia cybernetyki-społeczeństwo ma o jeden stopień swobody więcej, niż żywy organizm. Komórki naszego ciała umierają w zasadzie wraz z nim. Natomiast ludzie mogą porzucić niesprawne państwo i zmontować w jego miejsce inne - lub po prostu wejść w skład innych, lepiej zorganizowanych państw.

Są to operacje zawsze bardzo bolesne. Jeśli zachodzą organicznie, niejako przez pączkowanie, straty mogą być niewielkie (przykład aksamitnego rozvodu Czechów i Morawian ze Słowakami!). W innych przypadkach zachodzą zazwyczaj nieprzyjemnie. Ciekawe przy tym, że ci sami ludzie, którzy z taką lekkością mówią o możliwym rozpadzie Polski - byli przeciwko rozpadowi Czecho-Słowacji i są przeciwko rozpadowi Włoch, choć w przypadku Polski byłoby to chyba znacznie bardziej dotkliwie.

Państwa rozpadają się jednak - a rozpadają się dlatego, że obecna, niemiłościwie nam panująca, ideologia naszej cywilizacji nie odpowiada na podstawowe pytanie: A właściwie dlaczego państwo miałyby trwać?

Gdy mówiło się (mniejsza o to, czy słusznie!), że Władza pochodzi od Boga - sprawa była jasna: Władca miał pewne obowiązki - i odpowiednie do nich prawa. Gdy państwo zostało nocnym stróżem-miało obowiązek strzec Granic oraz Prawa i Porządku.

A teraz popatrzmy, jak się z tych zadań wywiązuje:

1) Granic nie strzeże - między krajami UE stały się one zbędne. Bardzo dobrze - ale czy państwa są uzbrojone na okoliczność, gdyby ktoś chciał dokonać zmiany granic? Obawiam się, że nie; myślę, że gdyby w tej chwili RFN zechciała np. przyłączyć gminy Eupen i Malmedy, to Francuzi, rzecz prosta, nie chcieliby za nie umierać - tak samo, jak nie chcieli umierać za Gdańsk, ale: czy chcieliby w ich obronie umierać poddani królestw wchodzących w skład BeNeLuxu? A czy Francuzi chcieliby umierać gdyby RFN chciała przyłączyć Alzację i Lotaryngię? Bardzo wątpię! A Francja jest jednym z najbardziej państwowo-narodowo wychowywanych społeczeństw Zachodu. Pomysł, by Holender chciał umierać za cokolwiek (poza, być może, klubem futbolowym) - jest po prostu śmieszny.

Prawo jest w Europie w powszechnej pogardzie. Masoneria naginała je do swoich potrzeb tak, że przestało być zrozumiałe dla ludzi. Mordercy są zwalniani z więzień po przeciętnie 7. miu latach, kara śmierci jest zniesiona, aferzyści chodzą po wolności, normalni ludzie idą do aresztu za spranie własnego dziecka, za nazwanie Żyda Żydem, za nieubezpieczenie swej własnej osoby, za rzekome zgwałcenie własnej żony i za jazdę własnym samochodem bez pasów. Wystarczy?

Co do Porządku - takiego burdelu w prawie i na ulicach nie było od niepamiętnych czasów. A to punki leją skinów, a to skiny palą cudzoziemców, a to homoseksualiści paradują po głównych ulicach ukazując Jezusa Chrystusa w stosunku z Judaszem Iskariotą. Bandyci bezkarnie rabują, a policja zajmuje się w tym czasie np. ochroną praw mniejszości.

To wszystko jeszcze można zapewne znieść - ale w przypadku spokojnych mieszczan znad Padu doszło przerażające uczucie, że oto okrada się ich z pieniędzy. Do tej pory tłumaczono, że te pieniądze idą na rozwój Południa. Teraz okazało się, że szły do kieszeni różnych Mafij - w tym: mafii skorumpowanych polityków. I zdaje się, że Republikę Włoską szlag trafi. Co oby było otrzeźwiającym prysznicem dla innych, podobnych, państw.

## GORZKIE PRAWDY

Piszę te słowa z poczuciem gorzkiej - ale satysfakcji. W dniu 3-cim lutego 1995 cała Polska mogła w głównym wydaniu Wiadomości zobaczyć JE Józefa kard. Glempa, który - z wyraźnym trudem, przełamując wewnętrzne opory i unikając oka kamery - mówił rzeczy banalne, ale przecież od stu lat przemilczane przez lewicowe media.

Mówił, że demokracja nie jest żadną wartością samą w sobie o ile nie służy dobru powszechnemu. I mamy tę satysfakcję, że mówiliśmy to od wielu lat - wbrew nawet Księżętom Kościoła katolickiego i innych Kościołów chrześcijańskich, którzy - ulegając przemożnemu prądowi - głądzili o dobroczynności demokracji jako takiej. Maluczko, a przeczytalibyśmy w postsoborowym katechizmie, że Chrystus był Pierwszym Demokratą, a Łazarz został wskrzeszony przez Głosowanie Powszechne. Zwłaszcza niektóre Kościoły reformowane dość daleko zaszły na tej drodze - w Szwecji np. tekst tłumaczenia Biblii zatwierdzany jest przez Parlament w głosowaniu!

Demokracja jest systemem złym i niewydajnym. Tam, gdzie ona działa, opiera się na oszustwie: elity polityczne wystawiają swoich kandydatów, a motłochowi pozwalają mieć satysfakcję, że brał udział w głosowaniu. Jeśli Lud zadowala się tą przyjemnością i nie chce stanowić praw wedle Swego gustu i rozumu, a dzięki temu czuje się lepiej - to system czas jakiś może działać. Nie najlepiej - ale znośnie.

Jednak Ksiądz Prymas powiedział też, że i Prawo nie jest wartością nadrzędną - jeśli jest sprzeczne z dobrem powszechnym...

Ta teza wymaga pewnego wyjaśnienia.

Jeśli Prawo działa, tzn. jeśli jest w miarę spójne, niesprzeczne i zgodne z Prawem Naturalnym - to przestrzeganie Prawa jest obowiązkiem. Takie Prawo oczywiście nie jest sprzeczne z dobrem powszechnym - a Praworządność jest dla Prawicy wartością; nie najwyższą zapewne, ale wartością samoistną.

Obecnie w Polsce mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją.

Prawo Polskie jest sprzeczne z Prawem Naturalnym w wielu punktach. Sprzeczność ta nie jest tak wielka, by należało wzywać do nieprzestrzegania prawa - o nie! Z tym, że prawo obecnie jest sprzeczne wewnętrznie, niespójne - a nawet te nieliczne przepisy, które są jasne i proste, też są łamane. I to nie przez plebs, ale przez urzędników państwowych występujących ex officio!! W

tym stanie rzeczy ten, co jawnie powiedziałby: „Robię zamach stanu. Raz jeszcze złamię Konstytucję - którą na co dzień i co godzina łamię się w tysiącu miejsc w Polsce. Siłą wprowadzę nowe, lepsze Prawo, którego przestrzeganie sprawi, że życie stanie się lepsze. Ludzie uczciwi będą nagradzani, a mordercy, złodzieje i kłamcy karani” - zyskałby moje zdecydowane i entuzjastyczne poparcie. Ostatecznie od ponad 100 lat prawo w Polsce oparte jest o Kodeks Napoleoński, wprowadzony właśnie dokładnie w ten sposób! A gdyby jeszcze ten ktoś zechciał wprowadzić nie tylko nowe Prawo, lecz nowy System tworzenia Prawa w sposób naturalny i ewolucyjny - czyli prawo w stylu brytyjskim - to mój entuzjazm sięgnąłby szczytu.

Niestety! Zamiast Wielkiego Człowieka, który odważyłby się chcieć - widzimy małego człowieczka, który kręci, kłamie i oszukuje; czepia się drobnych nieścisłości w niedoskonałym prawie - a gdy trzeba (lub nie trzeba...) w żywe oczy twierdzi, że prawo mówi co innego, niż mówi; popiera karierowiczów i miernoty; oświadcza, że „przestrzega Konstytucji” - a na drugi dzień, że złamię prawo i będzie działał nie-konstytucyjnie - a wszystko po to, by jeszcze na rok chociaż przedłużyć Swą kadencję, pozafatwiać interesiki, które namotał Jego totumfacki i jeszcze parę milionów dolarów pozostawić Swym dzieciom. I jeszcze. I jeszcze. I jeszcze. Zamiast chirurgicznej operacji, po której Polska by zaczęła zdrowieć, człowiek ten najspokojniej zapowiada, że będziemy przez parę miesięcy przeżywali wstrząsy. Takie wstrząsy, aby odechciało nam się nawet myśleć, że można Go nie wybrać ponownie! I przeżywamy. Jutro Pan Prezydent oświadczy, że chce np. wystąpić z ONZ. Część Prawicy przykłaśnie - o naiwna: Pan Prezydent pobędzie tydzień na ekranach telewizorów - i powie, że miał na myśli co innego i Swój cel osiągnął. Albo zaproponuje ONZ-owi kompromis.

Pan Lech Wałęsa myśli, że im dłużej występuje na ekranie, im bardziej się miota - tym większą ma szansę wygrania wyborów. Być może ma rację - ludzie są ogłupieni do tego stopnia, że nie odróżniają kto chce ich dobra. Zresztą p. Lech Wałęsa wcale nie chce zła:

On tylko chce nadal jeździć za granicę, mieć dużo telefonów, i żyjąc w luksusie nic nie robić - dokładnie tak, jak życie prezydenta wyobraża sobie elektryk po szkole zawodowej. I na to byłoby nas stać - ale p. Lech Wałęsa gotów jest w tym celu potrząsnąć całą Polską.

I na to nie ma zgody!

O czasy! O obyczaje! Senat to rozumie, Sejm widzi - a On ciągle trwa! Trwa? On nawet drapuje się w togę Przyjaciela Ludu, notuje oczami, kto Mu sprzyja, a kto nie - i każdego, z którym się nie zgadza, próbuje usunąć ze stanowiska. Skłóca ze sobą partie polityczne, wstrząsa



Polską, ośmiesza nas przed zagranicą - tylko po to, by zwiększyć szanse Swego ponownego wyboru. I zamiast walczyć z demokracją, która Mu w gruncie rzeczy przeszkadza, publicznie wychwala jej zalety!

O czasy! O obyczaje! W sprawie kandydatury p. Romualda Szeremietiewa na stanowisko Ministra Obrony Narodowej jeden z Panów: Prezydent lub Prezes Rady Ministrów - ewidentnie i celowo kłamie! [Po odwołaniu w końcu 1994 r. (w następstwie tzw. obiadu drawahiego)]Jeden powiada, że ma taśmę z nagraniem - ale jej nie pokaże, drugi twierdzi, że niczego nie powiedział. Mamy kłamcę na jednym z wyższych Urzędów - i nic! Nikt nie domaga się wyjaśnienia tej sprawy - po prostu: nie ma jej - bo nikt nie będzie miał z jej wyjaśnienia pieniędzy.

Jednocześnie reprezentanci Demokracji: Sejm i Senat - ośmieszają się uchwalaniem, że ich uchwały są zgodne z prawem - jak gdyby to do nich należała Władza Sądownicza! Zamiast postąpić zdecydowanie i po męsku: zdjąć ze stanowiska Osobę w sposób jawny łamiącą prawo przez nich ustanowione, zastanawiają się nad kompromisem. Nie działa żadne Prawo nie działa nic Dowodzi to, że demokracja w Polsce albo od początku nie miała szans, albo ośmieszyła się do tego stopnia, iż próby jej kontynuacji są beznadziejne. W każdym zaś razie nie jest zdolny do sprawnej pracy żaden Sejm: jak Polska ma oczekiwać, że Sejm obroni nas przed agresją zewnętrzną, skoro Wysoki Sejm i Czcigodny Senat nie są w stanie obronić się same przed jednym człowiekiem mającym parę procent, poparcia w społeczeństwie i żadnej realnej władzy - ale za to zdecydowanym walczyć wszelkimi sposobami o swój stołek? Jediną instytucją państwa, której zależy nie na formie tego państwa, a na tym, by ono istniało, było praworządne i na tyle bogate, by utrzymać swój aparat - są Siły Zbrojne. Jest wojsko i policja. Im nie zależy na polityce - tylko na tym, by na terenie objętym, władztwem Rzeczypospolitej panowało Prawo i Porządek, by polityka zagraniczna umieściła państwo w jakimś zdolnym do obrony sojuszu, a Siły Zbrojne miały dość mocy, by sprostać wymaganiom obronnym i zaczepnym.

Oczekuję więc, że Siły Zbrojne spełnią swój obowiązek: odsuną od władzy skorumpowanych, oszalałych, ogłupiałych, lub po prostu niezdolnych polityków - zarezerwowawszy dla nich 561 miejsc w dobrze strzeżonym szpitalu psychiatrycznym; że zaprowadzą jakieś proste i sprawdzone Prawo; że oszuści będą się bali, a uczciwy człowiek będzie chodził z podniesioną głową.

Nowoczesna technika zna pojęcie „foolproof” - systemu odpornego na głupotę. System Prawa musi być taki, by było ono odporne na normalną w społeczeństwie porcję głupoty i

egoizmu. Systemem takim jest Wolny Rynek, gdzie egoizm ludzki daje dobroczynne skutki społeczne, a wszyscy mają interes, by wszyscy działali uczciwie. Tym samym sami tego, z minimalną pomocą policji, pilnują. I tylko taki system ma szansę przetrwania na dłuższą metę. Tego więc oczekuję.

## DEMOGERONTOKRACJA

Imigranci amerykańscy mówią o kontynencie, z którego przyjechali „Stara Europa”. Traktowane jest to jako określenie sentymentalne. I odpowiada to dokładnie rzeczywistości.

Europa jest przeraźliwie stara. Z jednej strony wydłuża się wiek życia. Ludzie żyją średnio dwa razy dłużej, niż sto lat temu! Z drugiej strony maleje liczba urodzonych dzieci.

Proces ten ma charakter sprzężenia dodatniego. Rozumowanie jest takie: nie mamy dzieci - bo nas na to nie stać. Jeśli jednak mamy mało dzieci, to w następnym pokoleniu jeden człowiek ma na utrzymaniu więcej ludzi (z pokolenia swoich rodziców) - a więc tym bardziej „nie stać go na dzieci”!

Przyczyną tego, że „nie stać nas na dzieci” jest po prostu przeraźliwy egoizm - a raczej krótkowzroczność plus jeszcze coś - o czym za chwilę. Przeciętna rodzina w XX-wiecznej Europie (i w Ameryce) żyje na poziomie wyższym, niż milioner w wieku X - i wyższym niż przeciętny książę w wieku XVIII - a przecież wtedy nie tylko milionerów „stać było na dzieci”! Dlaczego teraz nas nie stać?

Jedną z przyczyn jest demokracja. W demokracji rację ma większość i ma ona prawo obrabować tych, co nie głosują. Ja dziś głosuję - i w głosowaniu mogę okraść swoje dzieci, oraz dzieci wszystkich moich bliźnich - np. ustanawiając, że w przyszłości emerytury będą dwa razy wyższe (a dopłaci się z zarobków przyszłych pokoleń). Można uchwalić np. „deficyt budżetowy” - czyli zaciągnąć pożyczkę, którą będą musiały spłacać następne pokolenia. Zauważmy, że przy tym systemie nie warto mieć dzieci: im więcej ma ich rodzina, tym większą część długu publicznego będzie spłacać!!!

Drugą przyczyną jest owo „jeszcze coś”. Jest to system ubezpieczeń.

System emerytalny oznacza, że w formie składki odbiera się (w Polsce - pod przymusem - bardzo wielkie) pieniądze. Pieniądze te normalna rodzina zużyłaby na wychowanie swoich dzieci - i to dobre wychowanie: takie, by dzieci dobrze zarabiała i mogły (i chciały!) rodziców utrzymać na starość. Człowiek jest z tych pieniędzy obrabowany - ale też nie musi już mieć dzieci, które by troszczyły się oń na starość, gdyż... ma zapewnioną emeryturę (pochodzącą ze spodziewanego rabunku!). Można pokazać, jak krzywa wzrostu ubezpieczeń ładnie skorelowana jest z krzywą spadku przyrostu naturalnego.

Skutki starzenia się Cywilizacji Białego Człowieka są straszliwe. Przede wszystkim:

rzędzą staruchy. W monarchii, gdy umierał stary król, z młodym przychodzili nowi urzędnicy. W demokracji, zwłaszcza biurokratycznej, zanim człowiek dochrapie się stanowiska, jest już po 50-tce!! Gdzie te czasy, gdy człowiek mający 25 lat bywał marszałkiem, gdzie Wilhelm Pitt był premierem Wlk. Brytanii w wieku 23 lat! Gdy markiz de Lauzun uważał się za zbyt starego do żeniaczki mając 29 lat! Ale i czasy - przypomnijmy - gdzie wyjątkowo szanowano wiek sędziwy i na stanowiska senatorów, radców, sędziów wybierano ludzi doświadczonych. Młodzi mieli wykonawstwo i wolno im było hasać w stopniu wręcz dla dzisiejszego „europejczyka” niewiarygodnym - starzy ustalali tylko pewne ramy. I nikomu jakoś nie przychodziło do głowy, by np. nakazać rycerzom przywiązywać się postronkiem do konia (choć spadając można się było zabić!!) - podczas gdy dzisiejsi neofaszyści zwani „europejczykami” każą nam zapinać się pasami we własnych samochodach.

Pochodzi to stąd, że ludzie starzy się boją. A strach jest złym doradcą. By iść do przodu - trzeba ryzykować! Starzy boją się ryzyka właśnie. Jak tak dalej pójdzie, zlikwidują w ogóle samochody (rocznie na drogach Polski ginie 7000 osób...) - dla dobra ogółu rzecz prosta! Tak, jak zlikwidowali w praktyce loty kosmiczne (w jakim kraju wolno sobie wybudować prywatną raketę?).

W żadnym chyba nie wolno. Argument jest taki, że prywatna rakietą mogłaby się rozlecieć. To prawda: jestem przekonany, że prywatne rakiety kosztowałyby 50 razy mniej, niż państwowe - ale rozwaląby się 10 razy częściej. No, i co z tego? Lecieliby nimi prywatni ochotnicy - a przypominam, że starcy rządzący światem przed laty nie ośmielali się naruszać podstawy naszej cywilizacji: „Chcącemu nie dzieje się krzywda”! Jak ktoś chce ryzykować - jego sprawa! A, że taka rakietą może spaść i zabić ludzi? Może! Rocznie ginie na drogach świata ok. 200 000 osób - i jak na razie nie likwidujemy samochodów; czy więcej zginie od spadających raket??!?

Gerontokracja od maleńkości indoktrynuje dzieci, by nie zagroziły temu ciepełku: już w przedszkolu uczy się, by nie ryzykować, że najważniejsze jest bezpieczeństwo, zabezpieczenie, ubezpieczenie, bezpieka. Po to właśnie istnieje np. przymus szkolny!

Władza starców dobiega jednak kresu. Nowe państwa Azji - tak, jak kiedyś Hunowie - gdzie przyrost jest ogromny, ludzie młodzi i energiczni, a wolny rynek zapewnia ogromne bogactwo, wkrótce zaleją Starą Europę i Amerykę. Oni już ją zalewają - tak samo, jak Germanie i inni zaleli stare Imperium Rzymskie (gdzie zresztą cesarze, zdając sobie sprawę z

niebezpieczeństwa, próbowali edyktami zmusić kobiety do rodzenia dzieci, bezskutecznie...). Zależą - o ile młodzi się nie zbuntują i nie rozwalą tego systemu.

Zrozumienie tego pozwala inaczej spojrzeć np. na poczynania Kościołów. Nawoływanie do rozrodczości ma - być może - znacznie ważniejsze powody, niż chęć pobierania pieniędzy za chrzty, nieprawdaż? A czy niewiara w życie pozagrobowe nie ma przypadkiem też wpływu na to, że ludzie tak panicznie boją się ryzykować?

Jednak żadne nakazy prawne nie zmuszą ludzi do płodzenia dzieci. Ludzie muszą tego chcieć. W tym celu trzeba zniszczyć największe monstrum XX wieku: system ubezpieczeń! Trzeba też zniszczyć demokrację - a przynajmniej uniemożliwić ludziom zaciąganie większością głosów długów na konto przyszłych pokoleń.

Jeśli tego nie zrobimy, nasze dzieci będą niewolnikami, a potomkowie Chana Dżyngiza będą poić konie w Sekwanie - pardon: latać w odrzutowych olstrach nad Wieżą Eiffla.

PS. Dlaczego nie będą w nich latać nasze dzieci? Dlatego, że jest to niebezpieczne... Niedługo nawet prawa jazdy będzie się wydawało dopiero od 19-go roku życia... Właściwie już się je tak wydaje: dolnym wiekiem jest 17 lat (za moich czasów: 15 - zwracam uwagę, że od tego czasu samochody stały się bezpieczniejsze...), a dopiero po dwóch latach będzie się miało pełne prawa, tj. wolno będzie wozić innych!

## CZECZENIA

Wyobraźmy sobie, że od kilku lat rządzi Rosją jakiś w miarę normalny, jak na Rosję, dyktator. Powiedzmy: car - nie taki dureń, jak Jan Groźny lub Piotr I, ale taki jak Katarzyna II. I oto któregoś pięknego dnia 1993 roku, w Czeczenii (stanowiącej składową Imperium, w której podbój włożono wiele wysiłku) jakaś watażka oznajmia, że nie uznaje władzy w Moskwie - i oto ogłasza „niepodległość”.

Najprawdopodobniej po dwóch dniach w Groznm pojawiłby się wysłannik Cesarza, w asyście batalionu komandosów. Ludność, która niczego innego nie oczekiwała, pokiwałaby tylko głowami i pogodziła się z sytuacją. Poza garstką fanatyków nikt by palcem nie ruszył, by poprzeć p. gen. Dżochara Dudajewa (nikt; nawet ci, co liczyliby na posady w „niepodległej Czeczenii” - bo oni umieją liczyć!) P. Dudajew zwiąłby (o ile by zdołał) na Seszele, Malediwy, lub do jakiegoś muzułmańskiego państwa, z którym Rosja byłaby akurat w złych stosunkach - i porządek zapanowałby w Groznm.

Albo też, być może Car doszedłby do wniosku, że utrzymywanie tej kolonii jest nieopłacalne - i sam narzuciłby jej „niepodległość”, podobnie jak zrobili to Brytyjczycy w latach 60-tych i jak obecnie Piemont i Lombardia próbują pozbyć się swych równie kosztownych sycylijskich i kalabryjskich kolonu.

Tak czy owak: w obydwu przypadkach na ulicach najprawdopodobniej nie byłoby ani jednego trupa. Tak bywa, gdy władza jest męska, tzn. wie, czego chce.

Co zrobiła „mięka” demokratyczna władza w Moskwie?

Najpierw na deklarację niepodległości Czeczeniu w ogóle nie zareagowała. Potem zaczęła z jednej strony się oburzać - a z drugiej bredzić, że uznaje „prawo do samostanowienia”, a że „szanuje wolę ludu Czeczenii” itd. Wysyłała oświadczenia i napomnienia...

...a w międzyczasie władza p. gen. Dudajewa krzepła, a ludzie przyzwyczaili się do myśli, że oto Moskwa de facto uznała tę władzę.

Po półtorej roku Moskwa oświadczyła, że dłużej tego tolerować nie będzie - co wszystkie państwa na świecie potraktowały z pełnym zrozumieniem i aprobatą - dokładnie tak samo, jak postąpiłyby, gdyby p. Donald Tusk ogłosił niepodległość Kaszub (z tym, że Kaszuby są proporcjonalnie dużo większe od Czeczenii). Jednocześnie oświadczyła, że do zgniecenia oporu wystarczy batalion komandosów. Następnie wysłała dwa pułki pancerne, które poniosły na

ulicach miasta sromotną porażkę. Dopiero potem posłała naprawdę dwa bataliony komandosów...

Towarzyszył temu obrzydliwy spektakl propagandowy. O tym, że tak naprawdę to Rosja wkracza nie dla realizacji naturalnego interesu Imperium - lecz dla „spełnienia najbardziej ukrytych pragnień ludu Czeczenii, że po zajęciu Czeczenii spełni wolę tego ludu - nie wyjaśniając, rzecz jasna, co zrobi, jeśli lud będzie przypadkiem - bo wcale nie jest to pewne - wolał p. gen. Dudajewa od p. Prezydenta Jelcyna.

Otóż jest rzeczą całkiem prawdopodobną, że zależność od Moskwy jest dla Czeczenii korzystniejsza, niż rządy p. gen. Dudajewa; jako Kurd na pewno wolałbym rządy Ankary od rządów Demokratycznej Partii Kurdystanu, która o taką samą „niepodległość” właśnie walczy. Niezależnie jednak od tego jest rzeczą zrozumiałą, że wielkie Imperium nie może tolerować sytuacji, w której dowolny kawałek może się od niej odłączyć - bo przykład jest zaraźliwy i grozi to destabilizacją: ci, co domagają się niepodległości powinni pamiętać o przykładzie Jugosławii (i o rzeziach Ormian w okresie I wojny światowej - na przykład).

Natomiast o poczynaniach Moskwy można powiedzieć tylko jedno: jeśli ktoś by chciał zaognić sytuację i wywołać wojnę z tysiącami trupów na ulicach, odnowić nienawiść Czeczeńców do Rosjan itd. itp. - to nie mógłby postąpić lepiej.

Krążą po Moskwie niewątpliwe pogłoski, że nieudolność p. Prezydenta Jelcyna spowodowana jest tym, że jest On agentem USA albo masonerii - i dostał zadanie rozwalenia resztek Imperium. Tymczasem prawda jest chyba po prostu taka: panuje tam klasyczny demokratyczny burdel - i tyle. I że liczba trupów, gdy nie silnej władzy, jest wielokrotnie większa, niż gdy rządzi tyrania.

I teraz pro domo sua: jeśli ktoś uważa, że w interesie Polski leży osłabienie Rosji - i w tym celu niech Kaukaz krwawi, niech giną tysiące Rosjan i Czeczeńców - to niech tak po prostu powie! To będzie uczciwie postawienie sprawy. Być może politycy demokratyczni nie chcą nazwać rzeczy po imieniu - z powodów propagandowych; w porządku. Ostatecznie Francuzi, Niemcy i Belgowie w XIX wieku, patrząc jak Polska krwawi w idiotycznych powstaniach, też nie zacierali rąk, lecz z obłudną troską zachęcali „Działajcie!” (a potem: „Trwajcie!” - oczywiście niczego nie obiecując). Jeśli moskiewscy propagandziści wypisują te swoje brednie to widocznie w oczach tzw. „światowej opinii publicznej” to się opłaca. Jeśli jednak ktoś naprawdę wierzy, że Polska powinna pomagać Czeczenii, bo „bo każdy naród ma prawo do samostanowienia” - to powinien się najpierw zastanowić, czy poparłby taki sam postulat

Murzynów w Ameryce, Polpotystów w Kambodży - i Kaszubów w Polsce. O Śląsku, posiadającym przecież przed wojną autonomię, a nawet własny Sejm - nie zapominając.

Polityka musi opierać się na moralności. Jak słusznie zauważył już Fryderyk Nietzsche, niemoralne jest, gdy słabi usiłują krzykiem coś wymóc na mocnych. A teraz czekamy na odpowiedź na pytanie: czy Rosja jest mocna?



## PLUSZOWY MIŚ?

Melchior Wańkowicz - pisarz, którego politykę uważam za obrzydliwą, ale który miał bardzo trafne oceny - spolszczył angielskie „wishfullthinking” na „chciejstwo”. Oznacza to postawę, w której zamiast widzieć rzeczywistość taką, jaka jest, staramy się usilnie widzieć ją taką, jak nam by się podobała...

W polityce jest to rzecz niesłychanie niebezpieczna.

Zwłaszcza, gdy odnosi się do wielkiego mocarstwa...

Taką właśnie „politykę” uprawia od miesięcy nasza prasa w stosunku do Rosji.

Telewizja i gazety pełne są opisów demonstracyj na Placu Czerwonym - gdzie przeciwko wojnie w Czeczenii demonstruje tysiąc (albo i 2000 osób); jak znam dziennikarzy, to naprawdę było ich 400... Pisz się, jak powszechnie popierane są deklaracje partii „Wybór Rosji”, która potępia integrację w Groznych i wzywa do uznania de facto niepodległości Czeczenii. I o tym, jak ichni Rzecznik Praw Obywatelskich p. Sergiusz Kowaljow (taki sam „pożyteczny idiota”, jak p. prof. Tadeusz Zieliński, tylko jeszcze głupszy) stoi po stronie Czeczeńców, co „zapewnia Mu powszechny szacunek”.

Zapewne byłoby niezłe, gdyby Rosja obecna była krajem równie pacyfistycznym, jak USA w 1968 roku. Rzecz w tym, że jest to obraz nieprawdziwy!

Podobnie jak w przypadku Wielkiej Brytanii interweniującej na Falklandach Rosjanie w ogromnej większości popierają przywrócenie konstytucyjnego porządku w Czeczenii (tak: Konstytucja Federacji Rosyjskiej - w odróżnieniu do konstytucji b. ZSRS - nie daje republikom prawa do ogłaszania niepodległości!); jeśli mają pretensje do Prezydenta, to za to, że interwencja jest nieskuteczna, a armia, na którą tyle płacą, jest niesprawna. Popularność - zarówno w Parlamencie, jak i na ulicy - zdobywa się wojowniczymi przemówieniami. Za śmierć rosyjskich żołnierzy tylko część opinii publicznej obwinia rząd - ogromna część obwinia po prostu Czeczeńców, którzy ich zabili - nb. nierzadko dość okrutnie: górale nie patyczkują się specjalnie ze znienawidzonymi najeźdźcami!

Z okazji Powstania Styczniowego (i Listopadowego) też zaistniała w Rosji opinia broniąca powstańców - została jednak szybko zmieciona przez frakcję wojny: Puszkina z dumą opiewał zdobycie Warszawy! Dokładnie to samo dzieje się obecnie w Rosji: ci, co nawołują do tego, by Polacy byli patriotami i popierali swoją armię, muszą zrozumieć, że w Rosji też są

patrioci!

Co więcej: my nie musimy wszystkich nadziei opierać na armii - tym bardziej, że trudno oczekiwać, by Wojsko Polskie wygrało obecnie jakąś wojnę. Natomiast Rosjanie jeszcze niedawno byli (a przynajmniej uważali się za) drugą wojskową potęgę świata! W gospodarce, w sporcie nie mają sukcesów. Pokonanie choćby i Czeczeńców da motłochowi tak potrzebną satysfakcję.

Jak ktoś chciał mieć w Rosji d\*\*\*krację - to ma. Niech tylko pamięta, że Lud uwielbia, gdy jego armia przydeptuje gardło komu innemu. I jest to całkiem zdrowe uczucie! To elita powinna trzymać je w ryzach - i spuszczać ze smyczy tylko w razie politycznej potrzeby. W d\*\*\*kracji smycz trzyma w zębach sam pies...

Przestańmy się oszukiwać! Casus Czeczenii wyzwolił w Rosjicy tego chcemy, czy nie chcemy, wybuch uczuć narodowych i szowinistycznych. Izolowany jeszcze niedawno p. Włodzimierz Żyrynowski wyrasta ponownie na najbardziej konsekwentnego polityka... To przykre, ja wiem - ale rzeczywistości trzeba spojrzeć w twarz!

Zwłaszcza, gdy się jest w Unii Polityki Realnej.

Zaś dziennikarze, z lubością wyolbrzymiający każdy defetystyczny czy pacyfistyczny odruch części Rosjan (ach, jakże pragnęlibyśmy, by zamiast Białego Niedźwiedzia na Kremlu rezydował Pluszowy Miś!) - powinni odpowiadać za szerzenie fałszywych wiadomości mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Rzeczypospolitej!

Jednocześnie Imperium Rosyjskie odradza się. Po Białej Rusi kolej na Kazachstan, który podpisał był właśnie z Rosją porozumienie o scalaniu armii obydwu państw.

Wygląda na to, że Polska w ciągu najbliższych lat (a może nawet miesięcy) będzie się musiała zdecydować: albo będzie lojalnym sojusznikiem Rosji - albo wstąpi do NATO (o ile Sojusz będzie chętny - i zdolny do zapewnienia nam ochrony przed p. Żyrynowskim i Jewo kammandą).

## WOLNOŚĆ CZY NIEPODLEGŁOŚĆ?

Od 1 grudnia 1991 r. Polska nie graniczy już z Ukraińską SRR, lecz ze samoistną Ukrainą. Jest to fakt z tych, jakie rzadko zdarzają się w historii: tak, jak rzadko w biologu tworzy się nowy gatunek. Ukraińcy poprzez naturalny proces, nieco wspomagany przez sąsiada (stworzenie Kościoła unickiego, dostrzeganie i współtworzenie ukraińskiego języka literackiego) wyodrębnili się w naród - a ukoronowali to powstaniem zdecydowanie narodowego państwa. Wbrew pozorom nie wróży to dobrze Ukraińcom. Np. Hetyci mieli własne państwo - i po Hetytach zniknął niemal wszelki ślad. Natomiast istnieje i kwitnie nadal wiele narodów, które nigdy nie miały własnego państwa, np. Słowacy, Pasztunowie czy choćby Cyganie.

Rzecz w tym, że państwo - to biurokracja, a biurokracja zabija swym śmierdzącym oddechem wszystko, czego się dotknie. Państwo jest, jak się wydaje, wbrew przekonaniom anarchistów niezbędne - ale na pewno trzeba państwo trzymać z daleka od tak ważnych bytów jak Jednostka Ludzka, Ludzkość, Naród, Kościół czy Rodzina. Stąd też słynny Lord Acton twierdził, że pomysł, by narodowość tworzyła sobie państwo przeczy zasadzie nowoczesnej cywilizacji. Przekonaliśmy się o tym my: Polska pod zaborami to kraj ludzi uczciwie pracujących, pielęgnujących z czcią własną kulturę i język (kto najlepiej przez tysiąclecia przechowywał kulturę i język? Żydzi i Cyganie - a proszę zobaczyć jak wygląda III pokolenie Polaków w Chicago!) Polska niepodległa to nieszczęsny wiek XVII i XVIII, to również dzisiejszy upadek kultury, brak szacunku dla własnego języka i narodowego obyczaju.

Przekonają się o tym i Ukraińcy. No - ale tłumaczenie młodożeńcowi, że za pięć lat będzie się z żoną kłócił i wyzywał, jest bez sensu - zwłaszcza gdy jest nieprzytomny ze szczęścia, a w takim właśnie stanie są Ukraińcy. Gdyby w dniu uzyskania przez Polskę niepodległości, 7.X 1918, jakaś Kasandra prorokowała, że skończy się to parlamentarnym bałaganem, zamachem wojskowym, socjalizmem, Berezą Kartuską, a wreszcie sromotną klęską wrześniową z milionami ofiar i wpadnięciem w szpony Stalina - to by ją zapewne obrzucono błotem, o ile nie kamieniami. [Za dzień odzyskania niepodległości podaje się 11 listopada 1918, tj. datę powierzenia przez Radę Regencyjną Królestwa Polskiego dowództwa nad Wojskiem Polskim oraz misji utworzenia rządu powracającemu z Magdeburga Józefowi Piłsudskiemu. Skoro jednak uznaje się ten akt, konsekwentnie trzeba też uznać legalność Rady Regencyjnej, która 7.10.1918 r. wydała manifest „Do Narodu Polskiego” proklamujący niepodległość Polski oraz zapowiadający powołanie rządu

reprezentującego szerokie spektrum polityczne.]

Tak więc: Ukraińcy w ogromnej większości chcą niepodległości, Rosja się z tym godzi, Polska wita to z radością (choć nie bez obaw, oczywiście), Białoruś przyjaźnie, Mołdawia entuzjastycznie (acz zaraz będzie spór o Jedisan!). No, i wszystko gra.

Ja chcę tylko zaprotestować przeciwko jednemu.

Ukraińska prasa emigracyjna nieustannie mówi, że Ukraińcy uzyskali 1 grudnia WOLNOŚĆ.

Aaa - co do tego, to jeszcze poczekajmy z oceną!

Proszę zauważyć, że np. Szkocja, Bawaria, Kaszuby czy Porto Rico nie są niepodległe. Nie jest też niepodległy Ulster - i niektórzy Irlandczycy są z tego tak niezadowoleni, że aż bomby rzucają. Również kultura szkocka poniosła na unii z Anglią (i litewska na unii z Polską!) większe straty, niż np. kultura chińska w skolonizowanym przez Portugalczyków Macao. Jednak WOLNOŚĆ w Szkocji, w Macao, w kolonialnym Hongkongu itd. - jest znacznie większa, niż w niepodległej Rumunii za Mikołaja Causescu czy w niepodległej Chińskiej Republice Ludowej.

Również - co nie do wiary dzisiejszemu Czytelnikowi, chowanemu na socjalistycznych bredniach pisanych przez sanacyjnych i komunistycznych pismaków - wolność w carskiej Rosji była (od zniesienia pańszczyzny, oczywiście) znacznie szerzej rozwinięta niż w dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Nie przypominam sobie, by wówczas eksporter ubiegał się o jakąś „licencję” lub inny kontyngent, nie przypominam też sobie, by mój pradziad (mam w domu jego prawo jazdy!) musiał we własnym samochodzie zapinać pasy lub jeździć z apteczką - choć samochody były wówczas bardziej zawodne, a wypadki częstsze.

Prezydentem Ukrainy wybrano p. Leonida Krawczuka. Dla sprawy WOLNOŚCI na Ukrainie nie tyle groźne jest, że to b. towarzysz awansowany na Jego Ekscelencję (ostatecznie Gustaw II Adolf był rewolucjonistą napoleońskim - a rządził Szwecją nieźle i sprawiedliwie), ile ponad 60-procentowe poparcie, jakie otrzymał od Ukraińców, mogących sobie przecież wyobrazić, że w polityce wewnętrznej oznacza to kontynuację. Na początek p. Krawczuk zapowiedział posyłanie, jego ludzi (a ma ich 10 000, samych prawie byłych towarzyszy) do każdej gminy, by pilnowali, aby nie powstały tam samodzielne republiki. Niby jest to słuszne - praktyka jednak pokazuje, że gdy były etatysta dostanie do ręki narzędzia władzy, to przestaje zachowywać się jak liberał, a wraca do dawnych nawyków (być może p. Ireneusz Sekuła jest

znakomitym liberalnym przedsiębiorcą - ale jestem pewien, że gdyby znów postawiono go na czele jakiegoś socjalistycznego ministerstwa, to postępowałby jak rasowy socjał!).

W dodatku: czym właściwie jest „niepodległość”? Dlaczego nie mają mieć do niej prawa Gagauzi i Hucułowie oraz Łemkowie - kiedy raz przyjęliśmy zasadę „narodową”? Czy jeśli republika Pororui składa się z Aronii, Biuronii i Cytronii, z których każda część domaga się niepodległości - to republika ta jest „niepodległa”?

Liberał nie stawia sobie zazwyczaj takich pytań - chyba że w ramach ciekawych ćwiczeń umysłowych („Czym różni się niepodległość Indii AD 1990 od niepodległości Europy AD 1943?” - Niczym. „A niepodległość Kaszub od niepodległości Słowenii?...”) Liberał zastanawia się, czy WOLNOŚĆ na Ukrainie wzrosła czy zmalała.

I patrzy nie tyle na kierowców jeżdżących bez pasów, ile na liczbę zarządzeń i procent dochodu przechodzącego przez budżet, pyta, czy istnieją prywatne banki, prywatne szkoły i więzienia, czy są może nawet - prywatne pieniądze i czy policja (najlepiej też prywatna) sprawnie łapie złodziei? Czy rząd ma prawo człowiekowi odebrać jego własność?

Wkrótce sprawa się wyjaśni...

## WIARA

Wszystkim, którym na sercu leży, by w Polsce panowały dobre, chrześcijańskie obyczaje i bojaźń Boża (ateistom wyjaśniam, że gdy ludzie boją się kary Bożej, to na policję trzeba wydawać o wiele mniej pieniędzy) - przypominam, że krajem najbardziej religijnym (do dzisiaj - Nowy Jork i San Francisco to wyspy socjalizmu w oceanie przyzwoitej, bogobojnej Ameryki) w naszej cywilizacji są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Warto przeanalizować, dlaczego tak się dzieje.

Dwa najistotniejsze czynniki rzucają się w oczy:

- 1) W USA między poszczególnymi wyznaniami panuje wolna konkurencja.
- 2) W USA obowiązuje rozdział Kościołów od państwa.

Pierwszy czynnik jest wręcz zbawienny: wprawdzie jak grzyby po deszczu powstają tam coraz nowe, wariackie wręcz sekty religijne (i znajdują zwolenników - co właśnie świadczy o głębokiej i żarliwej religijności Amerykanów!) - jednak zanikają niemal równie szybko, jak się pojawiają. To tam właśnie - a nie w Polsce Ludowej, jak podejrzewali zawzięci anty-komuniści - narodził się Kościół Polsko-Katolicki. Natomiast Kościoły oparte o prawdziwą wiarę - rozwijają się spokojnie i równomiernie. W szczególności Kościół Rzymsko-Katolicki zyskuje z roku na rok coraz więcej wiernych - wbrew niechęci, a nawet nienawiści, jaką budzi wśród sporej części obywateli. Jako ciekawostkę przypominam, że Wielbny Ryszard Neuhaus, czołowy ideolog kapitalizmu wśród Metodystów, przed dwoma laty nawrócił się na katolicyzm; bardzo dobrze: podczas rozmowy z Nim w 1987 roku przekonywałem Go żarliwie, że nie ma ważniejszej sprawy, niż nawrócenie Watykanu na wiarę w wolny rynek... O tym, że konkurencja działa zbawiennie, Czytelników „NCz!”-u przekonywać chyba nie muszę: wszelkie odchodzenie od zasad religii powoduje wtedy od razu... odpływ wiernych (o czym ostatnio przekonał się Kościół Anglikański - po „wyświęceniu” kapłanek).

Czynnik drugi utrwała pierwszy. Gdy rząd nie dotyka się Kościołów, Kościoły nie mogą nic uzyskać od rządu. Znika więc potencjalne źródło korupcji i demoralizacji. Ja wiem, że część Hierarchii wielu Kościołów po cichutku marzy o wpływie na państwo - podobnie jak wielu mężczyzn marzy o rzeczach nieprzyzwoitych - ale marzenie jest grzechem lekkim... Jeśli polityk umożliwi kapłanom korumpowanie się, to popełnia grzech ciężki!

Zajmujący się polityką katolik w Polsce ma poważny dylemat moralny: jako rzymski

katolik i dobry bliźni powinien stworzyć obywatelom jak najwięcej szans na to, by żyli w tej właśnie wierze, która - jego zdaniem - zapewnia największą szansę Zbawienia. Z drugiej strony, jako polityk, powinien dbać, by Kościół katolicki miał jednak realną konkurencję. Trudno jest wytłumaczyć łośiowi, że utrzymywanie wilków jest korzystne dla utrzymywania jego gatunku - ale taka jest prawda: bez konkurencji następuje wyrodzenie się wszystkiego (o czym powinni pamiętać zwolennicy Państwa Światowego!); w szczególności zbyt wyraźne zwycięstwo Kontr-Reformacji w Polsce skończyło się źle - co poddaję pod rozwagę politykom typu p. Henryka Goryszewskiego, twierdzącym, że jak cała Polska będzie katolicka - to wszystko będzie cacy.

Ostanie lata dominacji Kościoła katolickiego i jego powiązania z władzą przyniosły fatalne skutki - i dla „Solidarnościowej” władzy (nie łudźmy się: powielanie przez p. Jerzego Urbana w milionowym nakładzie wszelkich - zwłaszcza wstydliwie skrywanych - dotacji państwowych dla Kościoła miało ogromny wpływ na wybory!), i dla Kościoła. Odpiływ wiernych do innych wyznań (zwł. do Świadków Jehowy) jest spory, kościoły pustoszeją, ofiary na tacę maleją. Jednak w Kościele Unickim, Prawosławnym, Ewangelicko-Augsburskim (luteranie) i Ewangelicko-Reformowanym (kalwini) też nie dzieje się dobrze. Ten pierwszy był nazbyt często wykorzystywany jako narzędzie polityczne - co powodowało, niestety, korupcję wiernych. Cerkiew z kolei, ze Swoimi wschodnimi tradycjami czołobitności wobec władzy, w ogóle nie pasuje do polskiego modelu obywatelskiego - i nie zapewnia Swym wyznawcom dostatecznego wsparcia moralnego.

Bardzo źle dzieje się w Kościołach protestanckich. Wybrały one drogę Wolności (jeszcze w czasach Maxa Webera uważano Protestantów za obrońców Wolności, w tym i gospodarczej) - ale, i, niestety, Demokracji. Po oderwaniu się od Hierarchii Rzymu padły ofiarą poszczególnych rządów. Ciekawe, że znacznie lepiej trzymały się w państwach takich, jak PRL lub Niemcy hitlerowskie (gdzie nie miały żadnych przywilejów) - niż w totalitarnych reżimach jak NRD lub Szwecja, gdzie stały się (w NRD tajnie - w Szwecji jawnie) narzędziem państwa... i utraciły zaufanie wiernych.

Zjawisko nie dotyczy tylko NRD. Wszystkie te Światowe Rady Kościołów, Ruchy Ekumeniczne itp. są infiltrowane przez agentów KGB i lokalnych policyj. Co prawda: Józef Mackiewicz uparcie twierdził, że po Vaticanum II podobne zjawisko pojawiło się i w Kurii Rzymskiej.

Sprawa Kościołów protestanckich jest aktualna, gdyż rządy „S”, zamiast oddać

Kościółom szybko wszystko, co Im zabrano - i skończyć z wszystkimi przywilejami - zezwoliły na „wyszarpowanie po kawałku” - a w zamian dawały zwolnienia od cła itp. Obecnie rządy, kontynuując strategię Urbana-Żabińskiego chcą, zdaje się, rozciągnąć te przywileje na inne Kościoły...

Zanim nasza Władzuchna kochana zdoła zdemoralizować nawet Kwaków i Świadców Jehowy - trzeba stanowczo powiedzieć: dość tego! Dość „biskupów” nowo-utworzonych sekt prowadzących bez cła setki samochodów - ale też nie powinni tego robić dygnitarze (ani szaraczkowie!) Kościołów o wielkiej tradycji.

Państwo nasze musi zaprzestać rujnującej moralnie polityki „Dziel i Rządź” - stosowanej wobec Kościołów. Nie powinno także brać się za „wyrównywanie” ich pozycji. Powinno wszystkim oddać co ich - i przestać się wtrącać. W sporze o katedry powinny decydować zapisy notarialne i wyroki sądowe, a nie decyzje administracyjne - na przykład. Przestać się wtrącać - to i wyznawcy poszczególnych religij nie będą mieli pretensji do państwa.

Ale - dobry Boże! Jakie to trudne...



## MANIFEST REAKCJI

Parę słów gorzkiej prawdy powiedzieć też trzeba tym, którzy od dziesiątków lat propagują ideał „oświecenia” społeczeństwa - jako panaceum na choroby cywilizacji.

Cała nasza cywilizacja praktycznie zlikwidowała analfabetyzm. Więcej: wszędzie obowiązkowa jest szkoła powszechna, a w niektórych krajach obowiązek kształcenia trwa do 17-go roku życia.

Telewizja oglądana jest po kilka godzin dziennie. Ilość informacji, jaką otrzymuje człowiek, przekracza - zdawałoby się - wielokrotnie tę, jaką otrzymywali nasi przodkowie.

A oto skutki: narasta fala zdziczenia i barbarzyństwa. Ludzie czytają, owszem: głupstwa i horoskopy - i piszą, owszem: głupstwa i donosy. Człowiek zaczyna być traktowany jak rzecz - a proces ten się pogłębia. W polityce rządzi głupota - i spełniają się proroctwa Alexego de Tocqueville, że „im bardziej oświecone staje się społeczeństwo cywilne, tym głębiej brnie ku barbarzyństwu społeczeństwo polityczne”.

Jednocześnie spadł prestiż uczonego („pracownika nauki”), prestiż wiedzy, a wykształceniem się wręcz pogardza - po części słusznie, bo sprowadza się ono do wygłaszania formułek oderwanych od życia.

Różne są tego przyczyny. Tu zatrzymamy się na oświacie. Najpierw opiszmy stan faktyczny.

Stan jest ten zupełnie inny, niż opisują go Oświeceniowcy. Przede wszystkim: człowiek posiada pięć zmysłów - najważniejszym są oczy. Zmysłami tymi człowiek NIEUSTANNIE odbiera INFORMACJE. Stronica książki niesie wiele informacji; ekran telewizyjny jeszcze więcej. Jednak zawsze człowiek z tymi otwartymi oczyma odbiera TYLKO SAMO informacji: tyle, ile pada na zakończenia nerwów w siatkówce oka.

Gdyby więc człowiek nie oglądał filmu w TV, to widziałby twarze swojej rodziny. I tak samo, jak obecnie odgaduje akcję filmu, odgadywałby z ich wyrazu pragnienia i potrzeby. Gdyby nie czytał gazet i książek, słuchałby ich słów. I wiedziałby o nich znacznie więcej.

Znacznie gorsze jest, że otrzymujemy informacje o Świecie Sztucznym - a nasze zmysły traktują je tak, jakby były ze świata prawdziwego. Anna Karenina dla naszych babek była czymś żywszym, niż sąsiadka - i, opłakując Kareninę, nie dostrzegały, być może nie mniejszych, problemów sąsiadki. W nauce: otrzymujemy informacje o świecie z teorii naukowych - a te teorie

po jakimś czasie okazują się fałszywe. Kosmonauta, który kierowałby się teorią Ptolemeusza, raczej nie trafiłby na Marsa - ale kierując się teorią Kopernika... tym bardziej by nie trafił (planety nie poruszają się po kołach, tylko po elipsach! - Ptolomeusz brał na to poprawkę...) Również Newton, Kepller, a prawdopodobnie i Einstein nie przedstawiają prawdziwego Świata - lecz pewien uproszczony model.

I dlatego prawdziwy postęp dokonuje się dzięki tym, którzy nie wierzą w teorie naukowe, wbrew nauce budowali latające maszyny cięższe od powietrza itp.

Teraz krótka ocena tego stanu rzeczy:

Nie jest tak, by ten postęp sam w sobie był szkodliwy. Wielkie umysły potrafią nauczyć się teorii Newtona - i poddać ją potem krytyce. Wielkie umysły potrafią obejrzeć film kryminalny - a potem znaleźć czas, energię i wolne moce informacyjne, by zająć się losem sąsiadów. Z drugiej strony wielu umysłom nie trzeba nadmiaru swobody: teorii Einsteina i tak nie obalą, więc niech po prostu nauczą się jej na pamięć: lepiej korzystać z błędnej, ale bliskiej prawdzie teorii, niż działać metodą „prób i błędów”. Ta druga jest twórcza - ale nas nie stać na to, by wszyscy experimentowali!!

Teraz pora na wnioski:

1. Zło nie leży w oświacie, ani w jej postępkach. Nawet nie w jej powszechności. Zło leży w jej PRZYMUSIE - i w jej UNIFIKACJI.

Wszystkich uczymy tego samego - w dodatku nie pytając, czy tego chcą! Z tą dyktaturą egalitarystów - oświeceniowców należy skończyć.

2. Należy zdecydowanie zerwać z jednolitym typem szkolnictwa - i z przymusem nauki. Nauka tylko wtedy będzie ceniona, kiedy nie będzie przymusowa - a jeszcze bardziej ceniona, kiedy trzeba będzie za nią płacić!

3. Muszą powstawać różne typy szkół, oferujące różną wiedzę.

Jest prawdą, że np. teoria ewolucji pozwala lepiej opisać przemiany świata biologicznego; jest jednak również prawdą, że w wielu umysłach podważa ona wiarę w Boga - a jest też niewątpliwą prawdą, że społeczeństwo bez Wiary rozwija się bez porównania gorzej. Wyjściem z tego dylematu jest oczywiście powszechne nauczanie biologii statycznej - a tylko umysły naprawdę zainteresowane biologią i zdolne do krytycznego jej odbioru powinny być uczone teorii ewolucji!

Nie ma żadnego, najmniejszego powodu by dzieci w szkole podstawowej uczone były

Teorii Zbiorów, teorii Względności lub Teorii Ewolucji. 99% umysłów nie jest w stanie zrozumieć Teorii Względności; nauczyciele z wielkim wysiłkiem osiągają stan, w którym uczniowie wygłaszają formułki umożliwiające udawanie, że tę teorię rozumieją.

Miliony dziewcząt udają, że rozumieją Logarytmy, - a nauczyciele udają, że im wierzą. By wszystkich zmusić do odgrywania tego teatru Oświatowcy wprowadzili: przymus szkolny oraz premiowanie nauczycieli za wyniki oraz współzawodnictwo między nimi. W efekcie żaden się nie przyzna, że w jego klasie nikt nie rozumie Teorii Względności - podobnie, jak za Stalina żaden sekretarz ani lektor partyjny nie przyznał się, że towarzysze ni w ząb nie rozumieją Materializmu Dialektycznego. Miliony nie rozumieją Teorii Względności - i nie rozumieją Teorii Ewolucji (przeciętny absolwent szkoły średniej jest przekonany, że Walka o Byt rozgrywa się pomiędzy gatunkami zwierząt!!).

Wiedza ta nie jest do niczego potrzebna. Przeciwnie! Przeciętnemu leśnikowi nawet raczej przeszkadza. Przeciętny człowiek ma wiedzieć, że istnieją odrębne gatunki - a świadomość, że populacja sosen przechodzi specjację i za 10 000 lat wyłonią się z niej najprawdopodobniej dwa odrębne gatunki, raczej przeszkadza w odpowiedzi na pytanie: Panie Kowalski, to ile sosen jest w tym lesie?”. Nie ma ani jednego efektu Teorii Względności, z którym miałby do czynienia człowiek - nawet i kosmonauta! Mało komu potrzebna jest też wyższa matematyka, którą Oświeceniowcy z upodobaniem męczą nasze dzieci. Oczywiście byłoby to sensowne, gdyby w wyniku tego ich umysły rozwijały się lepiej - niestety, już na początku stwierdziliśmy, że jest odwrotnie!

W dodatku te dzieci tracą czas na naukę logarytmów - a nie umieją mnożyć! Uczą się Teorii Ewolucji - a nie odróżniają sosny od świerka! Uczą się odróżniać Imiesłów Odczasownikowy Bierny od Czynnego - a nie umieją mówić ani streścić książki! Uczą się teorii Względności - a nie znają porządnie dynamiki i kinematyki! „Wiedza” stała się zbiorem nikomu niepotrzebnych faktów i teoryj; nic dziwnego, że jest w pogardzie. Młodzież ucieka z „darmowych” szkół - ale chętnie płaci grube pieniądze za kursy komputerowe, kroju i szycia i inne, na których uczy się czegoś pożytecznego. Jest to obraz klęski.

4. Należy ten martwy system zlikwidować. Tylko ci uczniowie, którzy samodzielnie dostrzegają pewne niedokładności w podziale na gatunki powinni uczyć się Teorii Ewolucji; tylko ci, którzy zainteresowani są Fizyką, powinni uczyć się Teorii Względności. Tylko ci; którzy są na tyle inteligentni, by pojąć, że dla społeczeństwa nie jest ważne, czy Bóg naprawdę

istnieje, a tylko czy ludzie w Niego wierzą - powinni zajmować się tym problemem - albowiem przeciętny człowiek rozumuje prosto: „Boga niet - otca w mordu można!”. Tylko zawodowcom jest do czegokolwiek potrzebna znajomość Gramatyki: podejrzewam, że ani Szekspir, ani Homer w ogóle się jej nie uczyli - a przecież pisali!

5. Ludzie chcą wierzyć, chcą umieć odróżniać sosny, strzelać i majsterkować - Oświeceniowcy uczą ich pogardzać tymi zajęciami - i wlewają do szkół truciznę ateizacji i abstrakcji, potępienie dla wartości i konkretności.

6. Umiejętność operowania abstrakcją, niezależność myśli, chęć obalenia Autorytetu potrzebna jest tylko arystokracji ducha. Zwykli ludzie chcą mieć Autorytety, którym mogliby zawierzyć. A kto należy do tej arystokracji? - ten, kto chce się uczyć. A po czym poznać, czy ktoś chce się uczyć? - po tym, że pokonuje trudności. Np. zamiast ganiać po boisku udziela korepetycji uczniom szkoły podstawowej, by opłacić chesne w gimnazjum...

Szkoły muszą być płatne. O ich programie decydować muszą rodzice - i wolna konkurencja między szkołami.

7. Jedne szkoły produkować będą techników, umięjących błyskawicznie i sprawnie zrealizować każdy pomysł, który wylęgnie się w głowach fantastów - a inne, zapewne nieliczne (bo kogo stać na uczenie rzeczy mało pożytecznych) produkować marzycieli, pogardzających przyziemnymi technikami. I jedni i drudzy są potrzebni! Niestety: i jednych i drugich mordujemy przymusowym pobytem we wspólnych szkołach.

Należy też skończyć z koedukacją; wszędzie w świecie lepsze wyniki osiągnają szkoły dys-edukacyjne, potrafią z uczennic i uczniów wydobyć te zdolności, które są właściwe dla ich płci. Rodzice wrócą do systemów dys-edukacji z widoczną ulgą.

8. Ostatnim aktem obecnej administracji szkolnej powinno być przygotowanie szkół do prywatyzacji i decentralizacji. W tym celu najkorzystniejsze jest rozdrobnienie. Zamiast sieci przedszkoli, odrywających dzieci od matek, czteroklasowe szkółki podstawowe po wsiach, zniszczone za p. Edwarda Gierka; wsie i osiedla stać na utrzymanie jednej nauczycielki - i rodzice zrobią to chętnie. Powinny one objąć dzieci w wieku 5-8 lat.

Uzupełnieniem wykształcenia podstawowego powinna być szkoła dla dzieci w wieku 9-12 lat. Dalej już dziećmi powinny zająć się zawodówki, technika, gimnazja i feminea - na początek też cztero-letnie, kończące się „małą maturą”. Absolwenci powinni iść albo do dwuletnich liceów, typu obecnej „szkoły pomaturalnej” lub też do odpowiedników colledgów,

dających tytuł bakałarza (BA).

Po prywatyzacji, która powinna nastąpić możliwie szybko szkoły te, oczywiście odejdą od tych reguł: niektóre skrócą swój program do trzech - inne wydłużą do pięciu lat; ta reforma potrzebna jest po to tylko, by rozbić zakrzepły układ szkolny, by stworzyć bardziej elastyczny punkt wyjścia.

Istotą reformy jest zmiana podejścia do wiedzy. Zrozumienia, że wiedza jest narzędziem. Lewica, która z taką niechęcią godzi się na dawanie ludziom pistoletów - pod przymusem wyposaża ludzi w wiedzę, która jest od pistoletu znacznie niebezpieczniejsza! Wyposaża nie tylko tych, co są w stanie ją opanować - ale i tych, którzy tego nie umieją, wiedzą, że nie umieją - i NIE CHCĄ.

Co dalej? Prywatyzacja szkół umożliwi znacznie zmniejszenie podatków. Tak radykalna ich obniżka (oświata - to prawie ćwierć budżetu - a przecież budżet stanowią nie tylko podatki!!) spowoduje raptowny wzrost dochodów ludności - przy czym jest obojętne, w jakiej części nastąpi to poprzez spadek cen, a w jakiej poprzez wzrost zarobków (uwaga: sferze budżetowej trzeba będzie podnieść zarobki w takim samym procencie, w jakim wzrosną zarobki w reszcie gospodarki - co będzie zresztą trudne do obliczenia, gdyż zarobki są ukrywane - a poza tym zarobki w pieniądzu nie stanowią jedyne źródła dochodów obywateli).

Mając te pieniądze w kieszeni obywatele zaczną posyłać dzieci do prywatnych szkół, najprawdopodobniej powstających w tych samych budynkach szkolnych, co obecnie (ale niekoniecznie! Od czasu budowy niektórych zmieniło się, być może, zaludnienie okolicy - i optymalna lokalizacja jest inna; w dodatku wielkość szkół prawie zawsze NIE jest optymalna).

Jest rzeczą skądinąd ciekawą, że te same osoby, które godzą się na to, by mieszkanie było towarem (i nie obawiają się, że ludzie będą mieszkali pod mostami) - nie chcą się zgodzić na prywatyzację szkół - szermując argumentem, że „niektórych nie będzie stać na posyłanie dzieci do szkół”.

Najprawdopodobniej tak właśnie będzie - ale przecież dach nad głową jest - mimo wszystko - ważniejszy dla dziecka, niż szkoła! Prawdziwą przyczyną mentalnego oporu przed skasowaniem przymusu chodzenia do szkoły państwowej jest przekonanie intelektualistów, że powinni oni mieć kontrolę nad tym, czego uczone są - nie ich przecież - dzieci! Myśl, że rodzice mogliby uczyć dzieci czegoś, co oni nie uważają za słuszne (lub, np. w ogóle do szkoły nie posłać!) - jest totalitarystom (bo to jest totalitaryzm w klasycznej postaci!) tak obmierzła, że

gotowi są oni doprowadzić do tego, że dzieci z głodu będą umierać - a do szkoły będą musiały chodzić (co, podobno, tej zimy w niektórych galicyjskich, zwłaszcza bieszczadzkich, szkołach już miało miejsce).

I dopóki nie wyzbędziemy się tego nawyku do totalitaryzmu - dopóty nie rozwiążemy problemu oświaty. Bo to idee rządzą Światem - a nie, wbrew złudzeniom marxistów, gospodarka!

## KAPITALIZM? JAKIE TO PIĘKNE!

Niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że „kapitalizm” to kilka milionów oszklonych wystaw, sieć banków, autostrady i coś tam jeszcze - aha: i na dodatek etyka protestancka. Tymczasem np. lat temu 300 na kontynencie amerykańskim nie było nic z tych rzeczy - a panował znacznie bardziej rozwinięty kapitalizm. Nikt nie okradał Amerykanów z ich pieniędzy na przymusowe ubezpieczenia - na przykład - a przybysze z Anglii wymieniali się na towary między sobą i Indianami. I właśnie na tym polega kapitalizm. Te wielkie szyby, banki etc. - to skutek istnienia w Ameryce kapitalizmu; gdyby Otto von Bismarck zamiast budować Kathedersozialismus dopuścił w Niemczech wolny rynek, to Anglicy zamiast do Massachussetts jechaliby do Prus: taniej, bliżej i mniej Indian z tomahawkiem. Bliżej również do klientów: na tym polega przewaga np. Hongkongu nad Syberią (to dla tych, co wierzą, iż Ameryka przyciąga ludzi obfitością wolnej przestrzeni, a nie Wolnością).

W rezultacie wieżowce Manhattanu stałyby w Hamburgu, a nie nad Potomakiem.

Gdy mowa o Wolności, lewica wrzeszczy, że kapitalizm to złodziejstwo - a jako przykład podaje, że Manhattan założono na ziemi kupionej od Indian za garść paciorków. Oczywiście, tym, co mówi ta rozczochrana banda, nie warto się przejmować, ale warto zauważyć, że wolnych hektarów ziemi było w Ameryce znacznie więcej niż pojedynczych koralików. Ponieważ cena rzeczy jest względna, przeto równie dobrze można stwierdzić, że to Indianie oszwabili nowojorczyków, sprzedając kawał skały za przepiękny wyrób europejskich jubilerów. Na pewno po transakcji Indianie byli zadowoleni... skąd wiem? Stąd, że w przeciwnym razie by się nie zamienili! Podejrzewam zresztą, że nie mieli oni żadnych praw do tego gruntu - ot, po prostu przejeżdżali sobie tędy, a że Blade twarze dały im za darmo coś świecącego...

...że co? że dziś metr gruntu na Manhattanie setki tysięcy razy zdrożał, a paciorki istniały? - Aaa, to już jest spekulacja? To jest ryzyko - nieodłączne od każdej transakcji! Gdyby się - na przykład - okazało, że Indianie noszą w sobie - i są uodpornieni - na jakąś straszliwą zarazę, od której umierają Blade twarze, to do dziś cena Manhattanu byłaby niska, a ten pęk paciorków, pamiątka po spotkaniu Pra-pra-pra-dziada Delewarów z Tajemniczymi Białymi byłby bezcenny! Liczy się tylko wartość w chwili transakcji - a nie za minutę!

Odchodzę od tematu - przepraszam. Otóż lewacy uważają, że ponieważ zniszczenie normalności, czyli kapitalizmu, zajęło im prawie sto lat - to budowa kapitalizmu musi trwać tyle

samo (tak się pocieszają...)

Tymczasem wystarczy po prostu NIE PRZESZKADZAĆ! Gdyby dziś w nocy wybuchy zniszczyły wszystkie Urzędy Państwowe, poza koszarami i posterunkiem policji; gdyby jakieś bakterie pożarły tej samej nocy wszystkie Akty Urzędowe - to na drugi dzień w Polsce panowałby najnormalniejszy kapitalizm! Ja nie mówię, że byłoby to najprzyjemniejsze do kapitalizmu przejście - ale mówię, że jest to tak proste. Wystarczy nie przeszkadzać - a ludzie już sami zaczną raptownie zwiększać swój dobrobyt, w dodatku, niestety, uczciwie, tzn. zapominając podzielić się swoim dobytkiem z Urzędnikami i resztą Aparatu Terroru.

A Manhattan naprawdę warto zobaczyć - i zastanowić się, że powstał on - w odróżnieniu od Kanału Wołga-Don - z dobrowolnej i ochoczej pracy ludzi, z których prawie każdy na tym zarobił. Bo pracował DOBROWOLNIE!

Na tym polega piękno kapitalizmu!



## BYĆ KAPITALISTĄ

Lewicowi intelektualiści tyle nakłaniali o kapitalizmie, że sam nie wiem, która bzdurę najpierw prostować? Czy tę, że proletariusz jest sojusznikiem drugiego proletariusza, a naturalnym przeciwnikiem kapitalisty? Czy tę, że kapitaliści kochają kapitalizm? Czy tę, że w kapitalizmie bogatsi stają się coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi? A może tę, że socjalizm to ustrój pokoju, a kapitaliści nieuchronnie wywołują wojny o rynki zbytu?

Wszystkie powyższe twierdzenia, które Polakowi wbijano w łeb przez lat ponad siedemdziesiąt, są całkowicie fałszywe. Dla przykładu: w kapitalizmie nie ma granic celnych - więc wojna o rynki zbytu jest bez sensu. Tu zajmę się jednak dość rozpowszechnionym mniemaniem, że w interesie proletariuszy leży obalenie kapitalizmu.

Przede wszystkim zauważyć należy, iż osoby „nie posiadające środków produkcji” dzielą się na dwie grupy; pierwsi chcą otworzyć w przyszłości jakiś własny interes - i w ich interesie leży raczej utrzymanie kapitalizmu. Natomiast drudzy chcą pozostać pracownikami najemnymi.

Tu napotykamy zasadniczą sprzeczność w rozumowaniu propagatorów socjalizmu. Z jednej strony robotnika uważają oni za coś lepszego od przedsiębiorcy. Z drugiej uważają za oczywiste, że robotnik, który nie zostanie kapitalistą, jak pokrzywdzony, jest kimś od kapitalisty gorszym.

I w obydwu przypadkach mają rację!

Kapitalistą chce zostać ten, co lubi ryzyko. Dużo zarobić - albo dużo stracić: oto dewiza rasowego kapitalisty. Natomiast pracownik najemny to ten, kto lubi zarobić swoje - bez ryzyka. Stąd kraj, w którym pracownicy najemni grają ostro w pokera, to kraj, w którym sztucznie stłumiono warstwę kapitalistów; kraj, w którym przedsiębiorcy chcą się masowo ubezpieczać - to kraj, w którym warstwę kapitalistów sztucznie zawyżono (ubezpieczenie - dobrowolne, oczywiście - umożliwi zostanie kapitalistą nawet temu, kto nie ma do tego powołania).

Tak więc z punktu widzenia socjalizmu, w którym to ustroju wartością naczelną jest „zabezpieczenie”, pracownik najemny jest istotnie wyżej w hierarchii. Z punktu widzenia kapitalizmu, gdzie wartością cenioną szczególnie jest chęć podejmowania ryzyka, wyżej ceni się przedsiębiorcę i - nawet - spekulanta. Socjaliści pośrednio uznają przy tym, że hierarchia kapitalistyczna jest bardziej naturalna.

Zajmijmy się więc wreszcie tymi pracownikami najemnymi, którzy nie chcą zostać

przedsiębiorcami; dlaczego oni mają chcieć kapitalizmu? Bo to, że chcą, jest bezdyskusyjne: wystarczy sprawdzić, kto w XVIII i XIX wieku uciekał do kraju klasycznego kapitalizmu, czyli do Stanów Zjednoczonych - bogaci przedsiębiorcy, czy biedni najemnicy?

Powodów jest kilka:

a) Dzieci. Każdemu może trafić się zdolne dziecko. W kapitalizmie ma wszelkie szanse otwarte - w socjalizmie zawsze będzie pracownikiem najemnym (choćby zostało profesorem uniwersytetu!).

b) Pieniądze. W kapitalizmie pracownik najemny zarabia o wiele więcej - przynajmniej w stosunku do cen. Przyczyną jest najogólniej to, że E. WEDEL wraz z całą, nieźle żyjącą rodziną, kosztuje mniej niż urzędnicy Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, urzędnicy Zjednoczenia Przemysłu Cukierniczego itd. Poza tym WEDEL ma na oku tylko zysk, produkuje więc taniej i lepsze rzeczy - podczas gdy urzędnicy starają się, by fabryka produkowała to, co jest lepsze zdaniem ich zwierzchników. A to wcale nie jest to samo!

Warto tu nadmienić, że 85 proc. amerykańskich milionerów to ludzie, którzy dorobili się pracą własnych rąk - zarobione pieniądze, zamiast przepijać i przejadać, lokowali w nieruchomościach (ulubiona lokata Polaków - i właśnie dlatego Polacy są drugą, po Żydach, najbogatszą grupą etniczną w USA).

c) Mimo wszystko: pewność jutra. W kapitalizmie można sobie kupić bezpieczeństwo - w socjalizmie nikt nie jest zabezpieczony przed ingerencją rządu i parlamentu. Właśnie obecnie przekonują się o tym polscy emeryci. Przedsiębiorcy i pracownicy już się o tym przekonali na własnej skórze.

d) Nierówność. Nie jest prawdą, że ludzie lubią równość - jak nas przekonują o tym socjaliści. Ludzie nie lubią, jak ktoś jest wyżej od nich - ale jeszcze bardziej nie lubią, gdy ktoś tego niegodny jest traktowany jak równy im. Bogacza stać na chodzenie w dziurawym swetrze; biedak musi bardzo uważać by nie spaść do niższej kategorii.

Kto tego nie wie - nie zna życia ludzi ubogich. To oni najbardziej cenią wszystko, co wyróżnia ich od biedniejszych od nich; to oni najbardziej zazdrośnie strzegą swego statusu; to oni popierają apartheid - a przynajmniej sprzeciwiają się ostro specjalnym przywilejom dla biednych, dla czarnych itp. To oni najbardziej kochają kapitalizm i to oni głosowali na p. Ronalda Reagana i finansowali w dużej części jego kampanię - podczas gdy  $\frac{3}{4}$  Wall Street finansowało kolejno pp. Kubusia Cartera i Michała Dukakisa. Ci ludzie wcale nie chcą być

kapitalistami (a czy zwolennicy rządów prawa muszą chcieć być prawnikami?!?) - bo nie lubią wysiłku moralnego, jakiego wymaga przedsiębiorczość; chcą jednak korzystać z przedsiębiorczości innych - za obopólną dobrowolną zgodą. A socjaliści chcą im tego zabronić! Nie wiem tylko, czy nie gorsi są rozmaici zwolennicy „kapitalizmu ludowego”, rozdawcy akcji „po równo każdemu” i inni tacy.. Przy tym są oni zazwyczaj zdumieni, że robotnicy nie popierają ich pomysłów! Tymczasem proszę postawić się w sytuacji robotnicy w jakichś łódzkich zakładach bawełnianych. Przypuśćmy, że zostanie współwłaścicielką tych zakładów. Najprawdopodobniej jej głos nie będzie się liczył na zebraniu akcjonariuszy (zwłaszcza gdy fabrykę obejmie przymusowy Zarząd Pozapaństwowy). Ale jeśliby się liczył - to jeszcze gorzej! Wówczas podejmuje ona decyzję, czy bawełnę kupić w Egipcie, czy w Kazachstanie - a przecież ona się na tym nie zna, i ona wie o tym! Dlaczego ona, dobrze pracująca, uczciwa kobieta, ma ponosić konsekwencje tego, że zakup zrobiono w złym miejscu? Ona chce, by jej zarobki zależały od jej pracy - a nie od koniunktury na rynkach.

I to jest ten podział pracy. W społeczeństwie otwartym jedni biorą na siebie ryzyko - i mają do tego gwarantowane prawo, a drudzy chcą uniknąć ryzyka - i też mają do tego prawo.

Sprawa zmienia się w społeczeństwie zamkniętym. Jednak to właśnie socjaliści, tworząc pojęcie „klasy”, kładą podwaliny pod ustrój kastowy. Nie przypadkiem w roku 1924 przywódca brytyjskich związków zawodowych (i późniejszy poseł z Labour Party) nawoływał, by rząd zakazał dzieciom robotniczym studiów, gdyż najzdolniejsze jednostki zostają wtedy lekarzami, inżynierami itd. - a to cholernie osłabia klasę robotniczą...

A w roku 1980 w Gdańsku na żartobliwą odzywkę p. Mieczysława Jagielskiego, wicepremiera: „Cześć klasa robotnicza!” - ktoś ze szpaleru odparł: „To wy jesteście klasa robotnicza. My jesteśmy robotnicy!” Tu należy dodać: „...tylko do fajrantu. Po fajrancie już nie jesteście robotnikami, tylko konsumentami” - ale to już inna historia.

## NISKIE PODATKI

Tylko kilka procent ludzi obdarzonych jest tą iskrą Bożą, która czyni z nich Ludzi Twórczych. Część z nich to artyści, ogromna większość to zwykli pracownicy (a tak: murarz też może być twórczy!). Tych, co mają żyłkę akurat do handlu lub przedsiębiorczości jest naprawdę bardzo niewiele.

Jeszcze mniej jest takich, którzy potrafią połączyć wynalazczość z prowadzeniem własnej firmy. Ale to oni właśnie wytwarzają większość dochodu narodowego. To Ford, Edison i inni tacy - stworzyli potęgę Ameryki. Oczywiście o wysiłku dziesiątków milionów chętnych i zręcznych pracowników nie zapominam - ale bez kierownictwa wyglądałoby jak fabryka zarządzana przez związek zawodowy. Czyli marnie.

Wyobraźmy sobie, że produkuję np. buty. Mój koszt to 40 zł, wszelkie podatki 30 zł, a zysk 5 zł na parze.

Mam - a przynajmniej miałem, dopóki nie zacząłem się zajmować tą cholerną polityką - umysł raczej twórczy. Gdybym nad problemem produkcji posiedział ze dwa miesiące, to opracowałbym taką metodę robienia tych butów, że koszt spadłby do 25 zł. A to oznacza że mój zysk zwiększyłby się czterokrotnie...

Zaraz, zaraz: moim zyskiem już zająłby się fiskus! Przede wszystkim zamiast 21% zacząłbym płacić 45%. Po drugie, związki zawodowe zaraz by zażądały udziału w MOIM przecież wynalazku: skoro zarabiam tyle - to niech podzielę się z nimi! Tow. Janosik czai się u nas za każdym rogiem...

Ogólnie biorąc: przy podatku progresywnym dwukrotne zwiększenie efektywności daje np. 15% wzrostu dochodu netto.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa, jeśli swą wynalazczość skieruję na formularze podatkowe. Też przysiadę fałdów na dwa miesiące - ale za to jeśli uda mi się ukryć przed Urzędem Skarbowym moje dochody (a mętne przepisy pozwalają to zrobić całkiem legalnie), to mój zysk netto będzie parokrotnie większy!

Dlatego właśnie najmądrzejsi ludzie w naszym (i nie tylko naszym) kraju zamiast studiować wiedzę i technikę idą na Prawo. Dlatego na Uniwersytecie Warszawskim mamy coś 300 studentów Prawa za darmo - i 1500 po 800 zł. Bo to się opłaca! Również w USA liczba prawników bije wszelkie rekordy. W czasach Edisona, gdy USA rozwijały się w tempie 20%

rocznie było inaczej: najzdolniejsi młodzi ludzie szli na Politechniki... lub po prostu majsterkowali u siebie.

Zabawa w Policjantów i Złodziei uprawiana przez najtęższe umysły kraju jest być może pasjonująca i ważna gospodarczo dla zmniejszenia bezrobocia. Byłoby dobrze jednak policzyć, ile ona kosztuje!

Wyobraźmy sobie, że Jaś Kowalski, zamiast tracić czas na zabawy z fiskusem, opracował nową maszynę do produkcji butów. Powoduje ona, że ja bankrutuję, a 200 tysięcy ludzi idzie na bruk - natomiast 40 milionów ma tańsze buty. Jasio, oczywiście, nie zadowala się 40 milionami klientów - i za dwa lata ma już imperium światowe pięć razy większe od „Baty”.

Jasio K może zarobione pieniądze zainwestować w Polsce - lub nie. To jest jego sprawa. Jeśli wyda w Polsce - tym lepiej. Jeśli nie - to nie. Nie ma to większego znaczenia. Ważne jest jedno: ludzie zaoszczędzili na butach trochę pieniędzy - więc można im coś sprzedać dodatkowo. Zwolnieni pracownicy spowodują (w kraju normalnym tj. takim, którym nie trzęsą związki zawodowe) spadek ceny siły roboczej - dzięki czemu spadają ceny wszystkich towarów. Dzięki temu sprzedamy ich więcej i w kraju, i za jego granicami.

No - i nie zapominajmy o mnie! Straciwszy swój warsztat, wezmę się za produkcję np. piłek futbolowych. W tej dziedzinie wprowadzę jakąś innowację, obniżę koszt produkcji.

To nie wszystko. Spadek cen wszystkich towarów umożliwi dalsze obcięcie płac wszystkim pracownikom (ale ich dochody realne rosną!!). Jednocześnie Sejm będzie mógł zmniejszyć podatki, bo to, co planował zakupić, nabeędzie za mniejszą cenę. Spowoduje to dalszy spadek cen, dalszą ekspansję gospodarczą - innymi słowy: rozwój kraju.

Jeśli policzyć, że tempo rozwoju wyniosłoby wówczas ponad 20% a w kraju typu USA nie przekracza 3% - to łatwo policzyć, za ile lat byśmy byli pięć razy bogatsi niż bez tej reformy. Łatwo to policzyć, za ile lat dogonilibyśmy i przegonilibyśmy Stany Zjednoczone. Taiwan - o ile nie wprowadzi Demokracji - uczyni to na przełomie Milleniów. Ja nie twierdzę, że Jaś Kowalski by tego dokonał. Bezwładność systemu jest ogromna. Jednak obniżka podatków i ich uproszczenie spowodowałyby, że takich Jasiów byłoby parę tysięcy. A to już wystarczy, by uruchomić proces deflacyjny. Przez cały XIX wiek, wiek Największego Rozkwitu Ludzkości, panowała właśnie (o czym Najstarsi Ludzie nie pamiętają) DEFLACJA. Dziś natomiast Banda Czerwonych usiłuje nam wmówić, że do rozwoju gospodarki potrzebna jest INFLACJA. Jest to oczywiście bzdura.

Jednak bzdurę ta podtrzymują rządy - by mieć pieniądze na utrzymanie urzędników. Otóż:  
NA TO NAS NIE STAC! Nie stać nas by rządzili.

Dajmy im dożywotnio ich obecne pensje - pod jednym warunkiem: nie będą się do niczego wtrącać, nie będą nam doradzać w gazetach, nie będą głosować w wyborach... Mogą natomiast dorabiać w gospodarce.

I zobaczycie Państwo, jak Polska rozkwitnie!

## OPTYMALNY SYSTEM PODATKOWY

System podatków jest kością każdej nowoczesnej gospodarki. Z powodu pozornie niewielkich zmian podatków padały całe imperia.

Można dokonać głębokiej reformy państwa zmieniając tylko podatki - natomiast reformowanie państwa bez sprecyzowanej koncepcji podatków jest równoznaczne próbie ciągnięcia konia przez wóz.

Jakimś usprawiedliwieniem animatorów naszej reformy jest to, że od pierwszej wojny światowej ludzkość coraz głębiej brnie w ciemnotę i zacofanie. O nowoczesnej gospodarce niemal już zapomniano i większość państw wróciła do koncepcji utrzymywania się z dochodów „królewszczyzn”, tj. domeny z dochodów państwowej unikając niepopularnego wymuszania podatków od ludności. W Polsce proces ten zaczął się od samych narodzin państwa, uzyskał instytucjonalne oparcie w zmianach po roku 1926 i przez dalszych 25 lat rozwijał się systematycznie i nieprzerwanie. Rósł procent znacjonalizowanych przedsiębiorstw - i proporcjonalnie malało zainteresowanie państwa podatkami. Dość powiedzieć, że od 1923 roku nie ukazała się w Polsce ani jedna książka o podatkach!!! (Nie liczę tu podręczników, jak płacić lub unikać podatków - chodzi mi o prace naukowe analizujące społeczne skutki takiego lub innego systemu podatków. Ostatecznym ciosem była gomułkowska ustawa znosząca podatek od wynagrodzeń.

Pamiętam, że wielu rozsądnych ludzi chwaliło wówczas tę - pozornie racjonalną - ustawę. Istotnie: po co państwo ma płacić tysiąc złotych więcej - i potem ściągać ten tysiąc jako podatek? Zbędna biurokracja! W ten sposób dokonano się ostateczne pomieszanie państwa - organizacji terytorialnej, z państwem - producentem. W ówczesnych warunkach politycznych nikt nie przypomniał - o ile w ogóle ją znał! - klasycznej zasady, że kto płaci podatki, ten ma głos w wyborach - oraz tego, że można ją odczytywać w dowolną stronę. Przeoczono jednak i inny, zupełnie oczywisty, związek: państwo czerpiące dochody od obywateli, dba, by obywatele byli zamożni; państwo czerpiące swoje dochody od przedsiębiorstw zatrudniających owych obywateli dba o coś dokładnie przeciwnego. I nie jest to niczyja złośliwość, woluntaryzm, bezduszość lub błędy kolejnych ekip - lecz bezwzględna logika wybranego systemu podatków.

Sądzę, że gdyby w roku 1963 Władysław Gomułka okazał największą zyczliwość dla rzemiosła i całkowicie zniósł również podatki od gospodarki prywatnej - to dziś nie ocalałyby ani

jeden rzemieślnik. Mimo wszystkich łamańców urzędnicy wiedzieli, że ów prywaciarz to dojna krowa. Czuli również przez skórę, że owe dochody z prywaty (pomijam już nielegalne) są znacznie wyższe, niż podaje to statystyka. I mieli rację, co wykazałem w szczegółowej analizie (vide „KURS”, 16/85). Wyobraźmy sobie, że budżet Poronii wygląda tak: WPLŹYWY: z przedsiębiorstw państwowych 999 000, z podatków 1000; WYDATKI: na amortyzację i inwestycje w przemyśle 998 000, na inne cele państwowe 2000. Złudą jest, że wpływy od osób prywatnych stanowią zaledwie 1 promil budżetu; w rzeczywistości stanowią 50%. Gdyby przemysł państwowy w Poronii był per saldo deficytowy, co jest całkiem prawdopodobne, to przy takiej prezentacji budżetu, mieszającego państwo z produkcją, pozornie maleńkie podatki pokryłyby ponad 100% wydatków (100% państwowych plus deficyt)!!!

Reforma średniowiecznych państw polegała na rozdzieleniu budżetu domeny królewskiej - od budżetu państwa. Dokładnie to samo musimy uczynić obecnie. Niestety, pomieszanie materii dotarło już głęboko do świadomości społecznej. Nawet na konferencjach prasowych traktują premiera i ministrów jako zarządców przemysłu państwowego!

Doszło do tego, że gdy w gronie ekonomistów powiedziałem, iż podatek dochodowy jest nonsensem - to potraktowano mnie jak dziwaka. A przecież jeszcze do roku 1908 podatek dochodowy traktowany był (i słusznie) jako sprzeczny z konstytucją USA - i Stany Zjednoczone cieszyły się prawie 20% stopą wzrostu. Jej obecny spadek do 2-3% jest bezpośrednim skutkiem wprowadzenia podatku dochodowego (w dodatku: progresywnego!). Jeśli chcemy serio myśleć o naprawie, musimy więc oderwać wzrok od nieszczęsnej rzeczywistości i spróbować wprowadzić takie podatki, które generują rozwój, a nie zastój.

Mówiąc o podatkach zacząć należy od szokującego stwierdzenia: z punktu widzenia opodatkowanych system jest - w sensie statycznym - zupełnie obojętny; szkodliwe są natomiast zmiany systemu podatkowego!

Jak pogodzić się z stwierdzeniem, że drobne zmiany podatków niszczyły imperia? Sprzeczność jest pozorna. Wyobraźmy sobie zespół naczyń połączonych. Jeśli czerpiemy zeń np. 20% wody, to niezależnie od miejsca, z którego ją czerpiemy, poziom opadnie we wszystkich - i zawsze jest tak samo. Natomiast inaczej kształtować się będą wewnętrzne przepływy w tym układzie - a mają one niebagatelne znaczenie. Przede wszystkim psychologiczne: gdy podatkiem karze się producenta - a nie nieroba - to wytwarza się przekonanie, że państwo premiuje nieróbstwo! (Piszę: „karze się”, gdyż nie ma żadnej różnicy między grzywną 100 zł za złe



zaparkowanie samochodu, a 100 zł podatku progresywnego za napisanie zbyt dużej liczby artykułów naukowych - i obywatele doskonale to czują, używając analogicznych wyrażen dla obydwu sytuacji). Jednak nie tylko psychologicznie: przepływy w układzie zwolna żłobią swoje kanały - i system stawiający przepływowi zbyt duże opory koroduje. Ponadto ogólny ciężar podatków (do którego należy zaliczyć koszt ich unikania!) nie jest - w odróżnieniu od systemu ich pobierania - obojętny nawet statycznie.

Tak więc optuję za zmianą obecnego systemu. Przed prezentacją nowego muszę jednak uzasadnić ową wyróżnioną kursywą twierdzenie o obojętności systemu podatków względem indywidualnych portfeli. Zacznę od przykładu.

Jadę na giełdę sprzedać samochód za 10 tysięcy. Według prawa podatek - 10% - płaci nabywca. Płaci więc on 10 tysięcy mniej i 1000 zł Skarbowi Państwa. Ostateczny efekt: jestem uboższy o samochód i bogatszy o 10 tys. zł. Nabywca bogatszy jest o samochód i uboższy o 11 tys. zł, Skarb zainkasował 1000 zł.

Pomińmy oczywistą niesprawiedliwość tego podatku i przypuśćmy, że Sejm postanowił iż od Nowego roku nastąpi generalna zmiana: podatek płacić będzie sprzedający, co jest o tyle sprawiedliwsze, że to on ma więcej płynnej gotówki.

Jaki będzie efekt tej „rewolucyjnej” zmiany? Każdy bywalec giełdowy odpowie, że - pominąwszy ułamkowe subtelności - żaden!! Cena tego samego samochodu automatycznie wzrośnie do 11 tys. zł, od czego JA zapłacę podatek. Efekt ostateczny: identyczny.

Po namyśle każdy przyzna, że tak się stanie - i pokazują to liczne przykłady praktyczne (jak gdyby elementarne teorie wymagały jeszcze praktycznego potwierdzenia...) Mniej jest oczywiste, że dokładnie to samo dzieje się z każdym podatkiem. Wszystkie podatki rozpluwają się po całym społeczeństwie obciążając równo jego członków; kto fizycznie zanosi je do kasy jest zupełnie obojętny. Czy każdy z nas zapłaci po 100 zł, czy też jesteśmy „zwolnieni z podatku”, za to 10 tysięcy miesięcznie płaci piekarz (który oczywiście wlicza to w cenę bochenka) różnicy nie czyni. W zasadzie.

Są bowiem niebagatelne różnice formalne - i psychologiczne. W państwie autokratycznym władca, który rozparcelował domenę i opodatkował poddanych, nakładał podatki według swoich potrzeb, miarkując się jednocześnie, by ich zanadto nie wzburzyć. W demokracji potrzeby państwa są zazwyczaj większe (monarchowie mieli znacznie mniej urzędników) - ale ludność najchętniej nie płaciłaby podatków w ogóle. Stąd potrzeba oszukania obywateli. Stosuje

się tu różne metody - od prowokowania konfliktów i apelowania do patriotyzmu - po ten właśnie genialny wynalazek: pobierania podatków od producentów. Osiąga się przy tym dwa cele: ludność oburza się nie na poborcę podatkowego, tylko na piekarza - i ochoczo głośuje, by temu zdziercy podatek jeszcze podnieść; głośuje więc dobrowolnie za tym, by opodatkować siebie! Paradoksalne: im większy podatek od bochenka, tym wyższe ceny, tym większa niechęć do piekarza i tym łatwiej skłonić ludzi, by głosowali za podatkiem na piekarza! Drugą niebagatelną korzyścią jest to, że piekarz z piecem nie ucieknie - a więc pobrać odeń podatek łatwiej niż od jakiegoś włóczęgi.

Trudno się dziwić, że dzisiejsze słabe rządy wybrały tę właśnie łatwiejszą drogę. Od lat jednak niezmiernie powtarzam, że chcąc płynąć szybko trzeba żagiel ustawić na największy opór! Droga po linii najmniejszego oporu nieuchronnie kończy się na mieliźnie lub na skałach.

Druga korzyść z koncentracji podatku na producentach bywa pozorna, ci bowiem też potrafią znaleźć metody unikania podatku. Tu dochodzimy do różnicy między podatkiem nałożonym i pobranym.

Przypuśćmy, że ustawa nałożyła na piekarza podatek 1000 zł miesięcznie. Przerzucenie go na konsumentów jest możliwe - ale grozi, że konsumenci kupią sobie pałeczki i przerzucą się na ryż. Piekarz wynajduje więc sposób kosztujący go miesięcznie 500 zł - ale dzięki niemu płaci on do Skarbu tylko 100 zł. Ostateczny efekt tego podatku: piekarz stracił 600 zł - Skarb zarobił 100 zł...

Charakterystyczne, że szacując tzw. wydajność podatkową finansiści liczą koszty własne uzyskania złotówki (pensje komorników i urzędników izb skarbowych) - ale nie liczą kosztów społecznych. Może to być łapówka (i wówczas strat materialnych nie ma - ale za to postępuje demoralizacja) - a mogą być bezpośrednie straty materialne w formie zmniejszenia produkcji lub pogorszenia jakości. Straty są ogromne. Na konferencji Mt. Pelerin Soc. miałem przyjemność poznać p. Artura A. Shenfielda, który ongiś był kontrolerem finansów kolonii Korony. Opowiedział mi, że kiedyś w Hondurasie Brytyjskim podatki wynosiły ok. 10% i ścierał je jeden urzędnik. Przed paru laty, lecąc z Peru do Meksyku, miał przymusowe lądowanie w niepodległym już Belize. Po znajomości zwiedził stary urząd podatkowy: urzędników było ponad czterdziestu (nie licząc filii), podatki dochodziły do 60% - ale suma wpływów do Skarbu była mniejsza niż za czasów kolonialnych. Co, zapewne, skłoni parlament Belize do podniesienia podatków i rozbudowy urzędów skarbowych.

Największym kosztem systemu podatkowego jest jednak to, co nie zostało wskutek niego wyprodukowane. Gdy producent czegoś nie zrobi (bo już mu się nie opłaca), gdy nie zatrudni nowego pracownika, gdy zamiast wymyślać genialny sposób organizacji pracy wymyśla nowy, również genialny, sposób wyprowadzenia w pole kontrolerów. Proszę sobie policzyć, że przy przeciętnym podatku dochodowym progresywnym obowiązującym w naszej cywilizacji (a w Waszyngtonie nie jest lepiej, niż w Warszawie) producentowi przeciętnie siedem razy bardziej opłaca się ukryć połowę dochodu niż wymyśleć sposób obniżenia o połowę kosztów produkcji! Jest więc całkiem naturalne, że najtęższe umysły w Stanach Zjednoczonych i w Polsce nie idą na politechniki lecz na prawo, po czym wynajdują - legalne lub nie - metody obchodzenia podatków. W Polsce specjaliści od luk w naszym ustawodawstwie biorą za swoje konsultacje ogromne kwoty - i to się ich klientom bardzo opłaca, bo taka porada pozwala nieraz zaoszczędzić dużo, dużo więcej. Sama więc zmiana podatków pozwoliłaby ośmiokrotnie powiększyć innowacyjność gospodarki - oczywiście nie natychmiast, bo zanim ci konsultanci przeczuciliby się na organizację pracy... Przy okazji: ludzie ci mają interes w torpedowaniu takiej reformy.

Natomiast z psychologicznego punktu widzenia obecny system podatków ma inną wadę: karze bogatych, a nagradza biednych. Wywołuje to - zgoną dla ludzi - chęć zostania biedniejszym, niżby się mogło. Jest to również elementarne: jeśli podatki gniotą (wizualnie) biednych, to biednych, jest (wizualnie) coraz mniej, gdyż dokładają wysiłku, by stać się coraz bogatsi; gdy, przeciwnie, podatkami okładamy bogatych, ci starają się przynajmniej udawać biednych i nie dokładają wysiłku by się nadal bogacić. W efekcie społeczeństwo biednieje, gdy podatki gniotą bogatych, a bogaci się, gdy gniotą biednych. To oczywiste - tylko frazeologia socjalna przeszkadza nam ujrzeć tę perspektywę.

Pisałem: „wizualnie” - gdyż w rzeczywistości efekt ten jest w znacznej mierze pozorny. Ludzie udają bogatszych lub biedniejszych w zależności od pożytku, jaki z tego mają. Natomiast wspomniany efekt rozplywania się podatków powoduje, że na dłuższą metę rzeczywiste skutki tych systemów są identyczne, zakładając ogólny niezmienny poziom podatków. Inna sprawa, że rządy czynią wiele, by do tego wyrównania nie dopuścić: gdy po zamieszaniu spowodowanym, powiedzmy, wprowadzeniem podatku dochodowego społeczeństwo wraca do normalnego rozmiaru dochodów parlamenty wprowadzają podatek progresywny; gdy i to nie pomaga i naturalny - rozkład bogactwa odrasta jak głowa hydry - podnoszą progresję.

Doprawdy trudno dziwić się niektórym endekom podejrzewającym, że kryje się za tym

spisek dwunastu rabinów z nowojorskiej synagogi - taką zawziętość przejawiają rządy w niszczeniu podstaw własnego bytu. Ma to jednak naturalną granicę.

Typowym jest przykład progresji podatkowej w USA. Podawałem kiedyś (w 1981 r.) w „Polityce” przykład ewolucji zarobków gwiazd filmowych. Gdy nakłada się na nią podatek 10%, honorarium z 20 tys. dol. rośnie do 22 000. Gdy podatek rośnie do 50% - gaża rośnie do 40 000. Przed Reaganem podatki dochodziły do 98% - toteż i apanaże były liczone w milionach. Za wszystko płaci, oczywiście, nie gwiazdka, lecz widz - w cenie biletu do kina. Ciekawe, że z tego systemu niezadowoleni są wszyscy: zarabiający miliony nie zdają sobie sprawy, że ich kominy są skutkiem progresji podatkowej - i czują się obrabowani ze „swoich” pieniędzy. Zarabiający mało widzą owe kominy brutto - i też czują się pokrzywdzeni. Rządy rozbudzają w ten sposób zawiść - i trzymają się dzięki równowadze zawiści.

System ten trzeba i można zmienić. Należy przy tym wziąć pod uwagę trzy czynniki:

1) Ogólna masę podatków. Na Zachodzie fantastyczną karierę robi prosta obserwacja Laffera: zerowa stopa podatku - to zerowy wpływ; ale i 100% podatku z dochodu to zerowy wpływ, gdyż ludzie przestaną produkować. Elementarna analiza matematyczna poucza, że skoro są wpływy, to gdzieś pośrodku musi być ich maksimum - i dalsze powiększanie stopy podatku powodować będzie ich zmniejszanie.

2) Sposób ich nałożenia i ściągania - co ma, jak już pisałem, głównie wpływ na psyche - ale wpływ ogromny!

3) Prostotę systemu, łatwość kontroli i zapobieganie korupcji. Sprawa to niesłychanie ważna, gdyż nawet najlepiej wyostrzony pod wiatr żagiel nic nie da, gdy będzie dziurawy. Warto też pamiętać o zapobieganiu degeneracji jeśli chcemy by był on trwały - a, przypominam, to zmiany systemu są najgorsze dla podatników.

System podatkowy który proponuję składa się z trzech tylko podatków. Zanim omówię ich wady i zalety chcę podkreślić, że wszystkie pozostałe winny ulec likwidacji, gdyż działają antyprodukcyjnie i demoralizują społeczeństwo. Z przyjemnością zauważam, że działania władz idą w tym kierunku (np. ostatnio znaczne zmniejszenie podatków od spadków i darowizn) lecz nie dość szybko, jak na sytuację gospodarczą.

Wybrane podatki są najmniej niemoralne i szkodliwe ze wszystkich - z wyjątkiem jednolitego podatku konsumpcyjnego, który jest jednak technicznie niekontrolowalny. To, że niemoralność podatku idzie w parze z jego szkodliwością nie jest przypadkiem - ale nie tu

miejsce na te rozważania. Przejdźmy do meritum.

## ŁANOWE

Użyłem tej szacownej nazwy dla najprostszego podatku od posiadanej powierzchni. Podatek ten byłby także płacony przez organy i instytucje państwowe, co umożliwiłoby ocenę kosztów ich funkcjonowania.

Podatek taki byłby równy - i to jest najważniejsza różnica między nim a obecnym podatkiem gruntowym. Dziś bowiem inaczej płaci się za działkę budowlaną, a inaczej za rolną, co powoduje oczywiste błędy w decyzjach ekonomicznych.

Mniej oczywiste jest zniesienie katastru, tj. oceny wartości ziemi („klasa gruntu”). Obecny podatek oparty jest na zasadzie, iż posiadacz lepszej ziemi powinien płacić więcej. Zasada ta jest częściowo uwzględniona w drugim podatku (za chwilę) ale na razie przedyskutujmy jej skutki.

Zmierza ona do zlikwidowania tzw. II renty różniczkowej, co powodowało, że cena ziemi I klasy mało różniła się od ceny ziemi klasy VIb. W efekcie trzeba było wydawać administracyjne zakazy niszczenia ziemi wyższych klas, gdyż inwestorowi nie robiło to wielkiej różnicy. Powodowało to też sztuczną opłacalność uprawy ziemi klas niższych, co prowadziło do niszczenia przyrody przez ekstensywne rolnictwo.

Wprowadzenie łanowego spowoduje rewolucyjną zmianę w tych stosunkach - tak rewolucyjną, że trzeba będzie wprowadzić jednorazową kompensatę od tych, co zyskają dla tych, co tracą. Wartość ziemi klas najwyższych podskoczy do dziesiątków milionów za hektar (może nawet więcej!), natomiast grunty klas niższych mieć będą wartość bliską zeru.

Rezultatem będzie powstanie intensywnego rolnictwa na małych działkach wysokiej klasy. Oszczędzi to masę ludzkiej oraz mechanicznej energii zużywanej na chodzenie i jeżdżenie po ogromnych polach, co jest opłacalne wskutek istnienia zróżnicowania podatku.

Spowoduje też wysiłki na rzecz podnoszenia klasy ziemi - obecnie - rolnik nie ma do tego dostatecznej zachęty, gdyż za każdą melioracją idzie podwyżka podatku.

Już obecnie małe, kilkunastoarowe działki potrafią dawać dochód wyższy, niż parohektarowe prymitywne gospodarstwa, sztucznie podtrzymywane przy życiu, na których mozolą się niepotrzebnie starzy ludzie. Małe jest piękne! Pamiętajmy, że przy ekstensywnej uprawie rolnik nie może wykorzystać ziemi właściwie. Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów mogą różnić się warunki wodne oraz (nachylenie stoku) nasłonecznienie, ale rolnik orzący

kilkadziesiąt hektarów traktorem nie może zasiać tam różnych roślin, co byłoby wydajniejsze. Rolnictwo amerykańskie zużywa - o ile pamiętam dane p. prof Czesława Mejro ponad 200 razy więcej energii na jednostkę produktu niż meksykańskie i ta rozrzutna ekstensywna gospodarka utrzymuje się dzięki subsydiom. Lepiej jest skoncentrować produkcję na 1/3 areалу z trzy razy wyższą wydajnością z hektara niż bezsensownie ganiać po polach ludzi i maszyny.

Ogromną korzyścią jest również to, że cena gruntu wysokiej klasy byłaby wyższa niż wartość budynku - a gruntów słabych: bliska zeru. Stąd wszelkie inwestycje koncentrowałyby się na gruntach słabych automatycznie. Gdyby zaś taka inwestycja powstała na gruntach dobrych to widać byłaby bardzo potrzebna. Decydowałby o tym nie zafalszowany rachunek ekonomiczny.

Podatek gruntowy oparty na katastrze jest typowym wymysłem biurokracji. Aleksy de Tecqueville pisał: „Weźcie jakieś absurdalne zarządzenie; przekonacie się, że gdzieś na początku leży jakaś drobna potrzeba finansowa, dla której administracja zrujnowała normalne stosunki gospodarcze”. Także i tu: kiedyś przy poparciu uboższych gospodarzy (pod pretekstem „sprawiedliwości społecznej”) CK biurokracja zdołała obłożyć podwyższonym podatkiem zamożniejszych chłopów i do dziś płacimy rocznie setki miliardów za pokrycie ówczesnej dziury w budżecie - bo słaby rząd CK Monarchii nie umiał narzucić sprawiedliwego podatku i poszedł drogą najmniejszego oporu. Nie przypadkiem: w 1789 roku...

#### PODYMNE

Byłby to podatek od wartości nieruchomości - co miałyby skutek łagodzący ostrość podatku poprzedniego. Miałyby on też charakter uzupełniający - i w ogóle jest bardzo dyskusyjny. O ile liberała zachwyca jego logika, o tyle buntuje się przed nim dusza konserwatysty. Nie miałyby on przy tym nic wspólnego z historycznym podymnym - poza faktem, że obydwa są od wartości nieruchomości. Proponowany podatek opiera się na pomysłe Jerzego Forstera z 1933 roku. Pomysłodawca w swej naiwności przedstawił go narodowo-socjalistycznym władzom i słuch o tym pomysle zaginął.

A pomysł był zaiste rewolucyjny: każdy sam określa subiektywną wartość swej nieruchomości - i od tej wartości płaci jednolity liniowy podatek! W ten sposób właściciel staje się podmiotem gospodarki, sam ją tworzy!

Powstaje pytanie: a jak skłonić ludzi, by nie zaniżali wartości swych dóbr?

Odpowiedź jest prosta, choć szokująca dla konserwatysty. Sejm uchwała pewien „poziom konserwatyzmu”, np. 40%; jeśli pojawi się nabywca - a może to być urząd pragnący

wywłaszczyć posiadacza dla celów publicznych - gotów płacić podatek od wartości wyższej o 40% - to może on przymusowo tę nieruchomość odkupić.

Podatek taki zapewnia ochronę właścicielom nieruchomości przed niesprawiedliwym wywłaszczeniem uwzględniając ich subiektywne oceny. Zamiast dramatów tworzy się gra. Ktoś, kto przywiązał się do ziemi przodków, ceni ją dwa razy bardziej niż inną - i (za opłatą) chroni się przed wywłaszczeniem. Na cele inne w pierwszej kolejności pójdzie własność kogoś, komu jest wszystko jedno, gdzie mieszka. Z drugiej strony jeśli ta nieruchomość jest bardzo potrzebna na inne cele, to zostanie ona wywłaszczona, ale właściciel nie może się skarżyć, gdyż dostał sute odszkodowanie. Prowadzi to do intersubiektywnie suboptymalnego rozkładu własności; byłby on optymalny gdyby „poziom konserwatyzm”, czyli bariera ochronna malała do zera - ale to prowadziło do spekulacji, zbyt częstych zmian i wycisku tych, co nie potrafią precyzyjnie wycenić rynkowej wartości swojej posiadłości.

Podatek ten jest pomocniczy: nie może być dużym obciążeniem, by nie maskował działania łanowego; musi jednak być odczuwalny: rzędu miriady, tj. dziesięciotysięcznej części wartości posesji.

#### POGŁÓWNE

Jak Państwo słusznie przypuszczają, proponuję jednolity i równy podatek od obywatela.

Podatek taki jest jawnie niesprawiedliwy: ten, co nie pracuje dla społeczeństwa, powinien płacić więcej niż zbijający majątek producent potrzebnych towarów. Ponieważ jednak znaczna część ludzi ma dokładnie odwrotne pojęcie o sprawiedliwości przyjmijmy rozwiązanie kompromisowe, gdyż jest najprostsze: jednakowe pogłówne.

Ten sprawdzony skądinąd historycznie podatek budzi silne sprzeciwy. Budził zresztą sprzeciw szlachty I Rzeczypospolitej i został praktycznie zniesiony, co było jedną z przyczyn jej upadku. Dlatego raz jeszcze powtórzę tezę o przierzucalności podatków - i zilustruję ją konkretnym przykładem.

Przypuśćmy, że w fabryce „Alamakota” pracują Kowalski i Wiśniewski. Kowalski „zarabia” miesięcznie 1000 zł, a Wiśniewski 200 zł. Kowalski płaci 40% podatku a Wiśniewski nic (przykład jest dość realistyczny). Tak więc „Alamakota” płaci im 1200 zł, a Skarb Państwa ma z tego 400 zł.

Wyobraźmy sobie teraz, że rząd dokonuje istnej rewolucji wprowadzając pogłówne. Co się dzieje z zarobkami? W sensie statycznym - nic, co można nawet zadekretować, jeśli ktoś nie

wierzy w mechanizmy samoregulacji:

Kowalski zarabiać będzie 800 i płacić 200 pogłównego. Wiśniewski: 400 - i także pogłównie. W sumie obydwaj, Skarb Państwa i „Alamakota” dostaną lub wypłacą dokładnie tyle samo!!!

System taki jest jednak znacznie bardziej sprawiedliwy i moralny gdyż, mimo wszystko, zasada „ten ma wpływ na władzę, kto płaci podatki” działa nie tylko w sferze psychologicznej. Wpływ lobby przemysłowego na rząd bierze się po części stąd, że optycznie wpływy rządu pochodzą z podatków od przedsiębiorstw! Gdyby całość dochodów rządu pochodziła z kieszeni obywateli, rząd znacznie bardziej troszczyłby się o konsumentów! Już dziś można powiedzieć, że gdy budżety terenowe będą oparte o podatki od prywatnej przedsiębiorczości, to ludzie ci uzyskają nadmierny wpływ na władze. Równy podatek - to równy wpływ na władze. Ma to równoważyć działanie łanowego, dającego wpływy posiadaczom.

Jednak w sensie dynamicznym powrót do starej równowagi nie nastąpi. Już po paru tygodniach „Alamakota” dojdzie do wniosku że pracowników niskokwalifikowanych ma we względny nadmiarze. O ile przedtem musiałaby pozbyć się pięciu Wiśniewskich by zatrudnić Kowalskiego - obecnie wystarczy dwóch. Spowoduje to - identycznie, jak w przypadku łanowego - gospodarzę lepiej kwalifikowanymi kadrami, uszczuplenie zatrudnienia (które dzięki temu wzmocni wiecznie kulejące usługi!). Operacja zmiany podatku nie jest więc czysto formalna - a jeszcze większe zaburzenia powstaną pomiędzy fabrykami. Jeśli „Alamakota” zatrudnia prawie samych Wiśniewskich, a „Bergamuty” prawie samych Kowalskich to „Alamakota” zbankrutuje dokładnie w taki sam sposób, jak zbankrutuje gospodarstwo o marnych ziemiach przy łanowym.

Wzrośnie cena wykształcenia i pęd do podnoszenia kwalifikacji. Niezadowolony może być tylko lumpenproletariat, który do tej pory żył z dorywczych nieopodatkowanych zajęć. Kosztem tych, co płacą podatki.

Obecnie obciążenie statystycznie wynosi ok. 78%. Oznacza to że jeśli ktoś zarabia 220 zł, to można przyjąć, że zarabia 1000 zł, z czego płaci do Skarbu Państwa 780 zł (z czego około połowy wraca w różnej formie do obywateli). Zwracam uwagę, że wyliczenia o Kowalskim i Wiśniewskim są jedynie pogładową fikcją. Równie dobrze można było przyjąć w tamtym przykładzie, że Wiśniewski „zarabia” 1200 zł, płaci 1000 zł podatku, a Skarb Państwa daje „Alamakocie” dotację 100 zł za utrzymywanie jego stanowiska pracy. Gdy państwo jest



jednocześnie przedsiębiorcą, wszelkie wyliczenia ekonomiczne tracą sens. Realne jest natomiast globalne obciążenie podatkowe.

Obciążenie to powoduje, że wprowadzenie pogłównego może napotkać przeszkody znacznie większe niż w Polsce szlacheckiej. Wyobraźmy sobie, że Zieliński zarabia owe 220 zł; dzięki większej wydajności systemu po reformie (zakładając, że nie ruszamy sfery socjalnej) Zieliński otrzymywać będzie 1100 zł z czego na rękę 270 zł, a na spłatę podatku 830; Jak widać zakładam równy podział nadwyżki.

W zasadzie Zieliński powinien być zadowolony. Jednak obecnie ów podatek jest przed nim ukryty i w oczy nie kole. Po wprowadzeniu pogłównego powstanie olbrzymi bodziec, by zrjonalizować wydatki rządu i to będzie niesłychanie korzystne, powstanie jednak również bodziec, by unikać fiskusa żyjąc na marginesie z dorywczych prac.

Poradzenie sobie z masą takich „luźnych ludzi” jest teoretycznie łatwiejsze niż w Średniowieczu - ale wcale nie proste. Jest to kluczowy punkt. Wszelkie unikanie pogłównego ma bowiem charakter dodatniego sprzężenia zwrotnego. Powiedzmy, że przy obciążeniu podatkiem 830, 1% obywateli będzie skłonionych się ukryć. To drobiazg - ale oznacza to, że pogłównie na pozostałych trzeba będzie zwiększyć o 8,30. Przy pogłównym 838,30 chętnych do unikania podatku - może być już więcej, obciążenie się powiększa - i w końcu rozsądza system. Tak, jak rozsądzało każdy system pogłównego znany w historii. Co prawda czasem trwało to paręset lat. Dlatego więc administracja musi z początku przyostrzać jak w przykładzie z żaglówką. Wymaga to wprowadzenia systemu podobnego do ustawy przeciw pasożytniczej ale działającego dokładnie odwrotnie!

O ile, ustawa przeciw pasożytnicza [Mowa o ustawie „o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy” przyjętej przez Sejm PRL w pierwszych miesiącach stanu wojennego wprowadzającej przymus zatrudnienia (pod kara obozu pracy) dla mężczyzn.] oparta była na przymusie pracy - o tyle trzeba tu wykorzystać chęć do pracy. Podatki służą bowiem do zaspokajania różnych potrzeb - od prozaicznych chodników w miastach poczynając. Osoby unikające systemu podatkowego nie mają moralnego prawa korzystać z tych udogodnień. Pofantazjujemy sobie trochę. Zamiast obozów pracy, gdzie „pasożyci” przebywają pod nadzorem, należy przeciwnie: utworzyć „wolną strefę” dla nierobów (a raczej szalbirzy). Musiałby to być kawał Polski, powiedzmy w Bieszczadach - w którym panowałaby całkowita swoboda (nie można wykluczyć, że np. anarchiści chcieli by tam zamieszkać dobrowolnie!). Przebywałyby tam

osoby nie płacące podatków - a wrócić mogłyby dopiero po zapłaceniu zaległości. Na obrzeżach byłyby warsztaty państwowe i prywatne, gdzie ludzie ci mogliby zarabiać oraz sklepy, gdzie mogliby kupować (z tym, że od wydawanych sum potrącałoby się zaległości i należności). Nikt nie byłby do pracy zmuszany i jeśli np. znajomi z zewnątrz posyłałoby im pieniądze, to mogliby tam żyć latami. Jedni, być może, wylądowałiby tam na stałe, a inni powróciliby do społeczeństwa, ale już ceniąc pracę, ochronę policyjną oraz inne dobra dostępne za podatki.

Ale dość żartów. Skuteczniejszym środkiem walki z unikaniem podatków jest zmniejszenie strefy socjalnej. Gdy wydatki z tego funduszu znacznie spadną, to Zieliński będzie miał inną perspektywę: zarobki 1100 zł, z czego na rękę 830 zł (z tego jednak trzeba pokrywać leczenie, szkolnictwo ponadpodstawowe, wczasy w pełnej wysokości etc.) a podatku tylko 270 zł. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że ok.1/3 tego podatku zniknie, gdyż tyle będzie czerpane z łanowego i podymnego - to podatek skurczy się do 15% zarobków, co nie skłania do zabawy w unikanie go!

Rozważania powyższe nie dotyczą oczywiście emerytów, rencistów i podobnych kategorii. Po prostu podniesie się im nominalnie renty o wysokość pogłównego. Można również przyjąć założenie, że powyżej pewnego wieku emeryci pogłównego nie płacą, co łączyłoby się z utratą głosu w wyborach (podobnie kardynałowie powyżej pewnego wieku tracą prawo elekcji). Otwartą jest też kwestia, czy pogłówny winny płacić kobiety - byłbym tego przeciwnikiem i z ciekawością obserwowałbym, jak feministki próbują namówić kobiety, by w ramach równości płci domagały się nałożenia pogłównego na siebie! Mowa o kobietach nie pracujących zawodowo, oczywiście. Podobnie można rozważać stopniowy wzrost pogłównego, by uniknąć gwałtownego skoku w momencie osiągnięcia dojrzałości.

Na zakończenie: będąc konsekwentnym zwolennikiem spokoju i stabilizacji powtarzam postulat wprowadzenia zmian stopniowo: jeśli np. reformę rozkładamy na 4 lata, to trzeba co pół roku zmniejszyć o 1/8 stare podatki, a zwiększać o 1/8 docelowej wielkości - nowe.

Przedstawiony system należy - nie ukrywam - do najbardziej radykalnych. Teoretycy wiedzą, że podatkować należy nie produkty, lecz środki produkcji - by zachęcać, a nie zniechęcać, do pracy. Nawet opodatkowanie środków produkcji kryje pewną groźbę: zniechęca do racjonalnych inwestycji. Tu opodatkowane są rzeczy najbardziej trwale: ziemia, ludzie i nieruchomości - które uciec nie mogą - i nie będą (w przypadku ludzi) chciały, gdy przekonają się, że mimo podatku dochody w Polsce są bardzo wysokie. A będą bardzo wysokie. Tak

wysokie, że sumy opodatkowania, pozwalające utrzymać normalne wydatki i spłacać długi (co nie powinno zabrać więcej niż trzy-cztery lata) nie będą nadmiernie obciążały obywateli.

Od siedemdziesięciu lat żyjemy w systemie, w którym podatki nie odgrywają znaczącej roli. W gospodarce „państwowej” były przekładaniem pieniędzy z kieszeni w kieszeń - przeto dziwić się trudno, że były lekceważone; w gospodarce prywatnej były jawnym likwidatorstwem w stosunku do produkcji legalnej - a sadząc z objawów zewnętrznych były niczym dla prężnie się rozwijającej gospodarki nieofcjalnej.

Ludziom w tym systemie uwiędła wyobraźnia podatkowa - nie potrafią więc zazwyczaj pojąć, jaki popęd otrzymałaby gospodarka po wprowadzeniu tych trzech - i tylko trzech - podatków. Oznaczałoby to zdjęcie wszelkich ograniczeń z góry - i nieustanny nacisk z dołu. Pewne wyobrażenie niech da fakt, że na pewno potrzebne byłyby środki policyjne, by powstrzymać ludzi od pracy w niedzielę!

Nie wiem, kiedy dorównalibyśmy tempem rozwoju Korei Płd., a poziomem życia Szwajcarii - ale wiem, że za parę lat, mimo spłaty długów, trzeba by po przejściowej, 2-3 letniej obniżce) zacząć podatki zwiększać - i to wydatnie. Pieniądze trzeba by wydawać na jakiś szlachetny cel - np. eksplorację kosmosu - nie przynoszących krajowi materialnych korzyści. Byłoby to konieczne nie tylko dla zdrowia obywateli (zagrożonych odtłuszczeniem), ile dla odsunięcia groźby zalewu imigracją zarobkową.

Wizja szukania ratunku przed nadmiernym dobrobytem wydaje się dziś z perspektywy rozsypującej się Polski jawną kpina. Jednak praktycy doskonale wiedzą, że bogactwem firmy nie są tereny i maszyny - bogactwem jest jej organizacja. Porównanie Hongkongu czy Tajwanu z maoistowskimi Chinami (tu i tu mieszkają ci sami przecież Chińczycy) pokazuje to dobitnie. Marzenie to więc jest całkiem realne. Czy znajdziemy w sobie dość siły woli, by je wcielić w życie?

## WYSOKIE CENY

Na początek rozpatrzmy przykład z życia. Kraj, tak jak Polska oddzielony od reszty świata barierami ceł i niewymienialnej waluty, pewnego dnia znosi te bariery. Co się dzieje?

Ceny zbliżają się do światowych, przy uwzględnieniu kosztów transportu. Ziemniak we Francji może być trzy razy tańszy - ale koszt transportu powoduje, że nie opłaca się go wieźć tam, gdzie jest droższy.

Do światowych zbliżają się jednak również ceny czynników produkcji: surowców, energii i siły roboczej. W efekcie ceny towarów miejscowych szybko mogą stać się wyższe od światowych - tak, jak z ziemniakami. Następuje zdumiewające zjawisko: przed miesiącem towary z Zachodu były luksusem - dziś to tandetne świecidełka, na które każdy może sobie pozwolić. Natomiast wyroby z lokalnych surowców, wyroby solidne - stają się drogie. Liczydła z drewna mogą być droższe od elektronicznego kalkulatora.

Jeśli władze zaczną interweniować na rynku, jeśli ustawy (np. kodeks pracy) będą przeszkadzały normalnym przemianom - może dojść do katastrofy gospodarczej. Jeśli jednak panować będzie wolny rynek, nastąpi proste zjawisko: cena siły roboczej będzie spadać - tak długo, aż towary krajowe staną się konkurencyjne wobec zagranicy. Oczywiście poza spadkiem płac nastąpi racjonalizacja produkcji, wzrost wydajności itd. - oraz czynnik, o którym napiszę w części drugiej.

Tu ważna uwaga: niektórzy ekonomiści - amatorzy mówią, że spadek płac nic nie da, gdyż płace stanowią tylko parę procent wartości produktu.

Otóż na koszt wyrobu składa się koszt kapitału - który zresztą też jest w większości wykonaną kiedyś pracą! Dalej koszt surowca - ale według marksistów koszt węgla jako takiego jest zerowy, liczy się tylko koszt jego wydobycia, a więc praca ludzka. I wreszcie koszt energii - jednak w koszcie prądu najważniejszy czynnik to praca ludzka przy budowaniu zapory, przy produkcji cementu na zaporę, przy produkcji stali na turbiny itd. Również i bezpośrednio FSO może liczyć, że koszt pracy to „tylko 3% wartości samochodu”. Ale w tych pozostałych 97% jest np. koszt zakupu opony. A W OPONIE TEŻ TKWI LUDZKA PRACA - podobnie jak w szybach, tapicerce i innych kupowanych przez FSO częściach.

Ponieważ obniżka płac dotyczyć będzie wszystkich pracowników - nie tylko tych w FSO, ale i tego drwala, który rąbie drzewo na stemple do kopalni, z której pochodzi węgiel, którym

pali się w elektrowni produkującej prąd dla wielkiego pieca wytapiającego stal dla fabryki, robiącej felgi kupowane przez FSO - przeto spadek ceny spowoduje prawie taki sam spadek cen naszych towarów. Dzięki wspomnianej już racjonalizacji produkcji ceny spadną jeszcze bardziej - aż do punktu równowagi, w którym nasze towary staną się tańsze od zagranicznych - dopóki pensje są niższe od zagranicznych!

Polski producent odczuje to w ten sposób, że będzie mógł - w porównaniu z pierwszym, szokowym okresem - nabyć mniej towarów zachodnich, ale więcej towarów krajowych. Tym samym będzie miał lepiej niż przed obaleniem barier. No, a jeśli ktoś będzie chciał odżywiać się droższym masłem francuskim, to trochę dopłaci i też - będzie mógł (czego nie mógł przed reformą). Dotyczy to każdego producenta - rolnika i robotnika - pod warunkiem, że będzie pracował, a nie strajkował. Tak nawiasem: z kryzysu nie można wyjść na zasadzie: „albo wszyscy, albo nikt”. Wychodzić można pojedynczo, najpierw ci najpracowitsi i najzdolniejsi... I podejmujący ryzyko. Bo poziom cen zależy też od stopnia bezpieczeństwa. Jeżeli kraj żyje bezpiecznie - żyje nędznie, kraj, w którym ludzie ryzykują - raz zarabiają miliony, a raz dokładają do interesu, żyją w stałej niepewności jutra, taki kraj żyje bogato. Kraj, w którym bezpieczeństwo socjalne jest całkowite - zmierza do katastrofy. To wszystko przy założeniu, że władza nie interweniuje. Każda interwencja władz - podjęta w najlepszej intencji, np. ratowania płacy minimalnej lub interesów producentów - może spowodować, że będzie nam gorzej niż przed reformą. Co zresztą widzimy. Teraz pora na ćwiczenie drugie. Przypuśćmy, że Żelazna Kurtyna odcięła nas od reszty świata. Chcemy wyjść z socjalizmu - co, oczywiście, jest możliwe np. kula ziemską jest odcięta od reszty kosmosu, a już parę razy w historii wychodziła z socjalizmu. Pytanie, jakie można sobie postawić (i które postawił implicity p. prof Stefan Kurowski w polemice ze mną) brzmi: „Co to właściwie znaczy, że rosną ceny?! Przecież ich nominalny wzrost liczony w krajowym pieniądzu nic nie znaczy! Moglibyśmy na każdym tysiącu namalować „2000”, na pięćsetce „tysiąc” itp. - a ekonomia od tego by nie drgnęła. Po czym poznać, że jednak drgnęło?”

Odpowiedź brzmi: Po wzroście odpowiedzialności!

Wyobraźmy sobie, że mamy robotnika pracującego młotkiem. Wali on w gwoździe - i przeciętnie raz na 10 razy psuje gwoździe. Taka już technologia - i niewiele można zmienić. Norma -1000 gwoździ dziennie. Robotnik dostaje dniówkę 100 tys. zł. Teraz zaczynamy wychodzić z socjalizmu. zaczynamy płacić robotnikowi za każdy wbity gwoździe 11.300 - ale za

każdy zgięty płaci grzywnę 100.000 zł!! I Robotnicy, rzecz jasna, będą protestować. Będą protestować związki zawodowe, czyli rzecznik interesów nieudaczników. Natomiast dobrzy robotnicy szybko obliczą, że średnio zarobią dziennie nie 100, a 170 tysięcy. Co więcej, zaraz się okaże, że „tak jakoś” psują dziennie nie 100, a tylko 95 gwoździ - i „tak jakoś” ten procent z tygodnia na tydzień spada! Od czego zarobki rosną nadal, i to bardzo szybko.

Oczywiście na wolnym rynku taka operacja opłacałaby się tylko wówczas, gdyby gwoździe były ze srebra - faktem jest jednak, że gospodarka per saldo na tym zyskuje (mniej gwoździ się niszczy!). Gdyby więc w Rurytaniu produkowano tylko gwoździe i chleb, i w obydwu działach zastosowano tę - sztuczną - zagrywkę, to gospodarka by per saldo bardzo zyskała!

Na wolnym rynku premie akordowe są znacznie mniejsze - ale są. Dzięki ich zastosowaniu następuje drugie korzystne zjawisko: źli młotkarze poszukaliby sobie innej pracy, np. w piekarni - a źli piekarze być może byliby dobrymi młotkarzami. W socjalizmie natomiast klasycznym jest zjawisko, że mgr geologii pracuje w budownictwie lub jako handlarz w budce - bo system płac NIE ZMUSZA GO DO PRACY TAM GDZIE JEST ON NAJLEPSZY. W kapitalizmie zaczynają się liczyć zdolności - i nawet wykształcenie. Oczywiście wykształcenie też musi drogo kosztować i dlatego w kapitalizmie facet, chcący otworzyć budkę lub zostać budowniczym, NIE pójdzie na geologię. Również panienska szukająca męża nie pójdzie na studia ani do szkoły męczącej ją logarytmami i wzorem na benzen, lecz raczej do szkoły, gdzie nauczą ją języków, gry na fortepianie, śpiewu, dobrych manier, gotowania, cerowania, opieki nad dziećmi, psychologii dziecka, elementów pielęgniarstwa itd. - bo na takie właśnie zdolności jest popyt. Rzecz jasna kobieta mająca specjalne zdolności do geologii mimo to na geologię pójdzie.

Ten cały proces musi zachodzić naturalnie. Rząd nie może tu pomóc - może tylko nie przeszkadzać. Może też dać kopa w tyłek związkom zawodowym, które bronią marnego górnika przed zostaniem dobrym handlowcem: „Francik - czy ci to honor kniunki sprzedawać.”

Przed reformami stoi więc tylko jeden problem: jak przekonać wyrzuconego przez bramę „po dwudziestu latach pracy” pracownika, że za brama na pewno czeka lepiej płatna robota. Gdzie? Nie wiadomo - czytaj ogłoszenia. Kto to gwarantuje? Niewidzialna Ręka Rynku.

Szczególnie trudno to robić, gdy tę Rękę się uprzednio związało.

Wówczas narzeka się, że „liberalizm nie działa”.

Zresztą by przekonać, trzeba samemu w to wierzyć. Niestety: żaden rząd - ani p.

Rakowskiego, ani p. Mazowieckiego, ani p. Bieleckiego, ani p. Olszewskiego - w tę Niewidzialną Rękę nie wierzył i nie wierzy. Bo ona działa dobrze TYLKO wtedy, gdy jest całkowicie wolna. Nie istnieje „rynek częściowo wolny” a „społeczna gospodarka rynkowa” działa równie dobrze, jak kwadratowe koło zębate.

Jeszcze jedno: wiara w Niewidzialną Rękę oznacza zlikwidowanie setek tysięcy etatów w administracji oraz dla... ekonomistów. Nie dziwię się więc, że walczą z tą ideą do upadłego.

## BIEDA

Wyobraźmy sobie, że jakiś Autorytet Moralny - np. obecny Papież, który interesuje się sportem - oświadczyłby, że jest skandalem, iż w zawodach oprócz zwycięzców są też pokonani. To jest - dodałby - niehumanitarne. Po czym zażądał, by we wszystkich zawodach sportowych skasowano ostatnie miejsce...

Rzecz jasna w świecie zapanowałoby pewne poruszenie, po czym zapadłoby kłopotliwe milczenie. Byliby pewnie tacy, którzy ochoczo podjęliby się tworzyć takie regulaminy zawodów sportowych, w których nikt nie zająłby ostatniego miejsca - wkrótce jednak daliby spokój, bo największy zapał i szlachetność uczuć nie wygrałaby z logiką. Skasowanie ostatnich miejsc jest logicznie niemożliwe.

Warto, by z tego fikcyjnego przykładu wnieść rzecz podstawową:

Nie jest możliwa WYGRANA, gdy nie ma PRZEGRANEJ. Są to dwie strony tego samego medalu.

Tym niemniej są w świecie Autorytety Moralne, które oświadczają (nie czując dokładnie tej samej śmieszności), że należy zlikwidować w świecie biedę. Że skandalem jest, iż w świecie opływającym w dostatki i duszącym się od nadmiaru żywności - istnieją biedni i istnieją głodni. Co najśmieszniejsze: wśród tych komunistów znajdują się przedstawiciele chrześcijaństwa, - wyznania które ongiś twierdziło odważnie, że bieda jest cnotą! Więcej! Nie dowierzający temu Warszawiacy mogą pójść na Krakowskie Przedmieście i na kościelnym budynku przylegającym do kościoła św. Anny zobaczyć dumny napis: RES SACRA MISER.

Bieda jest Rzeczą Świętą!

Walka z Rzeczą Świętą? No-no!

Co prawda, w świecie, w którym Bóg nie ma być surowym i sprawiedliwym sędzią, tylko przemiłym stworzonkiem rodzaju żeńskiego (jak chcą Anglikanie) - wszystko jest możliwe...

Teraz poważnie - bo niektórzy traktują to bzdurne hasło poważnie, i nawet robią z niego „program polityczny”. Ponieważ podpisało się pod tym kupę polityków europejskich, dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych i nawet Kapłani Chrześcijaństwa - to wypada potraktować to poważnie. Co prawda Wielki Przywódca Mao Ze-Dong powiedział kiedyś np. „Faszystowskie okrucieństwa rządu Nixona wzniciły huraganowy płomień rewolucyjnego ruchu mas pracujących Stanów Zjednoczonych” - i trzeba było to traktować poważnie tylko dlatego, że ten



bałwan rządził miliardem Chińczyków... Niestety: obawiam się, że w hasło likwidacji biedy wierzy z miliard Białych...

Tymczasem likwidacja Biedy jest niemożliwa, bo Bieda jest rzeczą względną. Faceci zamieszkujący podziemne węzły ciepłownicze na osiedlu Wrzeciono w Warszawie lub w Nowym Jorku żyją o Niebo lepiej od greckich królów opiewanych w „Iliadzie”! Widać to np. po średniej długości życia. W tamtych czasach wynosiła ok. 20 lat!! Nic dziwnego: Boadycea miała w pałacu zimą ok. 5°C, a Ludwik XIV ok. 10°C. Pożywienie wygrzebywane ze śmietników jest z reguły zdrowsze, niż średniowieczne (miejskie - na wsiach było niby zdrowiej, ale... śmiertelność była wyższa na wsi!). Spaliny są, owszem, niezdrowe - ale zarazki Czarnej Ospy, Dżumy i Cholery są jeszcze mniej zdrowe. „Biedni” Murzyni w RPA mieli więcej samochodów, niż „średnio-zamożni Sowieci”. I tak dalej.

Gdybyśmy zlikwidowali (w obecnym pojęciu) Biedę w Polsce, i nawet najbiedniejszy miałby „malucha”, a najbogatszy tylko „Poloneza” - to niechęć matek do wydawania córek za posiadaczy maluchów, byłaby dokładnie taka sama, jak niechęć matek dzisiejszych do wydania ich za mieszkańców slumsów. Co więcej: gdyby były tylko te dwa rodzaje samochodów (i dwie kategorie zamożności) to pomiędzy nimi ziałaby przepaść niesłychanie trudna do przeskoczenia - i towarzysko, i finansowo. Proszę zauważyć, jak droga była „Syrenka” w „egalitarnym” społeczeństwie Ery Wielkiego Gawędziarza Ludowego, tow. Gomułki (ksywka: „Wiesław”)!

Dlatego postulat likwidacji Biedy to tylko inna forma żądania Urowniłowki. Kto raz postawi sobie takie zadanie, to będzie Biedę likwidował i likwidował - tak długo, aż wszyscy będą mieli równe racje jedzenia w stołówkach i przydziałową kufajkę raz na dwa lata.

Tymczasem w normalnym społeczeństwie rozkład bogactwa jest normalny - tak samo jak rozkład, powiedzmy, wzrostu. Walka z tym, że są bogatsi i biedniejsi przypominałoby walkę o to, by pp. Wałęsa i Olechowski mieli po tyle samo centymetrów!

Nie mówmy więc o Biedzie - lecz o rozpiętości bogactwa. U schyłku ustroju elita metodami politycznymi powiększa swe bogactwa ponad miarę (np. ustanawiając degresywny podatek od własności ziemskiej) - co wywołuje reakcję w postaci żądania urowniłowki właśnie. Tymczasem normalny rozkład jest zdrowy i właściwy.

Ludzie biedni są społeczeństwu potrzebni. To z biedoty wywodzą się jednokrotnie najwybitniejsi ludzie. Oni bowiem chcą awansować! Uczą się, pracują - i awansują. Bogatym - już tak nie zależy... Dlatego społeczeństwo złożone z samych bogatych (tzn. ludzi, którzy staliby

się bogaci w skali przyswojonej w dzieciństwie) upadłoby w ciągu jednego pokolenia. To biedni najusilniej pracują, są najlepszymi żołnierzami... Co, oczywiście nie znaczy, że należy dbać o utrzymanie Biedy! Trzeba tylko po prostu z nią nie walczyć!

Na zakończenie powiem rzecz szokującą: istnienie normalnego rozkładu Bogactwa (i Biedy, rzecz jasna) jest najbardziej potrzebne biednym!

Bieda jest rzeczą względną. Człowiek porównuje się z innym człowiekiem - i (z wyjątkiem jednej jedynej osoby na świecie) nie ma takiego biedaka, który nie byłby od kogoś bogatszy. Pracuje ciężko, żyje nędznie - ale ma satysfakcję, gdy ktoś jeszcze mniej zdolny pracując ciężko ma się jeszcze gorzej (lub ktoś zdolniejszy, ale leniwy, popadnie w nędzę straszliwą). Przy normalnym rozkładzie Biedy stosunkowo niewielkim wysiłkiem można piąć się stopień po stopniu w górę - pracując i oszczędzając (oczywiście: nie w s\*\*\*alistycznym banku!). Proszę to porównać z beznadziejną rozpaczą posiadaczy „maluchów”, którzy swoje wozy mają wprawdzie zagwarantowane, ale za to praktycznie nie mają szans przesiąść się na „Polonezy” (z przykładu wyżej).

A gdyby WSZYSCY mieli gwarantowane powiedzmy średnio: „Uno”? To by dopiero była beznadzieja! Dziwią się Państwo frustracji PZPR sprzed 10 lat - i ich chęci wyrwania się z systemu uposażeń i przywilejów partyjnych?!?

„Walka z biedą” - to ładnie brzmi jako hasło. I, jak wszystkie chyba hasła Epoki D\*\*\*kracji, nadaje się wyłącznie na śmietnik. Mówiący to człowiek powinien się po prostu - wstydić.

To wszystko jest jasne i proste - tyle, że dzisiejsi ludzie ogłupieni d\*\*\*kacją i telewizją bezmyślnie powtarzają coś odwrotnego. Gdyby chwilę pomyśleli... no, nie: w epoce telewizji i komputerów jeszcze myśleć?!?

## PIENIĄDZ ŁAGODZI OBYCZAJE

*(Jankesi) w ogóle nie lubią Murzynów (..) i ciągle mnie pytali o psy gończe, które mnie ścigały i o bicie, jakie dostawałem. A przecież Miss Scarlett, nigdy w życiu nie dostałem bicia! Pani wie najlepiej, że pan Gerald nie pozwoliłby nikomu podnieść ręki na Murzyna, który tyle kosztował, co ja!*

*(Margaret Mitchell, „Przeminęło z wiatrem”)*

W barbarzyńskich czasach przedfenickich, gdy dwoje spadkobierców dziedziczyło dom, znajdowali się w nad wyraz niewygodnej sytuacji. Albo jedno musiało się wynieść, albo zabić drugie - albo musieli mieszkać w nim razem, choćby nie mieli ochoty.

Odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, dom się po prostu sprzedawało, a pieniądze dzielono. Czasem dom - brało jedno - a drugiemu wypłacało dolę w gotówce. Trudno dziś nawet wyobrazić sobie trudności jakie mieli ludzie przed wynalezieniem pieniądza - tak jak trudno wyobrazić sobie liczenie bez zera (a zero wynaleziono w wiele lat po narodzeniu Chrystusa...)

Dalszym zyskiem z pieniądza jest rynek. Mam opony - a brak mi przedniej szyby. Bez pieniędzy musiałbym szukać jegomościa, który akurat ma szybę, a brak mu opon - z minimalną szansą. Teraz po prostu sprzedaję jak najdrożej (czyli temu, komu opony są najbardziej potrzebne) - i kupuję szybę (jak najtaniej - tj. od tego komu jest ona najmniej potrzebna). Bez pieniądza to najsprawiedliwsze społeczne rozwiązanie byłoby nie do znalezienia!

(Tak nawiasem; gdy wymieniam opony na szybę - to nie płacę podatku, natomiast sprzedając opony i kupując szybę powinienem - teoretycznie - zapłacić go dwukrotnie. Dlaczego nasz fiskus tępi racjonalne transakcje? Z zasadniczych powodów doktrynalnych: ideałem socjalizmu jest wspólnota pierwotna - a ta, jak wiadomo, pieniądza nie znała. CBDO).

Gdy w dawnych - i nie tylko w dawnych - czasach oblegano miasto, to obydwie strony były w takiej samej sytuacji, jak spadkobiercy domu: wszystko - lub nic. Potem możliwy był już kompromis: płaciło się okup, być może nawet większy, niż zysk ze splądrowania miasta - ale na pewno mniejszy, niż straty mieszkańców! Czasem jeszcze mniejszy - Obydwie strony starannie rozważały szansę upadku twierdzy, nadejścia posiłków - i dochodziły zazwyczaj do rozsądnego rozwiązania, co oszczędzało wiele wysiłku i ratowało życie wielu ludziom.

A zadajmy sobie teraz pytanie: dlaczego w Wiekach Średnich tak mało ludzi ginęło na

polu walki? W bitwie pod Grunwaldem zginęło bodaj czterdziestu polskich rycerzy - a była to bitwa gigantyczna! Wiele mówi się o głębokim wpływie chrześcijaństwa, o kodeksie rycerskim, o poszanowaniu się wzajemnym zawodowców od miecza - ale główna przyczyna była prosta: za jeńca brało się okup - i to zazwyczaj wysoki. Zabijanie rozbrojonego przeciwnika było więc nonsensem. Dziś, gdy z oburzeniem odrzucamy handel ludźmi - jeńców masowo się wyrzyna. Ciekawe, że mało kto dostrzega związek między tymi faktami.

Handel ludźmi jest dziś potępiony i nawet formalnie zakazany przez międzynarodowe konwencje. Ciekawe, że również np. Adolf Hitler potępiał te burżuazyjne obyczaje - i na sposób swoiście moralnie czysty ludzi mordował... Ja tam wołę brudne obyczaje kupieckie. Podobnie z tak kontrowersyjnym problemem, jak zabijanie nienarodzonych dzieci. Ludzie, przecież za niemowlaka płacą po pięćdziesiąt tysięcy dolarów!! Mimo to Urzędnicy-Moralisci nie dopuszczają do tego niemoralnego handlu - natomiast zupełnie nie przeszkadza im rzeź niewinności! Jest to tak absurdalne, że niczym poza nienawiścią do wszystkich wynalazków z epoki późniejszej niż wspólnota pierwotna (i ewentualnie wczesne niewolnictwo) nie mogę sobie tego wytłumaczyć!

Podobnie jest ze sprawą wyboru lekarza. Szlachetni Moralisci domagają się medycyny bezpłatnej - co dało skutek dla ekonomisty oczywisty: ruinę zawodu. Zajmijmy się jednak nie gospodarką - lecz moralnością.

Otóż - jak wiadomo - lekarz lekarzowi nierówny. Gdy opieka lekarska jest płatna - do najlepszego lekarza idzie ten, kto ma najwięcej pieniędzy. W państwie źle rządzonej nie jest wstyd być biednym - mówili Grecy - ale w normalnym państwie więcej pieniędzy płaci ten, kto albo ma ich więcej (a więc więcej wyprodukował dla społeczeństwa), albo więcej skłonny jest wydać (bo nie każdy dba jednakowo o swoje życie!), albo ma więcej przyjaciół gotowych zań zapłacić - innymi słowy: do drogiego medyka dostaje się człowiek przez społeczeństwo oceniony jako lepszy, lub ten, co bardziej tego potrzebuje.

Z medycyną bezpłatną pojawia się trudny problem, który w formie skrajnej można ująć tak: Najlepszy lekarz może przyjąć jednego pacjenta - a poradę jego potrzebuje koniecznie dwóch. Którego ów lekarz ma leczyć?

W efekcie przed gabinetem najlepszych lekarzy tworzą się długie kolejki - gdy mój kolega chciał zapisać się w czerwcu do spółdzielczego kardiologa - dostał numerka na koniec sierpnia! Na niejaki szczęście istnieją jeszcze łapówki, „prezenty” itp. - toteż kolega mój jeszcze

żyje. To było do lekarza za - niewielkie - pieniądze. Co się dzieje w przychodniach leczących za darmo? A przecież jest jasne, że  $\frac{3}{4}$  miejsc w kolejce do dobrego lekarza zajmują osoby, które nie muszą korzystać z jego usług. Ale jak im wytłumaczyć, że nie muszą iść do najlepszego lekarza - przecież darmowa opieka jest dla wszystkich!

Jest to okropna niesprawiedliwość społeczna - ale... jeszcze gorzej wygląda to z punktu widzenia lekarza! Stoi przed jego gabinetem dwóch chorych - a przyjąć może tylko jednego. Otóż jest to niemal taka sama sytuacja, jak sytuacja lekarzy w Oświęcimiu dokonujących selekcji: do gazu - czy do pracy dla IG Farbenindustrie?

Piszę: „niemal” - bo moralna sytuacja tego lekarza jest jeszcze gorsza!!! Tak - selekcjonujący do gazu wiedział, że nieszczęśnik skierowany do pracy ma nadal ponad 50-proc. szansę śmierci w kacecie. Tu natomiast, jeśli jednemu z tych dwóch pomoże - to go prawie na pewno uratuje!

Dlatego lekarze nie chcą być w tej - pozornie luksusowej - sytuacji Pana Życia i Śmierci. Lekarz chce, by cenę jego usług kształtowało Prawo Podaży i Popytu, dzięki któremu kolejka przed jego gabinetem jest dokładnie tak długa, jak wielka jest jego energia do pracy. Gdzieś tam, oczywiście, są nieszczęśnicy, których nie stać na jego usługi - i umrą. Oddziela ich od nich sekretarka - oraz świadomość, że pracuje na pełnych obrotach, gdyby zaś przyjmował - wg losowania, to umarłoby więcej chorych (bo wśród wylosowanych byłyby mniej ciężkie przypadki) - zaś życie pacjenta ubogiego jest warte dla lekarza dokładnie tyle co życie bogatego, i nie będzie poświęcał czterech milionerów, by uratować trzech żebraków (i tracić, czas na czwartego, który tej opieki wcale nie potrzebuje). Proszę zauważyć, że wyłączenie mechanizmu rynkowego daje fatalne skutki pomimo że decyzja jest całkowicie zdecentralizowana i zindywidualizowana (bo pozostawiona lekarzowi). W rzeczywistości pieniądze i tu się wciska, ratując sytuację. Lekarz rozumujący jak członek cywilizacji postfenickiej, bierze pieniądze (nb. dzięki temu bogaci płacą za lekarza - ale ze szpitali itp. korzystają już za darmo, kosztem biednych - oto paradoks socjalizmu) - natomiast lekarz o sumieniu mimozy godzi się na rozwiązanie pt. „kolejka”. Po czym może już śmiało nie wiedzieć, że i tu istnieją stacze gotowi za parędziesiąt lub paręset tysięcy odstąpić swoje miejsce naprawdę potrzebującemu lub odpowiednio zaopatrzonemu w gotówkę... Następny przykład XX-wiecznego barbarzyństwa - to bezpłatne studia. Jak wiadomo ze statystyki, gros studentów wywodzi się z rodzin średniozamożnych (co całkiem zrozumiałe, gdyż ojciec nie mający dość pomysłu, by

zapewnić rodzinie przynajmniej średni standard, ma też zazwyczaj syna niezbyt rozgarniętego - lub też nie stwarza w domu klimatu sprzyjającego rozwojowi intelektu). Dzieci biedaków idą do pracy najczęściej w wieku 17-tu lub 18-tu lat - i płacą podatki na tych zamożniejszych od siebie!!! Socjaliści próbowali przeciwdziałać temu, utrzymując dla równowagi zaniżone pensje absolwentów, z wyzysku których z kolei dopłacało się do biedaków (ale czy do tych samych?). Jednakże absolwenci - to nie frajerzy. Zamiast pracować w zawodzie zaczęli zakładać butiki, fabryki - lub wyjeżdżać za granicę. Na to znów wymyślono zakaz zatrudniania absolwentów (nawet jako prostych robotników!), zakaz wydawania im koncesji i zakaz wyjazdu za granicę. Ta paraliżująca życie koncepcja leży obecnie w gruzach - ale za to kosztowne wykształcenie marnuje się lub ucieka z kraju...

„Pomysł”, by za studia płacić, i to różnie za różne, według Prawa Popytu i Podaży, jakoś przyjąć się nie może, choć podsuwa się decydom elementarne rozwiązanie: pożyczki na studia. Student co semestr podpisywałby weksele - oprocentowane, oczywiście - a gdyby po studiach chciał wyjechać - proszę bardzo, wolna droga!

Jednak weksel to nie bliżej nieokreślona „wdzięczność za wykształcenie” - i egzekwować go można we wszystkich cywilizowanych krajach.

Od razu oczyściłaby się atmosfera. Uniwersytet w Pcimiu kształci absolwentów rozchwytywanych w USA? No, to chesne byłoby tam bardzo wysokie, Skarb (lub ludzie prywatni!) robiliby świetne interesy na pożyczkach dla zdolnych maturzystów - a podatek nie musiałby do tego dopłacać! Pan natomiast miałby pieniądze na rozwój i nie musiałby żebrac w Ministerstwie Zarządzającym Chodzeniem do Szkół.

Aleksy de Tocqueville, jeden z największych historiozofów i socjologów, powiedział: „Im bardziej oświecone staje się społeczeństwo cywilne - w tym większym barbarzyństwie grzęźnie społeczeństwo polityczne”. Co byśmy powiedzieli o jegomościu wysoce zdolnym, sprawnym i wykształconym, który wyłączyłby rozrząd w samochodzie i, dufny w swe umiejętności, ręcznie włączał prąd do świateł, wtryskiwał mieszankę do cylindrów... Orzeklibyśmy bez wątpienia: wariat!

Pieniądz jest rozrządem społeczeństwa. Umożliwia kierowanie ludźmi tam, gdzie są najbardziej potrzebni. Gdy jednak pojawiają się ludzie typu p. prof. Kurowickiego lub doc. Bugaja, domagający się wyłączenia tego rozrządu i przejścia na ręczne sterowanie - to zamiast „Wariaci!” mówimy: „Przedstawiciele postępowego kierunku w myśli ekonomicznej”.

W naszym samochodzie wyłączono motor - czyli zysk. Wyłączono częściowo rozrząd - czyli pieniądz. Wyłączono kierownicę - która stanowią ruchome ceny. A potem pretensje, że pojazd nie działa!

Gdy więc dojdzie do jedzenia chrabąszczy i ogryzania młodych pędów lipy, pamiętajmy o powiedzeniu Kisiela: „To nie kryzys - to REZULTAT”.

## ŻYC NA WŁASNY RACHUNEK

„Nie ma to jak na wsi!” - rozmarzył się mój znajomy - „powietrze czyste, trawa zielona, świeże mleko i jaja... Chleb można sobie samemu upiec, świniaka ubić...”

Czym prędzej spytałem go, czemu jeszcze na wieś nie wyjechał?

Odpowiedź mglista była i wykrętna - jasno z niej wynikała jedno: ten człowiek nie miał pojęcia, czemu wybrał miasto. Niezależnie jednak od tego, czy wybór ludzi jest w większości świadomy czy podświadomy, coś nań wpływa. Pomyślmy, co?

Jako założenie przyjmuję, że wszelka gadanina: Na wsi jest obiektywnie lepiej, tylko niedoskonałość ludzka nie pozwala tego dostrzec, nie nadaje się do dyskusji. Po ludzku „lepiej” ma ściśle określony sens: jeśli mieszkańcy Pcimia Dolnego przenoszą się do Górnego - to lepiej jest w Górnym; zadaniem nauki nie jest robienie z białego czarne, lecz badanie, dlaczego się przenoszą (o ile w ogóle warto się tym zajmować, co wcale nie jest oczywiste!).

Popularnym wyjaśnieniem była kreacja mitu „Miasto jest bardziej nowoczesne, postępowe, kulturalne... - itd”. Chodzi, powtarzam o mit - czyli to, co w powyższej charakterystyce odbiega od rzeczywistości. Istotnie, ludzie ongiś kupowali gorszy, brzydszy, droższy i mniej wygodny fotel - tylko dlatego, że był „nowoczesny”. Być może tłumaczy to część pędu ze wsi do miast.

Na całym świecie - poza najwyżej rozwiniętymi krajami - obserwuje się tę ucieczkę. Choć jestem pozytywistą stoję na wspólnym stanowisku z marksistami: tu muszą grać rolę potężniejsze czynniki! Oczywiście część tej ucieczki jest ekonomicznie uzasadniona - problem w wyjaśnieniu motywów pozostałej części. Pomówmy jednak - przepraszam za brzydkie słowo - o pieniądzech.

Od zarania dziejów rolników łupiono - zaczęło się więc im kalkulować opłacanie podatków na utrzymanie zbrojnej drużyny, chroniącej swoich chłopów (a, w miarę możliwości, łupiącej obcych). Koszty zbroi były bardzo wysokie - być może proporcjonalnie wyższe niż dziś cena bomby atomowej - ale per saldo to się opłacało. Aż do czasów nowożytnych mniej więcej wiadomo było ile ten koszt wynosi i kto go pokrywa.

Przyszły jednak czasy Jana Maynarda Keynesa. Państwa rezygnowały z waluty złotej, zaczęły dowolnie manipulować cenami, podatkami i płacami, z czego powstał niesamowity galimatias. Nie chcę tu poruszać generalnego problemu: polityki cenowej, wyjątkowo dla wsi niekorzystnej. Chcę pokazać - znów nie poruszając zagadnienia kosztów uprzemysłowienia i jego



sensowności - jak te sumy wpływają do miast i jak są spożytkowane. Mechanizm ich wpływu ze wsi zilustruję tylko w dwóch przykładach:

1. Hasło „Tania żywność dla ludności”, brzmi zachęcająco - a dla realizacji nie wymaga wcale drakońskiej kontroli cen. Najdemokratyczniejsze państwa świata przeprowadziły tę operację niejednokrotnie np. uchwalając w imię tego hasła subwencionowany import żywności. Ceny spadały wówczas automatycznie. W rzeczywistości oznaczało to jednak, że wszyscy w formie takich czy innych podatków wpłacili po 500 złotych do skarbu państwa dla pokrycia kosztów subwencji - a skorzystali na tym mieszkańcy miast; jeśli mieszkańców jest 50% to operacja „subwencja” równoważna byłaby wyjęciu z kieszeni każdego rolnika 250 złotych i wsadzenia do kieszeni mieszczanina 200 złotych. Brakujące do rachunku 50 złotych marnowało się na utrzymanie tych, co operację wymyślili i przeprowadzili: biurokratów. Podobnie zresztą jest na Zachodzie, gdzie pod naciskiem mas miejskich, parlamenty uchwały minimalne ceny za mieszkania, kanalizację itp. Gdybym płacił nie 6 groszy a np. 40 groszy - to różnicy bym nie odczuł, a kanalizacja stałaby się zapewne rentowna i nie byłaby w tak katastrofalnym stanie w jakim jest obecnie. Czy należy się dziwić, że ludzie wolą mieszkać w domu z sedesem - ze świadomością, że do każdego pociągnięcia za sznurek dopłaca ktoś chodzący do wychodka?

A teraz proszę sobie porównać koszt metra sześciennego ciepłej wody z elektrociepłowni, z kłopotem, jaki na wsi sprawia jego otrzymanie. Podgrzałby Pan, Czytelniku, i targał wiadrem metr sześcienny wody za 90 groszy?

A przekaźniki telewizyjne? Rozmieszczone są (i jest to słuszne) w pobliżu wielkich skupisk ludności, a więc odbiór powinien być lepszy (pomijając zakłócenia, za co chłop w końcu nie jest odpowiedzialny). Abonament zaś telewizyjny jest, zdaje się (nie wiem, bo nie mam telewizora), jednakowy dla wszystkich. W tym przypadku posiadacz „źle” usytuowanego odbiornika dopłaca do tego, by telewizji nie opłacało się o niego dbać...Nie mówię, że mam na to jakiś sposób - stwierdzam fakt: nawet w jakich drobiazgach chłop dopłaca do mieszczucha.(A może wprowadzić abonament odwrotnie proporcjonalny od dystansu osi przekaźnika?)

Dalej. Teatry i kina. Teatrów w mieście jest więcej niż na wsi - nieprawdaż? - a chłop idąc do teatru musi dopłacać koszt swojego dojazdu. Otóż teatry są u nas deficytowe! Nie wiem, ile p. minister kultury, wyjmuje rocznie ze skarbu państwa, na subwencje dla teatrów i kin - ale jest jasne, że dofinansowuje w ten sposób przede wszystkim mieszkańców miast. Lepiej zaś być tym, do kogo się dopłaca...

Tu znów refleksja. Po bilety (względnie tanie przecież) czeka się nieraz całymi godzinami w kolejkach - lub marnuje czas całemu łańcuszkowi ustosunkowanych znajomych. W efekcie to subwencjonowanie sprowadza się do tego, że chłop płaci za to, by mieszcuch miał wystawać w kolejkach do kas!

Dalej. Infrastruktura. Od lat - również, a nawet zwłaszcza z Zachodu - słyszę, że np. kanalizację musi finansować państwo, gdyż dla kapitału prywatnego jest to inwestycja nieopłacalna. Dlaczego?

Otóż dlatego, że opłaty za korzystanie z niej są sztucznie zaniżane.

2. Hasło „Ochrona rodzimego przemysłu” też jest popularna. Jeśli jednak cłem obłożyć import traktorów, to cena ich idzie w górę - co znów oznacza przelew pieniędzy z kieszeni użytkowników traktorów do kieszeni ich producentów.

Oczywiście możliwe są operacje odwrotne - acz w praktyce spotyka się je znacznie rzadziej. Nadmienię tylko, że z powodów doktrynalnych (chodzi m. in. o te 50 złotych...) przeciwny jestem wszelkim formom ceł i subwencji - i wracam do tematu zasadniczego.

Zacznijmy od miejskiej komunikacji. Co by o niej nie mówić - lepiej jest jeździć niż chodzić; dowodzi tego fakt, że ludziska klną i tłoczą się do tramwajów. Nawet na jeden przystanek.

Do komunikacji w mym mieście dopłaca się rocznie miliardy złotych, co oznacza tysiące złotych rocznie na jednego mieszkańca. Czy można się dziwić, że chłop chce uciec do miasta? Nie można. Każdy woli, by do niego dopłacano niż by on sam do kogoś dopłacał! Ponieważ komunikacja jest deficytowa, władze nie mają interesu w jej rozwijaniu i czynią to wyłącznie pod naciskiem społecznym. To samo tyczy zresztą oświaty, służby zdrowia i podobnych dziedzin.

Innymi słowy: chłop dopłaca do tego, żeby mieszcuch miał... marną komunikację. W ten sposób mógłbym niemal bez końca. Pora jednak na wniosek.

Twierdzę, że ludność ucieka do miast nie dlatego, że w mieście żyje się w komforcie - a dlatego, że za ów komfort płaci wielokroć zaniżoną cenę!

Po diagnozie pora na receptę. Sądzę, że czas, byśmy zaczęli żyć na własny rachunek. Do tego konieczne jest, by - po wpłaceniu do skarbu państwa sum niezbędnych na utrzymanie wojska i policji - oraz znacznie zredukowanej administracji centralnej - reszta działalności finansowana była z podatków lokalnych, gminnych i miejskich, pozostających w gestu lokalnych władz.

Jest kwestią należącą do decyzji władz miejskich, czy bilety tramwajowe zdrożeją do realnego kosztu - czy będą subwencjonowane. Jeśli jednak będzie się do nich dopłacać - to z kieszeni samych podatników miejskich - i ten podatek bardzo wzrośnie. W każdym razie nie korzystający z tego dobrodziejstwa dopłacać doń nie będą. I to będzie sprawiedliwe.

Zdaję sobie sprawę, że argument sprawiedliwości nie przemawia do technokratów - choć powinien, gdyż pojęcie sprawiedliwości powstało przez wieki w ten sposób, że oznaczano nim działania korzystne dla społeczności. Dla ciasnych umysłów wyliczę więc kilka praktycznych takiego systemu korzyści:

1. Można by znieść upokarzające ograniczenia meldunkowe. Wysoki (w porównaniu z gminnym) podatek miejski automatycznie równoważył korzyści i ograniczał napływ chętnych. Wątpiącym przypominam, że właśnie wysokie (i progresywne...) podatki miejskie doprowadziły do wyludnienia się Nowego Jorku i innych metropolii amerykańskich.

2. Wraz z drażliwym problemem „Kto do kogo dopłaca” znikłyby podstawy błędnych decyzji gospodarczych. Dziś bowiem przemysł ciągnie do miast, gdzie dysponuje sztucznie taną infrastrukturą. Zamiast „forsownej deglomracji” zwykły rachunek ekonomiczny doprowadziłby np. do japońskiego systemu drobnych kooperantów po wsiach. Dlaczego chłopo-robotnicy mają jeździć do roboty, gdy taniej i wygodniej robota może przyjść do nich?

3. Władze lokalne zyskałyby realne podstawy do zapowiedzianego w exposees rządowych samorządu. Nie można w nieskończoność traktować społeczeństwa jako grupy małych dzieci. Młodzież zaś usamodzielnia się, gdy dostaje do ręki własne pieniądze.

Musimy - powtarzam się - żyć na własny rachunek. Jeśli grozi nam głód, a chłop pracuje dwa razy ciężiej od robotnika - to musi zarabiać trzy razy tyle, by ściągnęło to na rolę dostateczną liczbę zaradnych i przedsiębiorczych ludzi. Nie trzeba przy tym dekretować; sam rynek ureguluje ten problem, znowu. Wystarczy, by administracja przestała przeszkadzać.

Obecny system ściągania od pracowników pieniędzy (od pracowników, nie od obywateli: w ten sposób system podatkowy faworyzuje nierobów!) - a następnie przydzielania ich w formie dotacji, prowadzi do gigantycznego marnotrawstwa, gdyż lepszy był ten, kto więcej - prawdziwych lub rzekomych - potrzeb społecznych wymyślił i plastyczniej (co niekoniecznie znaczy: do ręki) przedstawił je dystrybutorom bogactw. Ci ostatni z natury rzeczy podatni są na argumenty mieszczan - zarówno industrialistów jak i biurokratów - gdyż wśród nich mieszkają. Nie przypadkiem też zazwyczaj znakomicie powodzi się krajom, które stolicę przenieśli do

małej miejsciny (stolicą Australii nie jest ani Sydney, ani Melbourne, podobnie z Kanadą - a i Waszyngton nie był dużym miastem; w miarę jak obrastał w biurokrację pogarszała się polityka gospodarcza Stanów Zjednoczonych...).

Musimy żyć na własny rachunek. Własny garnuszek uczy bowiem gospodarności. A to już jest coś - może nawet: wiele?

## EKSPORT DLA KRÓLA PRUS

Tekst niniejszy, opublikowany 18 września 1983 r. w tygodniku „Ład” przytoczony zostaje w wersji całkowicie niezmienionej (wraz z oznaczonymi i nieoznaczonymi ingerencjami państwowej cenzury) m.in. po to, aby udowodnić, że:

1. nawet w latach stanu wojennego pomimo represji i cenzury możliwa była w Polsce otwarta i konkretna dyskusja na tematy gospodarcze oraz,

2. jak w rzeczywistości niewiele - pomimo upływu dwunastu burzliwych lat i szumnych deklaracji o „upadku komunizmu” i „wprowadzeniu wolnego rynku” - się w gospodarce zmieniło...

Dziś głosi się tezę, iż dobrobyt państwa zależy od wielkości eksportu.

„Eksportować by żyć!” - czytamy w nagłówkach „Eksportować za wszelką cenę - by spłacić wiszące długi i zdobyć na import” - słyszymy.

Nasi działacze gospodarczy dali się ogłupić - przede wszystkim Zachodowi. To stamtąd pochodzi następujący styl sprawozdań:

„Rurytanii udało się w III kwartale osiągnąć dużą nadwyżkę handlową” (tzn. więcej wywieźć, niż przywieźć), lub:

„Już trzeci rok z rzędu bilans handlowy Fuksemburga jest ujemny” (czyli Fuksemburg więcej sprowadza, niż wywozi za granicę).

Tymczasem chwila namysłu wystarcza, by uświadomić sobie, że implikowane tymi stwierdzeniami wartościowanie jest absurdalne. Celem organizmu gospodarczego jest zapewnienie jego członkom nie jak najmniejszej, lecz jak największej ilości dóbr! A zatem każda wywieziona za granicę maszyna, bombka choinkowa, tona węgla, czy świnia - to nie zysk, lecz strata.

W zamian za ów towar eksportujący dostaje pieniądze, ale nie są one celem ostatecznym. Gdybyśmy zobowiązali się, że otrzymywanych zza granicy pieniędzy nigdy za granicę z powrotem nie puścimy, to wszystkie banki światowe na wyścigi zaczęłyby nam sprzedawać całe tony yenów, marek i dolarów - po kosztach produkcji plus parę procent zysku... Pieniądze są tylko po to, by uzyskać za nie inne towary - teraz lub później (lub wcześniej, na kredyt).

Ostatecznie więc wymienia się towary za towar (również złoto!). Zysk handlowca

pochodzi stąd, że różne towary mają różną subiektywną wartość u różnych osób i całych narodów.

Przypuśćmy, że na polach Fuksemburga i Rurytanii rosną sobie Kwadratowe i Trójkątne Bąbelki. Koszt ich zasiania i zbioru jest taki sam. Jeśli jednak Rurytańczycy wolą Bąbelki Trójkątne, a Fuksemburgijczycy - Kwadratowe, to eksport-import stanie się opłacalny, jeżeli owa subiektywna różnica pokryje koszt transportu. Rzecz jasna - prędko oba narody dojdą do wniosku, że prościej jest obsiewać pola w proporcji odpowiadającej upodobaniom lokalnym - ale nie ze wszystkim da się to zrobić.

Niektóre przedmioty z uwagi na dostęp do surowców, talenty pracowników itp., taniej robi się w Rurytanii - a inne w Fuksemburgu. Jeśli różnica kosztów produkcji pokrywa koszt transportu - to zapewne rozwinie się obustronnie korzystny handel.

To wszystko nastąpi pod warunkiem, że rządy obu państw nie wprowadzą jakiś restrykcji - oraz, że poziom cen w obydwu krajach kształtuje się swobodnie, zgodnie z prawem podaży i popytu. Jeśli tak nie jest, to możliwe są - a nawet nieuniknione - paradoksy.

Może się zdarzyć, że handel rozwinie się - i będzie dla obu stron nieopłacalny. Jeśli p. min. Krasiński wprowadzi w życie „zreformowane” ceny, to opłacalnym stanie się np. import do Polski cukru z Francji - i eksport do Francji polskich win! Widok wagonów z cukrem wymienianych na beczki z winem w tym kierunku jest dostatecznie absurdalny. [Zdzisław Krasiński, minister d/s cen(!) w rządzie gen. Jaruzelskiego (1982) zasłynął stwierdzeniem o „chrupiących bułeczkach”, których obecnością - wówczas niespotykaną - zaowocować miała wprowadzona przezeń „reforma” cenowa.]

Prof. Aleksander Legatowicz zauważył niedawno („Przegląd Techniczny”), że winniśmy Bogu dziękować, iż istnieje choć jeden kraj kapitalistyczny - bo dzięki temu wiemy, ile co kosztować powinno. Istotnie: publikowano przed dziesięciu laty w naszej prasie przykład z jednego z sąsiadujących na południu państw. Istniała tam znakomicie prosperująca centrala HZ zajmująca się m.in. skupem za dolary hebanu, który następnie z zyskiem odsprzedawała centrali handlu wewnętrznego. Ta żyła ze sprzedaży tego cennego surowca fabryce która utrzymywała się z produkcji gustownych hebanowych mebelków. Sprzedawała je innej centrali HW, która sprzedawała je innej centrali HZ, która zarabiała dla kraju ciężkie dewizy sprzedając je kapitalistom.

Z tym - że jak wykazała analiza - więcej płacono za kilogram hebanu surowego, niż

uzyskiwano za kilogram hebanu w meblu! Wykrycie tego było możliwe, gdyż kupno i sprzedaż dało się przeliczyć na dolary. Jeśli jednak np. Rumunia zechce wymienić ceramiczne wyroby z Oltenii na mongolski kumys - to sprawa jest beznadziejna! Nikt nie dowie się, czy przypadkiem kumysu nie można w Rumunii produkować taniej, niż w Mongolii, gdyż słowo „taniej” nie ma żadnego sensu! Ceny w obydwu krajach są sztuczne, kurs lei do tugrika takż... W gruncie rzeczy należy czoło chylić przed niektórymi przedstawicielami naszego handlu zagranicznego, którzy wbrew wszelkim przelicznikom załatwiają transakcje na nosa. Nie zawsze trafiają - a większość woli nie ryzykować: formalnie rzecz biorąc ryzykują wieloma latami więzienia.

W tym stanie rzeczy trudno się dziwić, że handel (...) nie osiąga przewidywanych rozmiarów.

Teoretycznie metodologia (...) pozwala na takie wyliczenia. Trzeba mianowicie przeliczyć wszystko na godziny pracy. Jednak w praktyce wyliczenie, ile w litrze kumysu tkwi pracy pastucha, ile selekcionera stada (oraz jego nauczycieli i tych, co budowali uczelnie, na których selekcioner się kształcił - a także architekta, który te uczelnie projektował itd) - jest beznadziejne - a i w teorii powstają trudności gdyż pastuch, selekcioner, dojarka i architekt również piją... kumys; a wreszcie powstaje pytanie, czy godzina pracy w klimacie mongolskim warta jest godziny pracy w Oltenii!!

Nie musi przy tym dochodzić do skrajności. Transakcja może być nawet „opłacalna” i dać zysk, np. 6%. Jednak zamiast jej można było zapewne zawrzeć inną transakcję dającą zysk 20%. Jest to relatywna strata, która nie zostanie zapisana w żadnej księdze buchalteryjnej. Wszystko to - oczywiście - przy optymistycznym założeniu, że te zyski dało się w ogóle policzyć!

Są to koszty, które oceniam na miliardy dolarów i rubli - płacone nie wskutek złej woli, niedbalstwa, korupcji lub oszustwa, lecz wskutek subiektywnej niemożności zawarcia optymalnej transakcji.

Zawrzeć jej nie można, gdyż nie sposób policzyć, która jest optymalna... Tyczy to zwłaszcza obrotów między krajami o niewymienialnej walucie i regulowanych cenach - ale również na styku z krajami tzw. „wolnego świata”. A także - o czym za chwilę - transakcji między tymi ostatnimi.

Powróćmy do istoty handlu. Polega on na wymianie - o czym zapominają nieraz nie tylko publiczności, lecz i praktycy gospodarczy. Szczególnie groźnie wygląda sprawa surowców. Otóż przy liczeniu opłacalności transakcji, ceny surowca nie liczy się w ogóle!!! Innymi słowy: gdy

stoimy przed alternatywą - wymienić tonę węgla na 100 dolarów - czy nie? - to wliczamy koszt wydobycia tej tony, jej transportu, ale nie liczymy kosztu węgla leżącego w ziemi!

Jest to błąd podstawowy. Przypuśćmy, że pod moim skrawkiem ziemi znajduje się milion ton węgla. Posiadłość ta warta jest wiele. Tyle, ile zaoferuje firma gotowa zapłacić mi za pozwolenie wybrania całości pokładu (lub za całą posiadłość minus cena takiej posesji bez węgla). A zatem każda tona węgla warta jest milionową część tej sumy (ściślej: tony łatwiejsze do wydobycia warte są więcej, a te których wydobycie jest ekonomicznie nieopłacalne są bez wartości).

Przypuśćmy, że wartość ta wynosi średnio 15 dolarów. Przypuśćmy, że udało się obiektywnie przeliczyć koszt wydobycia i transportu na \$75. Jeśli kosztu surowca nie wliczymy, to z włożonych w interes \$75 uzyskujemy \$25, co daje całkiem przyzwoity zysk 33%. Jeśli, jednak wliczymy owe \$15, to wkładamy w business \$90 - a uzyskujemy \$10... Wydaje się, że bardziej opłacalne byłoby skierowanie górników do wypłatania wiklinowych koszyków (co też jest pracą ciężką!) i innych zawodów, gdzie można osiągnąć łatwo 20% zysku od kapitału...

Skąd różnica? Różnicę zapłacą nasze dzieci i wnuki! Po prostu: nie będą miały węgla! Innymi słowy: górnik nabywa się pylicy po to, by Polska w przyszłości była biedniejsza - a nabywcy polskiego węgla byli za granicą bogatsi! Przy tym założeniu oczywiście. Tak! Jeśli oni swoich górników zwolnią i przeniosą do zyskowniejszego zawodu, zaś po \$100 kupią nasz węgiel to różnica pozostanie w ich kieszeni (a właściwie po większej części w węglu zachowanym pod ziemią na czarną godzinę). Dokładnie tak samo, jak byśmy subwencjonowali eksport węgla - z tym tylko, że subwencja płynie w tym przypadku nie z kasy naszej, lecz naszych potomnych! Trudno ocenić, czy to założenie jest realne. Trudno to w Polsce obliczyć, gdyż nie mamy rynku surowców ani siły roboczej. Jeśli domniemywam, że tak jest, to dlatego, że kraje, w których ten rynek jako-tako funkcjonuje - swoje kopalnie właśnie zamykają. Jest wszakże teoretycznie marginalna możliwość - że tam wydobycie nie jest opłacalne - a u nas (wraz z kosztami transportu) jednak jest. Nie ma jednak chyba sposobu obliczenia tego. (Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z dnia 31.VII.1981 r., art. 2, pkt 1 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm. 1983 r., nr 44, poz. 204)). Tu zahaczyłem o problem subwencji eksportu - i związanych z tym restrykcji. Bardzo wiele „kapitalistycznych” państw prowadzi politykę popierania eksportu - a za to broni się przed subwencjonowanymi towarami.

Jest to kompletny absurd. Rozpatrzmy to na przykładzie prez. Reagana, który doszedł do



prezydentury pod hasłem „obrony wolnego handlu” (co powtórzył i w Williamsburgu) - ale jednocześnie nałożył restrykcje na francuskie produkty rolne, europejską i koreańską stal, oraz japońskie tekstylia.

Przypuśćmy, że Japończycy bez ograniczeń sprzedadzą USA swe perkaliki. Co za to otrzymają? Dolary. Co z nimi zrobią? Jeśli wykleją nimi ściany swych papierowych domów - to Amerykanie dostali perkaliki za darmo (jeśli nie liczyć kosztu druku banknotów). Mogą oczywiście, kupić za dolary coś np. w Finlandii - ale dopóki pieniądze te nie wrócą do USA nic nie obchodzi to Amerykanów! Jedyne, co mogą zrobić, to kupić za nie amerykańskie towary.

Tak więc hamując import z Japonii Reagan hamuje w istocie eksport amerykański. Ze szkodą dla obydwu państw.

No, dobrze - ale Japończycy sprzedają taniej, gdyż są subwencjonowani... No, to tym lepiej dla Amerykanów! Za tę samą ilość tekstyliów Japończycy dostaną mniej pieniędzy, a zatem kupią mniej indyków, kowbojskich kapeluszy i innych eksportowanych przez USA do Japonii towarów.

Każdy yen subwencji do jarda japońskiej tkaniny, to prezent od rządu Japonii dla amerykańskiej gospodyni domowej. Natomiast prez. Reagan stara się tę gospodynię zniszczyć!

Jest charakterystyczne, że tam, gdzie prezydent RR odstąpił od swej zasadniczo wolnorynkowej koncepcji, tam poniósł porażki. Przykładem może być embargo na zboże do ZSRR, gdzie został przez wiceministra gospodarki radzieckiej pouczony... o dobroczynnym wpływie wolnego handlu i obecnie pod naciskiem farmerów sam przyszedł do woza. Podobnie z walką z rurociągiem...

Wskazuje to, że neopravicowiec zaślepił w Reaganiu neoliberalą. W gruncie rzeczy popełnia on ten sam błąd (...). Nie widzi, że tańsza energia to oszczędności dla zachodu Europy - oszczędności, które mogą zostać w razie czego przekute na armaty! Nie widzi, co gorsze, że rurociąg działa w obydwie strony: nie tylko pompuje gaz z ZSRR, ale i pieniądze do ZSRR. Groźba „zakręcenia kurka” jest zatem obu-stronna, gdyż zakładając, że transakcja została uczciwie wynegocjowana - wpływające pieniądze są dla Związku Radzieckiego warte więcej, niż gaz!

Podobnie „sprzedaż Rosjanom pszenicy za złoto” jest tym samym, co „sprzedaż Amerykanom złota za pszenicę”. Nie sprzedając pszenicy zmniejszył prez. Reagan bochenek chleba w ZSRR - ale za to pozo-stawił tam złoto, za które można kupić pszenicę w Argentynie

lub mikroprocesory w Lichtensteinie...

Wolny handel przynosi zyski obydwu stronom. Teoretycznie, jeśli czołgi produkuje się taniej w Wlk. Brytanii, a samoloty w Argentynie, to - pomijając względy psychologiczne i możliwość sabotażu - obu stronom opłaca się prowadzić handel wymienny (lub inny) nawet podczas bitwy o Falklandy! Nie byłyby to „zdradzieckie knowania międzynarodówki burżujów” lecz racjonalne oszczędzanie wysiłków robotników w obydwu krajach.

Warto tu jeszcze zauważyć, że prez. Reagan użył argumentu, że dzięki cłom restrykcyjnym uzyskuje dziesiątki tysięcy nowych miejsc pracy w amerykańskim włókiennictwie. Jest to wypisz-wymaluj argument woluntarystów z epoki stalinowskiej, gotowych postawić fabrykę w szczerym polu „dla zapewnienia miejsc pracy miejscowej ludności”. W obydwu wypadkach koszt płacony jest przez całe społeczeństwo w postaci droższych produktów. Jak widać, odchylenia od zdrowego rozsądku są bardzo w skutkach podobne - niezależnie od lewicowej czy prawicowej motywacji.

Tu doszliśmy do kluczowego pytania: skoro: „popieranie eksportu” jest absurdem - podobnie jak restrykcje eksportowe - to dlaczego stosują je wszystkie niemal kraje świata?

Wyjaśniłem to obszernie w „Kierunkach”. Po prostu rządy na całym niemal świecie znajdują się pod naciskiem lobby industrialnego. Czy to będzie „General Motors” („to co dobre dla GM, jest dobre dla Ameryki...”), czy „gang z maszynówki” - mechanizm jest ten sam. Zarówno przemysłowcy, jak i robotnicy mają (pozorny przynajmniej) interes w utraceniu konkurencji. Oni zarobią na tym 200 dolarów od samochodu (co się podzieli między zyski formy i wyższe płace robotników) - a to, że konsument zapłaci o 300 dolarów więcej, to już ich nie obchodzi. Przy tym wszystkim robotnicy mogą grozić demonstracjami, przemysłowcy lokautem - a czym może zagrozić rządowi rozproszony po Stanach Zjednoczonych konsument? Interes jest oczywiście pozorny. Być może ów robotnik „zachapie” część owych 200 dolarów, ale zaraz część tego zwróci kupując sukienkę dla żony, gdyż jego koledzy z branży włókienniczej osiągnęli także „sukces” w walce o zakaz importu tekstyliów. Per saldo społeczeństwo traci - dokładnie tyle, ile obce rządy chciałyby z kieszeni swoich podatników dołożyć w postaci subwencji eksportowej.

Pozostaje jeszcze ciekawe pytanie: dlaczego rządy mimo wszystko tu i ówdzie mimo nacisków przemysłu nie postąpią racjonalnie? Podstawową przyczynę wymieniłem: jeśli milion ludzi straci po dolarze - to nikt tego nie zauważy. Jeśli tysiąc straci po 1000 dolarów - to gotowe

zamieszki uliczne. Ale jest i inna: każdemu rządowi łatwiej pobierać podatki od wielkich korporacji, niż od rozproszonych podatników. Ostatecznie ani GM, ani FSO nie weźmie pieniędzy i nie ucieknie do Argentyny - a do ściągania od nich podatku starcza jeden urzędnik. Jak natomiast z owego miliona obywateli ściągnąć po 20 centów z zarobionego dzięki japońskiej hojności dolara?

Dlatego w każdym ustroju rząd, jeśli nie ma dość siły i autorytetu, by pobierać podatki bezpośrednio, zaczyna nieuniknienie preferować interes wielkich producentów.

Wiąże się to z zagadnieniem księgowania. Urzędnik widzi tylko i wyłącznie sumy w Skarbie Państwa. Jeśli dostrzeże posunięcie mogące przynieść Skarbowi milion, to najprawdopodobniej wykona je, choćby obywatele stracili wskutek tego 2 miliony (po 10 centów od łba). Niemal na pewno zaś zdecyduje się na nie, gdy obywatele „jedynie” nie zarobią wskutek niego dodatkowych 2 mln; nie będzie zresztą w ogóle tego świadomy...

Tymczasem w gospodarce makro obowiązuje kryterium Kaldora-Scitovsky'ego: „A jest sytuacją lepszą od B, jeśli suma dobrobytu jednostek A jest większa niż w B”. Od tej - pozornie oczywistej zasady wszystkie rządy odchodzą z rozmaitych powodów i pod rozmaitymi naciskami; polityka eksportowa jest tylko fragmentem większej całości.

To, że urzędnicy maksymalizują majątek państwowy, a nie narodowy wynika zresztą nie z teorii - a z tego, że ten drugi w ogóle nie daje się zaksięgować. Pamiętam zdziwienie urzędnika Stołecznej Rady Narodowej, gdy w 1967 bodaj roku, spytałem, czy można by remont mostu Poniatowskiego przeprowadzić w czasie dwa razy krótszym. Odparł, że tak, lecz kosztowałoby to o ileś tam więcej. Poruszyła go propozycja, by policzył stracony czas i benzynę obywateli Warszawy i sprawdził, czy się to przypadkiem społecznie nie opłaci?

Zwolennicy eksportu argumentują: nie można bez ograniczeń dopuścić obcej konkurencji, gdyż zabierze nam z kraju wszystkie pieniądze. Jest to nieporozumienie: zabrać można tylko te pieniądze, które są. Ford będzie sprzedawał swe wyroby w Rurytanii, dopóki Rurytańczycy będą mogli za nie płacić tyle, co i gdzie indziej. Jednak Rurytańczykom niemal natychmiast zabraknie pieniędzy, gdyż nie będą zarabiać ich w swoich fabrykach (bo ich, gorsze i droższe, pojazdy nie będą się sprzedawać). Zmusi to do obniżenia cen rurytańskich aut proporcjonalnie do ich rzeczywistej wartości, pociągając za sobą obniżkę być może drastyczną - zarobków pracowników tych fabryk - przy odpowiednio większym wzroście ogólnego dobrobytu. Niektórym branżom się to zrekompensuje - innym nie: spowoduje to zatem racjonalizację zatrudnienia.

Znaczna część naszego przemysłu hodowana jest sztucznie i rozziew między jego poziomem a średnią światową musi się przy tym systemie protekcji powiększać z każdym rokiem. Im później rozpoczniemy racjonalizację - tym większy będzie wstrząs. Kto tego nie przyjmuje do wiadomości ten - być może podświadomie - głosi:

„Après nous le delugel”...

„Po nas choćby potop!”

Ostatnia sprawa: no dobrze, polityka „eksportu za wszelką cenę” jest zgubna: ale mamy nóż na gardle, gdyż musimy płacić długi? Przepraszam: biednych tym bardziej nie stać na nieopłacalną działalność charytatywną na rzecz wierzycieli. Długi płaci się nie towarami, a pieniędzmi, które trzeba ściągnąć z bezpośrednich podatników, gdyż tylko to nie przestanie zakłócać optymalizacji gospodarki.

Z tym, że wymaga to silnego i zdecydowanego na twardą politykę rządu. Zdzień postawienia na nogi tego, co jeszcze stoi na głowie. Nic nie poradzę: innego wyjścia nie widzę - nawet w formie wymarzonej przez wielu w formie ugody społecznej. W kryzysie potrzebny jest mądry kapitan z odpowiednim autorytetem - a nie ulubieniec załogi.

## INTERES NARODOWY

Na wielu spotkaniach słuchacze pytają mnie - ze szczerą troską w głosie - jak pogodzić liberalny kapitalizm z ochroną „interesu narodowego”?

Chcę zaznaczyć, że motywy pytających zawsze są uczciwe, a pytanie jest wolne od sugestii: pytający po prostu chce wiedzieć - i ma, rzecz jasna, do tego prawo. Może warto tu dodać jeszcze jedno: słowo „narodowy” jest często rozumiane w sensie amerykańskim, co na polski należy raczej tłumaczyć jako „interes państwowy” - ale nie „interes aparatu państwowego”, lecz interes społeczności mieszkającej między Odrą a Bugiem.

Odpowiedź liberalnego konserwatysty jest prosta (i taka sama, jak na każde prawie pytanie): najlepszą obroną jest Wolny Rynek... A ponieważ chodzi tu o styk gospodarki z państwem, przeto odpowiedź brzmi: należy całkowicie oddzielić wolną gospodarkę od polityki.

Niby wszyscy tak mówią (warto było posłuchać np. agenta „Solidarności” w obozie liberalnym, p. Jana Krzysztofa Bieleckiego, zanim został był premierem!) - ale zobaczymy, jak to wygląda w praktyce.

Powiedzmy, że p. Schmidt z Berlina przyjeżdża do Wolnej Polski (kiedyś taką zbudujemy) z walizką marek i zgłasza się do premiera, gdyż chce kupić u nas jakąś fabrykę. Co dzieje się dalej?

Nic. Nie dostaje się do premiera, bo ten ma ważniejsze sprawy na głowie (np. musi wraz z Radą Ministrów rozpatrzyć 121-szy wariant konfliktu z jednym z sąsiadów).

Gescheftsmensch dziwi się nieco, bo z taką sumą marek w każdej Republice Bambuko przyjąłby go co najmniej król - ale kieruje się do ministra przemysłu. Tu drugie zaskoczenie przybysza z socjalistycznej RFN: takiego stanowiska nie ma!!!

Krótkie badanie wykazuje, że z przemysłem ma w Wolnej Polsce coś wspólnego minister gospodarki terenami i ochrony środowiska.

Ten wszelako interesuje się tylko tym, czy p. Schmidt nie chce rozbudowywać fabryki i bardziej zanieczyszczać, niż czyni to ona obecnie. Na pytanie, jak ją kupić, minister odpowiada: „Pogadać z właścicielami” i znika, gdyż spieszy się do kochanki.

Właściciel, szybko odnaleziony, odpowiada, że ma z niej milion dolarów rocznie - więc może ewentualnie sprzedać za 7 milionów. Targ w targ - staje na 6 mln 450 tys. - przy czym p. Schmidt wie, że przepłacił - ale ma pomysł na uruchomienie tu zupełnie nowej produkcji, dzięki

czemu osiągnie rocznego zysku 9,3 mln dol. - rzecz jasna, nie informuje o tym kontrahenta!

Notariusz przy sprzedaży uprzedza p. Schmidta, że w Wolnej Polsce państwo nie ma prawa prowadzić żadnego interesu - gdyby więc okazało się, że RFN lub RPA, lub jakiegokolwiek inne państwo włożyło jakąś część kapitału w firmę p. Schmidta, część ta zostanie uznana za bezpieczną i natychmiast sprzedana komukolwiek na licytacji - a p. Schmidt nie będzie miał nawet prawa pierwokupu!

Tym samym - pozornie - część „polskiej” własności przeszła w obce ręce...

Zauważmy jednak, że fabryka przedtem nie była „polska” - lecz należała do ob. Kowalskiego. Wpływ rządu WP na produkcję fabryki nie uległ najmniejszej zmianie. Nadal może on w razie czego posłać tam policję lub wojsko i nadal nie może fabrykantowi nakazać produkcji czegokolwiek, bo zabrania mu tego konstytucja. Właściciel ma psi obowiązek robić to, co (jego zdaniem) przynosi mu największą korzyść - i tyle.

Jeśli zaś idzie o własność „narodową”, to zauważmy, że ulega ona powiększeniu. Fabryka ta warta była 6 mln dolarów - została zaś nabyta za 6.450 tys. Polskie społeczeństwo (chwilowo, co prawda, tylko ob. Kowalski...) wzbogaciło się tym samym o 450 tys. USD!!! Zysk ten pochodzi z pomysłu, jaki przyszedł do głowy p. Schmidtowi. Oczywiście, sądzić należy, że (jeśli kalkulacje p. Schmidta są poprawne!) wartość tej fabryki wyniesie 8 mln dol. Innymi słowy: pomysł p. Schmidta przyniósł światu 2 mln, z czego 1 mln 550 tys. zainkasował pomysłodawca, a 450 tys. p. Kowalski (za to, że miał fart: jego fabryka znalazła się akurat tam, gdzie pasowała: a może to nie fart, lecz intuicja, z jaką kupował kiedyś teren?) Dodajmy, że p. Kowalski jest zachwycony; zawsze marzył, by być właścicielem browaru, a właśnie był taki do kupienia za 6 mln 200 tys. dol., w Bawarii zresztą. P. Kowalski od dwóch miesięcy marzył o kupnie - cóż, skoro nikt za jego fabrykę nie chciał dać więcej niż 5.800... Teraz p. Kowalski wpłacił z radości 50 tys. dol. na zbożny cel (np. na uzbrojenie Wolnej Polski lub na sierociniec) i wyjechał. Dodajmy, że jeśli w WP panuje, nie daj Boże, podatek dochodowy, to minister finansów jest zachwycony, jeśli nie - to rządowi jest to, w gruncie rzeczy, obojętne.

Oczywiście, może się zdarzyć, że rząd RFN zechce wywierać na p. Schmidta nacisk, by jako dobry obywatel zrobił w tej fabryce coś szkodliwego dla Polski. Ten, najprawdopodobniej, odmówi, bo ma przecież swoje konkretne plany. Być może nawet, oburzony, zmieni obywatelstwo na polskie? Możliwe jednak, że ulegnie naciskowi (co prawda polski obywatel też może pod naciskiem lub szantażowany szkodzić Polsce, ale tu o nacisk trudniej); co wtedy? Nic.

Wartość fabryki, nie wykorzystanej optymalnie, zaczyna spadać. P. Schmidt albo zbankrutuje w konkurencji z drugą taką samą fabryką, która stanie za płotem - albo czym prędzej sprzeda (ze stratą) fabrykę ob. Wiśniewskiemu. I znów społeczeństwo zarobi.

Przypuśćmy jednak, że rząd RFN zechce wykorzystywać p. Schmidta do nacisku na rząd WP. I tu natnie się strasznie - ponieważ, właśnie wskutek rozdziału państwa i gospodarki, rząd polski kompletnie nie interesuje się fabryką p. Schmidta, a na wszelkie groźby, np. lockoutu, odpowiada: „A weź pan sobie tę fabrykę i wyjedź nawet z nią na Nową Gwineę! Co, bezrobotni? U nas nie ma zasiłków dla bezrobotnych! Co najwyżej spadnie trochę cena siły roboczej, wskutek czego na pana miejsce, Herr Schmidt, pojawi się dziesięciu innych chętnych!” To wszystko oczywiście, pod warunkiem, że ktokolwiek będzie chciał z p. Schmidtem rozmawiać! Bo o czym? O jego fabryce? Czy podatnik po to płaci ministrowi, by ten zajmował się prywatnymi sprawami - w dodatku obcego obywatela?

A gdyby, odwrotnie, rząd RFN zaczął szantażować rząd WP, że jeśli ten czegoś nie zrobi, to on zaszkodzi polskiej gospodarce?

To wówczas rząd WP powie: „Excellencjo, Pański Rząd zaszkodzi nie naszemu państwu, lecz kilku fabrykantom, którzy nas mało... zaraz, zaraz: chcecie nałożyć cło na produkty fabryki p. Schmidta? Przecież to WASZ obywatel! Ha, ha, ha, ha, ha!!! I ciągle śmiejąc się (po francusku) nasz minister spraw zagranicznych pożegna swego kolegę...

## DO ROBOTY!

Swego czasu - konkretnie w trzy godziny po swym przemówieniu sejmowym<sup>13</sup>, w którym zażądałem skasowania zasiłków dla bezrobotnych, będących pasożytami - otrzymałem telegram od pewnej pani z Gliwic, nieznajomej zresztą. Pani ta wyraziła oburzenie z powodu nazwania Jej pasożytką - a przy okazji zapytywała: co ma robić jeśli nie może otrzymać pracy w swoim zawodzie?

Jest to reakcja TAK typowa, że wymaga odpowiedzi publicznej.

Przede wszystkim nie widziałem nigdzie kwitu opłaty na sumę, za jaką pani ta nabyła na własność jakiś zawód. Zawodu w ogóle się „ma”; w zawodzie się pracuje. Gdy się nie ma pieniędzy, a nie ma się pracy w zawodzie wyuczonym, to pracuje się w innym. Po prostu.

Gdyby Pani X wylądowała na wyspie już nie bezludnej; bo zamieszkaney przez Robinsona Crusoe - to nawet gdyby była docentką od laserowych komputerów, nie domagałaby się pracy w „swoim” zawodzie - nieprawdaż? Gdyby żyła w miasteczku, gdzie jest tylko apteka, księgarnia, masarnia, piekarnia i kościół - to ani od księdza, ani od masarza nie domagałaby się utworzenia Ośrodka Komputerowego. Jednak ludność milionowych miast przywykła, że w typowych zawodach trwa nieustanny ruch: coraz to ktoś się zwalnia z pracy i miejsca „jakoś się znajdują”. Niestety, nie zawsze. Zaś w niektórych zanikających zawodach można pracy w ogóle nie znaleźć.

Co w takim przypadku robi normalny człowiek? Szuka sobie pracy w innym zawodzie. Gdy lekarz przyjeżdża do Ameryki, gdzie faszystowskie przepisy zabraniają praktykować polskim medykusom - to najspokojniej w świecie łapie się np. za robienie tapicerki w samochodach - i jakoś nie czeka, aż umrze z głodu ani nie domaga się zasiłku dla bezrobotnych.

Tylko w Polsce panienka, za granicą puszczająca się za parę marek, domaga się utrzymania od państwa i honorowo puszcza się za darmo. Tylko w Polsce nasz obywatel załatwia sobie za łapówkę lub po znajomości rentę inwalidzką - po czym idzie pracować jako goryl u cinkciarza. Dlaczego? Dlatego, że Polacy są frajerami o miękkim sercu i litują się nad cwaniakiem wierząc naiwnie, że Rzeczpospolita zapłaci, bo jej zasoby są nieograniczone.

Sformułowanie to jest, oczywiście, złe. Zasoby Rzeczypospolitej nie mogą być nieograniczone z prostej przyczyny, że Rzeczpospolita w ogóle nie ma zasobów: wszelkie dobra wytwarzają wyłącznie ludzie. Przyjmijmy jednak, że w Rzeczypospolitej jest kilkudziesięciu



facetów tak bogatych - bo np. bo odkryli sposób na wyzwalenie zimnej reakcji termojądrowej w zwykłym koszu na śmieci i wszystkie ich maszyny kręcą się za darmo - że mogliby utrzymywać ze swojej kiesy pozostałe 40 milionów Polaków i paręset Cyganów na dodatek. Czy powinni to robić?

Ależ skąd!

Jak słusznie powiada Pan w Genesis: „W pocie czoła swój chleb spożywać będziesz!” Można dziecko wychowywać tak, by nic nie robiło - ale płaci się za to jego zwyrodnieniem. Tylko głupi ojciec tak wychowuje dziecko - a głupie rodziny pomału gdzieś znikają, gdyż jaka dziewczyna wyjdzie za fajtlapę?

Podobnie ci bogacze nie mają moralnego prawa dzielić się swym chlebem z leniami. Własność to również odpowiedzialność. Kto lekkomyślnie rozdaje swą własność, kto swoje dobra używa na demoralizację innych - winny jest poważnego grzechu! Oczywiście, że mu wolno - to jest jego. Ale...

Dlatego bogacze ci powinni zacząć budować Szklane Domy, kosmiczne rakiety, dziurę na wylot poprzez Ziemię (bardzo ambitne zadanie!) - i zatrudniać przy tym innych obywateli. Niech pracują i zarabiają - NIC ZA DARMO! - oczywiście - powinni robić to, na co mają fantazję - a nie dopasowywać swoich projektów do kwalifikacji pracowników. Niech się przekwalifikują - oczywiście płacąc za naukę (co znów da zarobek instruktorom!)

Gdyby Pani X w tym małym miasteczku żądała od masarza, by przerobił swój zakład na Ośrodek Komputerowy - to nikt w miasteczku nie miałby wątpliwości, że baba zwariowała - lub też jest to okaz wyjątkowo egoistycznego tyrana. W każdym razie nie byłoby wątpliwości, że ona wyzyskuje tego masarza i doprowadzi go do ruiny.

W wielkim mieście natomiast, ponieważ stosunki są bezosobowe, ofiara tyranii jest niewidoczna. Osoba domagająca się „stworzenia jej miejsca pracy” wyzyskuje milion ludzi - od każdego po troszę. Zasada jest jednak taka sama. Dopiero gdy pasożytów jest zbyt wielu, ludzie niemoralni tj. nie kierujący się zasadami, lecz „pragmatyzmem”) zaczynają to dostrzegać.

Jeśli Pani X nie tylko domaga się miejsca pracy w swoim zawodzie, ale uważa, że w przeciwnym wypadku jesteście jej winni utrzymanie - to przestaje być namolnym tyranem. Staje się groźnym właścicielem niewolników.

Proszę zauważyć, że istota niewolnictwa leży w tym, że niewolnik musi utrzymywać swego pana. Glaucos musiał pracować na utrzymanie Katona - czy chciał, czy nie chciał. Otóż

dokładnie to samo ma miejsce w przypadku zasiłku dla bezrobotnych!

Tak jak 50 niewolników musiało pracować na utrzymanie Katona, tak teraz 50 osób oddaje pod przymusem 2 proc. swojego (SWOJEGO!) zarobku, by utrzymywać Moją Drogą (oj, drogą!) Panią X. Panią X to jeszcze człowiek mógłby utrzymać - bo od setek tysięcy lat utrzymujemy kobiety. Również niewolnik w Rzymie nie buntował się raczej przeciwko pracy dla Katona - natomiast z całą pewnością by się zbuntował, gdyby kazano mu pracować za brataniewolnika. Cóż zaś ma powiedzieć profesor uniwersytetu pracujący wraz z kilkudziesięcioma adiunktami, robotnikami i kim-tam jeszcze na utrzymanie jakiegoś kołesia spod budki z - przepraszam PPPP! - piwem? Ja się zbuntowałem i od lat odmawiam pracy na państwowej posiadzie - właśnie po to, by nie płacić. Za co ścigali mnie w swoim czasie najemnicy tych kołesiów jak „pasożyta społecznego”!!!

XX wiek to nie tylko wiek Oświecenia, przymusowych ubezpieczeń, łagrów na Kołymie, pasów bezpieczeństwa itd. - ale również wiek niewolnictwa na co dzień. Ot, takiego dwuprocentowego, rozwodnionego niewolnictwa. To tak mało, że nie wszystkim chce się buntować.

A ja wzywam: zerwijcie ludzie pracowici kajdany, walczcie o swoją wolność, nie dawajcie siepaczom z Izb Skarbowych nawet złotówki.

Niech lenie pracują na Was dobrowolnie - a nie Wy na nich pod przymusem! Od tego zaś, kto - pracowici czy lenie - będą panami lub niewolnikami, zależy przyszłość Polski.

## JAK DZIELIĆ

O sposobach prywatyzacji pisałem ja i nasi Koledzy już tyle, że wydawać by się mogło, iż przynajmniej w gronie naszych sympatyków i osób przychodzących na nasze spotkania wszystko jest już jasne. A jednak okazuje się, że wiele osób nadal nie rozumie - i to właśnie nie szczegółów, lecz samej istoty zagadnienia.

Streszczam to raz jeszcze, dla wprowadzenia. Projekt (alternatywny do rozdania „bonów prywatyzacyjnych”) wygląda tak:

1. każdy może nabyć cały zakład (lub jego część, czyli pakiet akcji) - z licytacji,
2. obywatele RP mogą otrzymać na ten cel kredyt w potrzebnej wysokości - przy wpłacie 1% wartości w gotówce,
3. kredytu udzielają banki - przy czym otrzymują na ten cel kredyt z NBP oparty o posiadane przez Skarb przedsiębiorstwa,
4. nabywca z zysków zakładu spłaca procent bankowy - i jakąś, choćby minimalna część kredytu,
5. jeśli nabywca nie płaci, zakład jest mu odbierany tak, jak odbiera się nieopłacony samochód na kredyt - i sprzedawany innemu nabywcy,
6. operacje te (pomijając ów 1%) odbywają się całkowicie bezgotówkowo,
7. zgodnie z Ustawą 10% akcji idzie na rozdawnictwo między ludnością, 20% dla pracowników (z 50% zniżki) - a 30% akcji na Fundusz Ubezpieczeń (później też rozsprzedawany w ręce firm ubezpieczeniowych).

Jest to jasne, proste i uczciwe. Nieustannie jednak spotykam się z pytaniem: a co z tymi, których nie będzie stać na zakup fabryki?

Odpowiedź: Zakup akcji lub całego zakładu to nie jest koniecznie dobry business. Gdy sprzedaż jest z licytacji lub z przetargu, to przypomina to chłopięcą grę „w gazdę”; rysuje się na ziemi kreskę i rzuca monetą: wygrywa ten, kto rzuci najdalej, jednak nie przekraczając linii; kto ja przerzuci - przegrywa!

Tu mamy to samo. „Kreską” jest wartość zakładu. Licytujący oceni ją subiektywnie - i padają ceny coraz wyższe. Wygraną licytującego jest różnica między wartością, a sumą którą podał. Całkiem jednak możliwe, że przeliczytuje on wartość - i wtedy ponosi stratę...

Gdyby wartość była obiektywna i znana - zabawa nie miałaby sensu: istniałaby

„optymalna” cena i każdy obywatel (i cudzoziemiec) wiedziałby, ile warto dać; gdyby dał za mało, przebiłby go inny. Końcowa faza wyglądałaby zapewne: „Daję 10.123.246.128 zł (optymalna cena!) bez 50 groszy!” - „A ja 10.123.246.128 zł bez 10 groszy!”.

Wartość jest jednak nieznana - a poza tym jeden właściciel potrafi z tego właśnie zakładu „wyciągnąć” więcej, a inny - mniej. Tak więc wartość zakładu rośnie, gdy nabędzie go „właściwa” osoba. Oczywiście, może to być narwaniec, który przeliczytuje bezpodstawnie - ale ten 1% od 10 miliardów to jednak jest jakaś bariera przed wariatami...

A co z tego mają ci, którzy zakładu nie nabędą?

To oczywiste: po pierwsze: cała wartość przemysłu wzrośnie, więc cała gospodarka zarobi (będzie więcej tańszych towarów) - gdy państwo sprzeda się drogo (a nie „po uważaniu”, jak obecnie) to będzie płacił niższe podatki! I to jest zysk tego, co nie chce ryzykować.

Piękno kapitalizmu polega bowiem na tym, że wolno w nim ryzykować (i ryzyko się - choć nie zawsze! - opłaca), ale też wolno nie ryzykować i żyć jako pracownik najemny o stałych dochodach, wysokich dzięki temu, że inni ryzykują i muszą płacić drogo (by grać, muszą dorzucić prawie „do kreski”).

Wydaje się to oczywiste - ale na kolejnym spotkaniu w Kielcach znów usłyszałem: „no dobrze, ale dlaczego jedni będą mieli - a inni nie? To niesprawiedliwe!”

Otóż, jak słusznie zauważa św. Tomasz z Akwinu, posiadanie to nie tylko przyjemność - ale i pewien obowiązek. I właśnie kapitalizm obowiązek ten egzekwuje! W feudalizmie magnat mógł prowadzić gospodarstwo źle - ale chroniły go przepisy, majoraty, czasem Król coś dorzucił („by zasłużony ród nie upadł...”) - i trwało to wiekami. W kapitalizmie źle zarządzany majątek bankrutuje po kilku miesiącach - skutek bezlitosnej (i taka powinna ona być!) konkurencji! Nie litujmy się nad kapitalistami - dopóki nikogo się nie zmusza, by został przedsiębiorcą (co właśnie chcą osiągnąć zwolennicy rozdania każdemu po kilka akcji...)

By wyjaśnić zysk tych, co nie zostają właścicielami rozważmy inny, klasyczny, model podziału.

Umiera Ojciec. Zostają po nim: Pierścionek, Rower, Stół i Taboret.

Jak dzieci Anna, Bogdan i Celina mają to między siebie podzielić? Problem jest analogiczny do prywatyzacji. Można, oczywiście np. wszystko sprzedać poza rodziną i pieniądze podzielić po równo.

Można wydać „bony kapitałowe” (proszę to zrobić - i zastanowić się, co się wówczas

stanie!). Można wdać się w wieloletni proces sądowy, który skłóci dzieci. Jednak metoda właściwa znana jest od dawna i wygląda tak:

Spadkobiercy spotkają się u notariusza. Każdy pisze na kartce papieru, ile dla niego wart jest ten przedmiot (bo np. Celina z różnych przyczyn wysoko ceni Pierścionek). Po czym przed Notariuszem leży taka tabelka:

P R S T Suma 1/3S F 1/3S-F

Anna 105 \* 50 \* 30 21 \* 201 67 \* 101 \* -34

Bogdan 110 \* 45 25 9 189 63 0 +63

Celina 120 \* 40 20 9 186 62 120 -58

Teraz Notariusz dzieli sprawiedliwie - całkiem mechanicznie:

przedmiot przypadnie temu, kto go ceni najwięcej... Celina otrzyma Pierścionek, zaś Anna pozostałe przedmioty.

Anna wyceniła spadek na 201 Talarów - należy się jej 67; otrzymała w naturze 101 T. - przeto wpłaca do puli 34 T. Celina musi wpłacić 58 T. Razem: 92 T. 8 płacimy Notariuszowi, 63 wypłacamy Bogdanowi, który „nie dostał nic”, jako jego 1/3 spadku (na tyle go wycenił). Zostaje nadwyżka 21 T, którą dzielimy po równo.

W ostatecznym rozrachunku każde ze spadkobierców otrzyma więc o siedem Talarów więcej, niż im się - jak sądzą - należy. Również Bogdan zyskał na tym swoje 7 Talarów, jak wszyscy. Cała procedura może przy dobrej pogodzie zająć pięć minut... Jest jasna, przejrzysta i uczciwa.

I dlatego właśnie biurokracja, która lubi łowić ryby w mętnej wodzie, nie lubi takich rozwiązań. Podobnie sądy, adwokaci i inni tego nie lubią - bo są niepotrzebni... Dlatego ustawy wydawane przez Parlamenty złożone z prawników i urzędników są - wbrew oczekiwaniom - przeraźliwie zawiłe i niezrozumiałe.

Jeszcze jedno. Przypuśćmy, że rodzina jest biedna i w swej pazerności godzi się do procedury dopuścić inne osoby. Przypuśćmy, że jacyś Obcy oferują za Pierścionek 150 T, za Rower 60 T, za Stół 35 T i za taboret 25 T i w ten sposób „obrabują rodzinę ze spadku”...

No, to bierzemy te 270 T, po 90 T na łebka, kupujemy sobie lepszy Pierścionek, Motorower, Stół i Fotel - i jesteśmy cali szczęśliwi!

Mam nadzieję, że teraz już wszystkie wątpliwości znikną?

Z uwagi na społeczną wagę tego tekstu, Wydawca wyraża zgodę na bezpłatny jego przedruk w całej prasie krajowej.

## PLON PLANU

*(Mowa o tzw. planie Balcerowicza, wicepremiera i ministra finansów w rządach T. Mazowieckiego i J. K. Bieleckiego.)*

Systemy uzdrawiania gospodarki komponowane są pod kątem walki o władzę, a nie pod kątem skuteczności. Przykład: dotacje na rolnictwo są nonsensem, ale utrzymuje się je w krajach Europy Zachodniej, bo rząd, który zaproponowałby ich zniesienie, przegrałby wybory. Otóż może bogate kraje stać na utrzymywanie nonsensów, ale Polski nie stać.

1. Sytuacja nie jest tragiczna. Jest w niej kilka punktów wręcz jasnych. Np. obcokrajowcy przyjeżdżający do Polski nie mogą już wykupywać wszystkiego za bezcen, bo ceny są porównywalne z zagranicznymi. Podobnie Polak za granicą nie musi ścisnąć każdej 10-centówki, a przyjeżdżający do Polski nie może podkupywać towarów tym, co tu pracują. Ponadto pojawia się groźba bezrobocia, jak i szansa na prywatyzację - a bogactwo kraju wyraźnie wzrosło, co widać po wystawach sklepowych.

2. Zwyczaj cen nie jest szkodliwa. Wręcz przeciwnie. Jeśli sprzedaję chleb po 5000 zamiast po 3000, to zjadacz chleba jest biedniejszy o 3000, ale producent jest bogatszy o 3000! Bogactwo kraju nie zmalało od tego ani na jotę! Przeciwnie: droższy chleb oznacza mniejsze jego marnotrawstwo - a więc zwiększony dobrobyt. Oznaczałoby też, że więcej pieniędzy jest w rękach ludzi produktywnych.

3. Rząd jest zachłanny. Z tych 3000 skarb państwa zabiera ponad 2000 i rozdaje bezproduktywnym urzędnikom, bezrobotnym itp. osobnikom, tym samym niszcząc produktywność społeczeństwa!

4. Spadek produkcji o 35 proc. nie musi być szkodliwy. Jeśli przez lata krytykowało się państwowe firmy twierdząc, że połowa z nich produkuje deficyt - to teraz zamknięcie połowy z nich należałoby powitać z radością.

5. Niestety, żadna nie została zamknięta, natomiast obniżyły one produkcję - od czego, jak należy sądzić, efektywność wykorzystania maszyn i ludzi raczej nie wzrosła. Żadna również nie wzmogła w sposób istotny produkcji - o, co zadbał rząd nakładając 500 proc. podatku na przyrost zarobków. A przecież robotnik, który wykona dwa razy tyle, powinien dostać trzy razy większą wypłatę!

6. Tadeusz Mazowiecki obejmując urząd premiera zapowiedział, że zaprzestanie druku

pieniędzy. Niestety: już „na dzień dobry” dodrukował 1,5 bln! Gdy społeczeństwo przełknęło tę kluskę (pod pretekstem „konieczności wypłaty pensji biednym nauczycielom i lekarzom”; o możliwości natychmiastowej prywatyzacji tych dziedzin nikt - NIKT - w rządzie nawet nie wspomniął!) - rząd się rozzuchwalił. W styczniu 1990 r. w obiegu było 9,5 bln tzw. złotych, w końcu lipca - 26,5 bln; rząd dodrukował 200%. Inflacja w tym czasie też wynosiła ok. 200%. Ostatnio prezes NBP poinformował, że od stycznia do sierpnia zasoby pieniądza papierowego i kredytowego powiększyły się z 26 do 100 bln zł, czyli o 280% (a w kategoriach realnych o 34%, co oznacza, że nawis inflacyjny znów narasta); 34% z 280% to 95%, czysta inflacja wynosiłaby więc 185%.

7. Inflacja powstaje tylko i wyłącznie wskutek drukowania przez rząd pieniędzy - i kropka. Żadne „nadmierne żądania robotników” nie spowodują inflacji, gdy rząd nie dodrukuje pieniędzy, by te żądania spełnić!

8. Tak więc rząd kłamie. Rząd nie „walczy z inflacją”, lecz powoduje inflację. Po to zaś, by zdusić jej efekt, rząd zmontował recesję. W normalnej gospodarce wolnorynkowej nie ma ani recesji, ani inflacji (vide: cały wiek XIX z wyjątkiem lat kryzysów).

9. Powodem paraliżu jest system podatkowy. Rząd drukuje pieniądze, ponieważ nie potrafi ściągnąć ich od obywateli z braku rozsądnego systemu podatkowego. Obecny jest chorobliwy. Podatek dochodowy, obrotowy, a zwłaszcza „wyrównawczy” to absurdy, które dobiły nie takie gospodarki jak nasza - bo np. nieźle przygięły i amerykańską! Do tego dochodzą horrendalne narzuty na ZUS, PZU, bezrobotnych itp.

10. Na szczęście, mało kto te podatki płaci - i dlatego jakoś żyjemy. Właściwie cała Polska żyje nielegalnie lub „na szaro”: bogacą się prywaciarze (umiejący podatków nie płacić), przemysłowcy (opłacający celników), producenci (opłacający urzędników łapówkami) i cała masa ludzi „dających sobie radę”.

11. Na nieszczęście, o wiele łatwiej oszukać prowadząc handel straganowy niż fabrykę silników okrętowych - dlatego produkcję biorą diabli, natomiast kwitnie drobny handel. Oto i cała tajemnica oraz wyjaśnienie dlaczego ludzie zamiast produkować na dużą skalę handlują na małą!

12. Rząd nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co dzieje się w kraju (a i za granicą, np. w Wielkiej Brytanii, ok. 40% dochodu narodowego powstaje „na czarno”, bez wiedzy urzędu podatkowego...). Wbrew „Rocznikowi Statystycznemu” utrzymuję, że ok. 85% dochodu



narodowego tworzy się u nas poza przemysłem państwowym (liczonym wraz z niezbędną administracją), a być może jest to szacunek znacznie zaniżony!

13. Nic w tym dziwnego, gdyż nie ma żadnego powodu, by Polska nie mogła istnieć w ogóle bez przemysłu. Wielu stwierdza, że w USA 60% ludzi pracuje w pośrednictwie i usługach (i procent ten będzie rósł). Wystarczy więc, by 8 milionów Polaków wyjechało na Zachód pracując jako pośrednicy, przemytnicy itd., by każdy utrzymał czteroosobową rodzinę na poziomie amerykańskim! Nie mówię, że jest to pożądane - mówię, że jest to łatwe i możliwe, zwłaszcza wobec idiotycznych przepisów celnych, rozleniwienia ludzi Zachodu i innych czynników. Mnie wizja „drugiej Irlandii” nie pociąga.

14. System finansowy kraju jest w śmiertelnym korkociągu. Im więcej ludzi oszukuje (lub wynajduje legalne luki w systemie podatkowym), tym wyższe podatki musi nakładać rząd. Im wyższe podatki, tym większa zachęta, by ich uniknąć - i koło się zamyka. Zrozpaczony rząd drukuje więc sobie pieniądze. Postaram się, by parę osób stanęło za to przed sądem.

15. Rząd w dalszym ciągu jest socjalistyczny. Widać to po zasiłkach dla bezrobotnych odciągających ludzi od pracy (stary socjał, p. Jacek Kuroń, ma do dyspozycji - ostrzegam! - armię miliona sfrustrowanych ludzi!). Widać po ustępstwach na rzecz kolejnych grup pracowniczych (po kolejnych strajkach - dodrukuje się nowe biliony...). Nie darmo - i w porę - ustąpił z Ministerstwa Finansów p. Marek Dąbrowski...

16. Rząd przy tym kropnął się na początku w obliczeniach... - lub też od początku świadomie nas okłamywał. Proszę przeczytać gazety z przełomu lat 1989/90: p. Balcerowicz jeździł po świecie i domagał się 1,5 mld dolarów na fundusz stabilizacyjny, by uratować (nie wiadomo po co sztywny) kurs złotówki. jednak ów (nie wiadomo po co sztywny) kurs okazał się pomyłką, bo zamiast ratowaniem złotówki skupywaniem jej za dolary, p. Balcerowicz ratował dolara skupując go za złotówki i zgromadził tych dolców ok. 2,5 mld (nb: gdzie one są?). Proszę przy tym zauważyć - że po oficjalnym kursie suma 2,5 mld dolarów jest dziwnie zbliżona do sumy dodrukowanych przez rząd złotówek (17,5 bln)! Innymi słowy, rząd za parę milionów złotych (koszt papieru, farby i druku banknotów) wszedł w posiadanie 2,5 mld naszych dolarów!

17. Bierut wydając dekret o konieczności zdania wszystkich dewiz - i nasyłając Urząd Bezpieczeństwa - nie osiągnął nawet zbliżonych wyników!

18. Pieniądze są o 40% efektywniejsze, gdy są w rękach prywatnych, a nie w łapach rządu.

19. Jeśli więc nie jest źle, to jedynie dlatego, że reforma p. Balcerowicza nie działa! Najlepszym dowodem na to jest fakt, iż przemysł państwowy, gdzie możliwość kontroli jest większa, działa gorzej niż sektor prywatny, który może oszukiwać na potęgę! Gdyby sektor prywatny płacił wszystkie należne podatki, to byłby równie w stanie rozpaczliwym jak reszta. Polepszenie się sytuacji można ewentualnie przypisać „Ustawie o działalności gospodarczej” za rządów p. Rakowskiego, ale raczej ogólnemu klimatowi sprzyjającemu wolnej przedsiębiorczości, korupcji wśród celników i skarbowców, utracie przez rząd kontroli nad gospodarką - innymi słowy, tym samym czynnikiem, które spowodowały, że po 10 latach wojny domowej bogactwo „maronistanu” (chrześcijańskiej części Libanu) było większe niż przed wojną; po prostu: rząd odczepił się od gospodarki.

20. Posunięcia rządu są absurdalne i można to udowodnić bez wnikania w meritum. Np. w lipcu 1990 r. rząd zmniejszył podatek obrotowy od towarów importowanych, po czym ponownie go zwiększył; jedno z tych zarządzeń z pewnością jest kretynizmem (i mam pytanie: czy przypadkiem obydwu nie płodził ten sam urzędnik, za każdym razem otrzymując premię za pomysłowość?).

21. Rozrasta się biurokracja. Wbrew zapowiedziom, urzędników przybywa, a nie ubywa. Sam rząd pozajmował już kilka dodatkowych budynków, a planuje zająć dalsze. W terenie utworzono „rejony administracyjne” - znów kilkadziesiąt tysięcy urzędników, czyli całe spore miasto zajęte papierkową robotą. Są to miejsca „pracy” dla starej i nowej nomenklatury (ale też „rejony” to jedyne urzędy w terenie nie kontrolowane przez władze samorządowe i dlatego właśnie rząd rozbudowuje ten szczebel!).

22. Nowa biurokracja jest głodna. Starzy już się nakradli i - od biedy - mogliby zacząć rządzić uczciwie (np. urzędnicy w Polsce przedrozbiorowej dopłacali do swoich urzędów!). Nowi dopiero muszą się nakraść.

23. Ustawy i rozporządzenia są mętne i niejasne, a dzieje się tak właśnie dlatego, by urzędnicy mogli się wzbogacić na interpretacji przepisów! Jest to sposób znany od tysięcy lat - i dość skuteczny, bo za każdym razem ludzie drapią się w głowę zastanawiając się, jak znakomici prawnicy i wspaniali logicy mogą koncytować takie złe ustawy.

24. Szczególnie niepokojąca jest mętna i „wielotorowa” ustawa o prywatyzacji. Najważniejsze jest w niej jedno postanowienie: akcje firm będą sprzedawane nie z licytacji lub przetargu, lecz „po uważaniu” urzędników Agencji ds. Przekształceń Własnościowych. Otwiera

to nieograniczone pole do nadużyć - i o to właśnie chodzi niektórym twórcom tej ustawy!

25. Przy tej okazji planuje się okradzenie emerytów. Jest to złodziejstwo na skalę ca tryliona złotych. Komuniści składki obecnych emerytów i rencistów inwestowali w przemysł, a więc obecnie nie wolno wszystkich akcji sprzedać, rozdać lub pożyczyć, lecz ok. 30% trzeba przekazać na Fundusz Emerytalny i z dywidendy tych akcji! płacić renty i emerytury! W przeciwnym razie obecni i przyszli emeryci (oraz renciści) znajdą się na łasce społeczeństwa. A przecież emerytura to nie udzielany z łaski zasiłek, lecz konkretna należność zawinkulowana na Funduszu Emerytalnym. Ten Fundusz istniał tylko nominalnie (nawet nie formalnie) - obecnie chce się go całkowicie zlikwidować! Charakterystyczne, że cała prasa codzienna przemilczała apel RG UPR w tej sprawie!

26. Dla równowagi straszy się nas, że nigdy „nie spłacimy długu zagranicznego” - i rozpowiada na ten temat rozmaite nonsensy.

Zadłużenie zagraniczne wynosi 40 mld dolarów - czyli ca 2000 USD na pracownika. Nie ma żadnego powodu, by takie zadłużenie traktować nazbyt poważnie: Szwecja, USA i większość państw mają 100% większe. Gdy nasza gospodarka zostanie sprywatyzowana w to zacznie pracować o 16 proc. wydajniej niż amerykańska (a jeśli jeszcze zmienimy system podatkowy, to pobije stopę wzrostu USA kilkakrotnie!) i spłacimy ten dług bez większych trudności. Wnioski: należy natychmiast przystąpić do przyspieszonych reform. Nie jestem zwolennikiem przydzielania akcji poprzez rozrzucanie ich z samolotu lub losowane na ruletce - ale są to systemy na pewno szybsze i znacznie sprawiedliwsze niż sprzedaż po cenach ustalonych przez urzędnika! Prywatyzacja powinna być przeprowadzona na zdrowej podstawie (przyznawanie akcji załogom lub ogółowi ludności zdrową podstawą nie jest - ale 30% jakoś przeżyjemy) i rozpocząć natychmiast (na razie widzimy tylko przekazywanie fabryk spółdzielniom pracowniczym, czyli negatywnie sprawdzony model jugosłowiański).

Jednocześnie z przekształceniem (ustawą - a nie z woli załogi lub jakiegokolwiek urzędnika!) zakładów w spółki pracownicze, należy całkowicie zmienić sposób opodatkowania, podatkując potencjał, a nie dochody - tym samym karząc za nieróbstwo, a nie za produkcję! Zwracam uwagę, że projekt taki, opracowany na konkurs Instytutu Gospodarki Narodowej przez mój Instytut Socjo-Cybernetyki, został przez IGN przyjęty i... nie ujrzał światła dziennego. Obecnie systemy podatkowe, również na Zachodzie, to kompromis między kapitalizmem a socjalizmem - i przyjmowanie ich w kraju doszczętnie przemacerowanym przez socjalizm jest

nieporozumieniem.

## WITTE I WAŁĘSA

W „Rosyjskich impresjach” Stanisław „Cat” Mackiewicz opisuje słynnego Sergiusza Witte. Jego państwowa kariera rozpoczęła się w dniu, gdy jako dyrektor (prywatnych) Kolei Południowo-Zachodnich polecił ograniczyć prędkość ciężkiego pociągu wiozącego na Krym Aleksandra III i jego rodzinę. Cesarz nadąsany wysiadł na stacji, gdzie oczekiwała go dykcja i rzucił tylko jedno zdanie: „Wszędzie wolno mi jechać z dowolną szybkością, tylko nie na waszej kolei; widać dlatego, że jest to kolej żydowska”. Po czym odszedł.

Do Wittego podszedł teraz minister Posjet domagając się spełnienia woli cesarskiej. Na co Witte na cały głos: „No, to kręćcie kark Cesarzowi na swoich kolejach. Ja na swojej kręcić karku Cesarzowi nie będę!”.

Na czym uciał dyskusję. I do samego Krymu pociąg Cesarza jechał z ograniczoną prędkością.

Po urlopie Cesarz z rodziną wracał do Moskwy po kolejach państwowych i maszynista mógł rozpędzić pociąg. Jednak rozgrzane szyny rozsunęły się - i nastąpiła znana w literaturze straszliwa katastrofa. Rodzina cesarska wyszła z tego cało, gdyż Aleksander III, mężczyzna wyjątkowego wzrostu, postury i siły, przez kilkadziesiąt minut sam podtrzymywał dach wagonu, który by ją zmiądzzył.

Na początek należy z tej historyjki wyciągnąć kilka wniosków:

1. Nie wszyscy cesarze byli zdegenerowanymi słabeuszami;
2. W carskiej Rosji szanowano własność prywatną - i nawet cesarz nie mógł wymóc zmiany decyzji;
3. Właściciele linii, Poljakov (Żyd, rzeczywiście!) nie wyrzucił swego dyrektora za jawne sprzeciwienie się woli cesarza;
4. Żydzi byli dyskryminowani (np. tylko niewielu miało prawo mieszkania w Moskwie lub Petersburgu) - ale nikt nie bronił im prowadzenia - w tym posiadania kolei, uważanych w Rosji (do dziś!) za przedsięwzięcie strategiczne;
5. Koleje państwowe są gorsze od prywatnych...

Ale jedziemy dalej. Aleksander III też wyciągnął wnioski: kazał mianować Wittego ministrem kolei!

Z tego powodu podniósł się wrzask: biurokraci twierdzili, że taki awans człowieka bez

właściwego czynu to demoralizacja, dworzanie przypominali, że Witte zapytany urzędowo, za co dostał order od króla Prus, odburknął: „Ponieważ to on dawał mi order, a nie odwrotnie - to jego spytajcie!” i został w swoim czasie za krnąbrność wywalony ze służby państwowej...

Tu wniosek 6: największą karierę robią ludzie wywaleni z państwowych posad; ludzie: dajcie się wyrzucać!

... a na dokładkę odmówił... Witte! Jako dyrektor kolei prywatnych miał 50 tys. rubli pensji rocznej - a pensja rządowa to było zaledwie 8000... (wniosek 7: wtedy też marnie płacono - licząc zapewne, że urzędnik dorobi sobie na łapówkach). Jednak cesarz dopłacił trochę z prywatnej szkatuły - i Witte posadę przyjął. Potem został ministrem finansów - znakomitym zresztą. A po nieszczęsnym 1905 roku - premierem.

Jak zauważa „Cat” - Witte był z przekonania zwolennikiem monarchii absolutnej; parlamentem pogardzał. Ale był zwolennikiem centralizacji decyzji - odwrotnie, niż Karol Maurras, Michał Bobrzyński lub inni konserwatyści (w tym i ja). No, ale to jest typowe dla techników - zwłaszcza tych od kolejnictwa i telekomunikacji.

Po co o tym piszę? Po to, by uzmysłowić przepastną różnicę między monarchią, w której władca absolutny, nie musząc walczyć o swoją pozycję, we własnym interesie może na wyższe stanowiska wysuwać ludzi niepokornych, nieposłusznych, upartych - a demokracją, gdzie rządzący ludzi zdolnych usuwają na bok lub wręcz mordują (jak np. Piłsudski gen. Zagórskiego) - natomiast urzędy obsadzają potakiewiczami. Od czego działanie aparatu państwowego staje się jedną serią katastrof.

Można wskazywać na takich, zacnych skądinąd, ludzi jak generałowie Felicjan „Sławoj” Składkowski, czy Edward „Śmigły” Rydz - posłusznych wykonawców pozbawionych własnej inicjatywy (co dobitnie wykazały lata 1936-39). Oczywiście stokroć wyrazistszym przykładem są Sowiety, gdzie Stalin nieposłusznych mordował setkami, a posłuszni na jego skinienie tańczyli trepaka... Ciekawe, ale Hitler stał pod tym względem od Stalina o wiele wyżej - być może dlatego, że był jednak w wojsku, podczas gdy Stalin tylko w seminarium prawosławnym.

I to powoduje, że nie jestem w stanie zrozumieć, jak niektórzy dzisiejsi konserwatyści mogą popierać Pana Prezydenta Wałęsę: typowego demokratę, uprawiającego prymitywną demagogię, przywódcę związkowego, człowieka mówiącego co innego jednym, a co innego drugim - a, co gorsza, otaczającego się potakiewiczami właśnie. Kto tylko w Kancelarii ma inne zdanie niż Szef, wylatuje z trzaskiem (a raczej: nie z trzaskiem właśnie - lecz tchórzliwie jest

wymanewrowywany na boczny tor; najlepiej na bezterminowy urlop).

Być może ktoś wierzy, że człowiek, który przez 50 lat miał takie właśnie nawyki i maniery, stosował takie metody i wybierał takich ludzi - po zdobyciu władzy absolutnej nagle okaże się kimś zupełnie innym. Otóż ja przyznaję:

Pod tym względem jestem niewierzący!

## BEZPIEKA SOCJALNA

Ubezpieczenia społeczne dzielą się na dwie zasadnicze kategorie: dobrowolne i przymusowe. Przymusowe są - jak sama nazwa wskazuje - zwykłym rabunkiem. Dobrowolne natomiast mają status czegoś na kształt gry w trzy lusterka: niby jest to oszustwo, ale...

W najlepszym przypadku ubezpieczenia oznaczają, że raz Kowalski daje trochę pieniędzy Wiśniewskiemu - a raz odwrotnie, jak pecha ma akurat Wiśniewski. Jednak nawet w takim przypadku istnieje potrzeba utrzymania całej hordy urzędników, agentów i dyrektorów, ich biur, okólników i telefonów. Gdy ubezpieczenia są dobrowolne, można powiedzieć, że ostatecznie nikt nie likwiduje „Toto-Lotka” razem z kioskarzami, agentami i dyrektorami i jeśli ludzie chcą bawić się w hazard, to niech się bawią! Jeśli są przymusowe - to usprawiedliwienie znika.

Proszę sobie przedstawić to w taki sposób. Przychodzi do mnie p. Kówałski i powiada: ja lubię hazard, założymy się o milion, że jutro będzie padał śnieg! Normalna propozycja, nieprawdaż? A teraz inna sytuacja; Kowalski powiada: Założmy się o milion, że w ciągu roku nie złamiesz nogi! Na co ja odpowiadam: OK, zgoda! Ale ja rzadko łamię nogę! Dobrze - mówi Kowalski w takim razie ty zapłacisz 5000 jeśli nie złamiesz - a ja tobie milion jeśli ją złamiesz!

To właśnie jest istota ubezpieczenia od złamania nogi. Proszę zauważyć, że gdybym to ja musiał zapłacić Kowalskiemu milion za złamanie sobie nogi, to hazardowy charakter ubezpieczenia uległby drobnej zmianie: miałbym interes, by nogi sobie nie łamać. Jednak ubezpieczenie nieodmiennie działa w drugą stronę. Dlatego właśnie ubezpieczenie przed pożarem powoduje, że ludzie co roku podpalają kilkadziesiąt chałup. Ubezpieczenie przed powodzią powoduje, że ludziska sięją żytko tam, gdzie nikt rozsądny by tego nie zrobił. Ubezpieczenie przed kradzieżą powoduje, że chętniej zostawiamy drzwi otwartych mieszkań, samochodów. Mogę się założyć, że gdybyśmy - zupełnie losowo - wybrali połowę Polski i (przymusowo) ubezpieczyli ją przed złamaniem nogi, to w tej połowie przypadków złamań byłoby więcej, niż w drugiej połowie. Gdyby premia wyniosła np. 100 milionów, to sprawa byłaby oczywista. Jednak nawet wówczas, gdy premia nie pokrywa u przeciętnego człowieka ceny bólu i kłopotów - to zawsze znajdują się tacy, którym się opłaci.

Dlatego obowiązkowe ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej to zachęta do zabójstw (w dodatku kierowca mniej boi się, że sam ucierpi w tym wypadku, gdyż jest przypięty - pod przymusem-pasami!) i człowiek, który je wprowadził powinien iść do kryminału za



sprowadzenie niebezpieczeństwa katastrofy w znacznych rozmiarach - jak powiada nasz poczciwy Kodeks Karny. Proponuje za to kary sięgające dożywocia. Zupełnie słusznie.

Nawet jednak, gdy do wypadku nie dochodzi, gdyż to nie ja mam na to wpływ (np. ubezpieczyłem dziecko od wypadku), to zawsze sytuacja jest obrzydliwa. Gdy bowiem premia jest wysoka, człowiek zapewne (nie wiem - nigdy do głowy nie - przyszło mi się ubezpieczyć!) musi walczyć z myślami: A gdyby tak mu się coś stało - miałbym miliard! Czy można - zwłaszcza pod przymusem - stawiać człowieka w takiej sytuacji? Zresztą, czyż nie znamy przypadków podkładania bomb do samolotu, którym leci wysoko ubezpieczony np. tatuś? Kto odpowiada za życie jego i reszty pasażerów? Ten, co wymyślił przymus ubezpieczeń!

Najkrócej mówiąc: ubezpieczenia są niemoralne, gdyż spłaszczają odpowiedzialność za swoje czyny - i spłaszczają życie. Przy idealnie funkcjonujących ubezpieczeniach od wszystkiego, zawiadywanych przez Aniołków pracujących za darmo, powstałaby sytuacja, w której byłoby mi dokładnie wszystko jedno, co zrobię: zahoduję sobie brzuszysko - dostanę takie odszkodowanie, że wzrost szacunku społecznego zrównoważy ten mankament wyglądu. Oczywiście do takiej skrajności nigdy nie dojdzie. Dlatego ubezpieczenie to nie aqua tofana, lecz „lek” osłabiający i degenerujący każde społeczeństwo.

Jak każdy system niemoralny, ubezpieczenia przymusowe przynoszą niekorzystne skutki gospodarcze. Proszę sobie wyobrazić właściciela wszystkich statków na świecie. Czy miałby on interes w ubezpieczeniu ich? Oczywiście nie - bo odszkodowanie, jakie by dostawał, pochodzić by musiało z jego własnych składek, no i trzeba by było opłacić ubezpieczyciela. Jasne?

Dobrze. Niech teraz ów właściciel, umierając, podzieli firmę między trzech synów. Czy mają oni interes w ubezpieczeniu swej floty? Oczywiście dokładnie tak samo - nie! To samo dotyczy floty podzielonej między stu czy tysiąc prawnuków, czy sto tysięcy armatorów. Dlatego facet, który kazał polskie statki państwowe ubezpieczać, jest po prostu szkodnikiem gospodarczym, przelewającym pieniądze podatników do kieszeni firm „Lloyds” - i tyle. Też powinien siedzieć.

Ubezpieczenie dobrowolne żeruje na ludzkim strachu. Gdy ktoś posiada tylko jeden lub dwa statki - to boi się utracić wszystko i z tego strachu woli oddać część zysków ubezpieczalni. Z jednej strony umożliwia to tchórzom udział w życiu gospodarczym - a z drugiej strony zabiera im pieniądze, pozostawiając je odważnym, którzy się nie ubezpieczają (oczywiście: nie wszystkim odważnym).

Ponieważ życie ma się tylko jedno, przeto największe pieniądze robią wydrwigrosze ubezpieczający życie i zdrowie, a także spokojną starość - co widać po imponujących budowlach tych firm: również warszawski „Prudential” jedyny przed wojną drapacz chmur - wybudowała włoska firma ubezpieczeniowa! Słowa „wydrwigrosz” użyłem zresztą w sensie opisowym: dopóki jest to dobrowolne, nie wolno potępić sprzedaży fioletowego balonika za cenę trzy razy wyższą niż normalna.

Państwo socjalistyczne natychmiast postanowiło upaństwować (w nowomowie nazywa się to „uspołecznic” lub „znacjonalizować”) ten lukratywny interes. Być może wśród socjalistów są jacyś idioci, nie mający pojęcia o ekonomii i wyobrażający sobie, że jest to „dla dobra ludu pracującego miast i wsi”. Podobnie myślał Janosik - z tą tylko różnicą, że Janosik podobno coś tam dawał biednym.

W rzeczywistości był to (i jest) po prostu zwykły, cyniczny rabunek, prowadzony przy użyciu przemocy (nieraz z użyciem broni). Najlepiej świadczy o tym fakt, że ludzie chorzy na dziedziczne przypadłości, gwarantujące, że nie dożyją 40 lat, też muszą płacić składkę emerytalną! A kto policzy sobie, ile by miał pieniędzy płacąc składkę na emeryturę (43% od zarobku) przez 40 lat, gdyby składał w jakimś rozsądnym banku, doliczył procent, i dodał drugie tyle (połowa ludzi umiera przed osiągnięciem wieku emerytalnego!) - ten zdaje sobie sprawę z rozmiarów rabunku.

Na ubezpieczeniach społecznych najgorzej wychodzą ludzie biedni. Dla bogaczy 315 zł miesięcznie (tyle płacimy przeciętnie na ubezpieczalnię - nie na emeryturę: na same leki i lekarzy) to nie pieniądź - a gdy są chorzy i tak nie korzystają z lekarza darmowego, lecz idą do spółdzielni lub prywatnie. Biednego stać tylko albo na składkę, albo na lekarza prywatnego. Płaci więc pod przymusem składkę - i odtąd jest niewolnikiem ministra zdrowia. Ten może zabronić mu leczyć się u pewnych lekarzy, może zabronić mu zapisywania pewnych leków - pod pretekstem, że „państwa na to nie stać” A co go to obchodzi? Jego byłoby stać - gdyby miał swoje pieniądze!

Wiek emerytalny dla mężczyzn wynosi 65 lat - ale średnia życia mężczyzn to 63,5 roku. Ponad połowa umiera przed emeryturą. Spytajmy: która połowa? Odpowiedź: wcześniej umierają ludzie biedni i ciężko pracujący. Umierają - a ich składki przechodzą na bogatszych i lżej pracujących, pobierających zresztą wyższe emerytury...

Zasiłki dla bezrobotnych... Biedna kobieta pracująca za 200 czy 250 zł płaci 2 proc. swej

krwawicy po to, by 180 dostał za nic jakiś obibok, leń lub cwaniak! Panowie socjaliści nie mają nie tylko wstydu - ale nawet litości! Socjalizm polega na odbieraniu pieniędzy mrówkom i przekazywaniu ich konikom polnym (np. ta kobieta musi płacić też podatek na deficytowy Teatr Wielki Opery i Baletu!).

Polska na drogę socjalizmu wkroczyła już w 1918 roku (władzę zdobył - a właściwie otrzymał z rąk trzech dziecięnniałych arystokratów - przywódca PPS-Frakcji Rewolucyjnej, Józef Piłsudski.

Z Zamku Królewskiego powiewał wówczas czerwony sztandar, a ustawodawstwo mieliśmy - jak słusznie z dumą podkreślają polscy socjaliści „najbardziej postępowe na świecie”). Jest mi przy tym zupełnie obojętne, czy przymus ubezpieczeń wprowadzili naiwni fanatycy, czy cyniczni łajdacy: dopóki nie zostanie on zniesiony w każdej dziedzinie, dopóki państwo będzie rabować wdowi grosz i używać go na utrzymanie chmary urzędników i nierobów, dopóki Polska nie zejdzie z tej wiodącej ku przepaści ścieżki - dopóty nie uwierzę, że coś drgnęło. Ciekaw jestem, oczywiście, jak rząd „liberałów” [Mowa o rządzie. I. K. Bieleckiego z Kongresu Liberalno-Demokratycznego] godzi ów przymus ze swymi szczytnymi zasadami - ale to już jest sprawa ich sumień. Natomiast gdy ktoś nas rabuje, nie interesuje nas stan sumienia rabusia, bronimy się!

## BOMBA ODBEZPIECZONA

Przyznaję: piszę ten tekst pod wpływem emocji. Satysfakcję sprawia, że wszystko to, co piszę od lat, sprawdza się; to co przepowiadam do lat, np. w broszurze „Ubezpieczenia” (cztery wydania podziemne w latach 1978-1984) - czyli nieunikniony upadek państwowych powszechnych i przymusowych ubezpieczeń - już się rozpoczęło. Za kilka lat, proszę to sobie dobrze zapamiętać, rozpocznie się upadek tego systemu w Szwecji, Niemczech, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Będzie to prawdziwy koniec socjalizmu, ustroju, który wyprodukował najgorszy ze wszystkich przymus ubezpieczeń.

Emocją równie silną, jak moja własna satysfakcja, jest przerażenie. Jeszcze w tej chwili potrafiłbym poradzić sobie z załamaniem się tego systemu. Jednak, gdy patrzę na rządzących nami ciemniaków, i w ogóle rządzących atlantyckimi demokracjami dyletantów, to pewien jestem, że sobie nie poradzą. Konsekwencje zaś załamania się systemu ubezpieczeń będą - przynajmniej dla osób zainteresowanych - przerażające. A konsekwencje te ujawnią się w całej pełni.

System ubezpieczeń jak rak przeżarł już całą tkankę społeczeństwa. Usunięcie tego raka, bez naruszenia żywej, zdrowej tkanki, jest praktycznie niemożliwe. Można jednak jeszcze przeprowadzić tę operację z minimalnymi stratami. Za kilka lat gdy okaże się, że system nie tylko nie ma pieniędzy, ale jeszcze jest zadłużony - na ratunek będzie zbyt późno.

Tyle na Zachodzie. U nas już się to stało - i należy mówić nie o ratowaniu systemu, lecz o ratowaniu ludzi.

System ubezpieczeń musiał trzasnąć, gdyż miał trzy podstawowe wady: był przymusowy, zmonopolizowany, prowadzony przez państwo.

Jest rzeczą oczywistą, że gdy ktokolwiek - czy PZU z OC czy ZUS - ma klienta bez starania się oń, to będzie klienta lekceważyć. Z punktu widzenia urzędnika ZUS, każdy emeryt i rencista to wydrwigrosz, uszczuplający jego kasę.

Z drugiej jednak strony, nie jest to jego kasa, lecz państwowa.

A zatem: niczyja.

Tak więc ZUS i PZU nieustannie muszą popełniać dwa rodzaje błędów:

1. przyznają zbyt małe świadczenia ludziom, którym się one należą;
2. przyznają zbyt duże świadczenia tym, którzy podobają się urzędnikowi (by się

podobać, można wręczyć łapówkę, można wzbudzić litość, można wreszcie, po prostu, mieć wspólnych znajomych).

Jest oczywiste, że jedni dostają zbyt niskie renty, ponieważ nie ma pieniędzy - a pieniędzy nie ma, gdyż inni wyłudziili zbyt wysokie renty. Jest oczywiste, że w PZU jedni muszą do remontu dopłacić, a inni zbajtują inspektora i jeszcze na wypadku zarobią.

System ubezpieczeń jest systemem z natury kryminogennym, a jego twórcy powinni wylądować w kryminale pod wieloma zarzutami, od zachęty do morderstwa, po spowodowaniu niebezpieczeństwa powszechnego. Zabójstwa ubezpieczonych krewnych, podpalenie ubezpieczonych domów, sianie na gruntach powodziowych, przekupstwa lekarzy wydających zaświadczenia - to wszystko owoce niemoralnego systemu. A wszystko co niemoralne, musi kiedyś źle się skończyć - z definicji niemoralności (gdyby coś kończyło się dobrze, nazywalibyśmy to „moralnym”).

Ponieważ ten niemoralny interes prowadziło państwo socjalistyczne - to był on prowadzony na początku dobrotliwie i nieudolnie.

W miarę upływu czasu, kiedy zaczęło brakować pieniędzy, państwo socjalistyczne przestawało niekiedy być dobrotliwe. Jak bowiem półtora roku temu pisał Aleksy de Tocqueville: Nie ma takiego okrucieństwa, ani takiej niesprawiedliwości, jakiej nie dopuściłby się skądinąd łagodny i liberalny rząd, gdy zabraknie mu pieniędzy.

A właśnie rzekomo „liberalnemu” rządowi zabrakło pieniędzy. Dużo pieniędzy. Być może, gdyby nie kontrola socjalistycznego parlamentu, rząd by jakoś sobie poradził - w tym stanie rzeczy został jednak zapędzony w kozi róg. I będzie kasał.

Nie ma tu żadnych wątpliwości. Jeszcze parę tygodni temu parlament na siłę wciskał rządowi nadzwyczajne uprawnienia. Wówczas p. Bielecki odpowiedział, że takich uprawnień nie chce. Dziś grozi podaniem się do dymisji. Jeśli ich nie dostanie? To nie zostało jasno powiedziane - ale chyba tak. Taką chwiejność niektórzy nazywają dziecinadą. Ja sądzę, że nie jest to dziecinada, lecz uświadomienie sobie, co naprawdę rząd odziedziczył po sanacji, narodowych socjalistach, komunistach („rózowych”, spod znaku p. Mazowieckiego, można tu pominąć, oni już niczego nie zepsuli - nie zdążyli).

Otóż trzeba sobie uświadomić, że zadłużenie państwa polskiego wobec emerytów i rencistów - to znaczy zobowiązania, które państwo na siebie przyjęło - kilkadziesiąt razy przewyższa zadłużenie naszego państwa wobec zagranicy!

Inna ilustracja rozmiarów problemu: w 1990 roku, gdy wchodził w życie plan Balcerowicza, w styczniu podniesiono oprocentowanie do 40% miesięcznie (!) W lutym było bodaj 29%. Jednocześnie parlament przyznał kompensujące dodatki emerytom i rencistom. Wówczas ZUS, banki i poczta opóźniły wypłatę tych dodatków o parę lub paręnaście tygodni. Suma, jaką wówczas stracili emeryci, też wielokrotnie przekroczyła „pomoc” zagranicy. W dodatku pomoc zagranicy z reguły była pożyczką, natomiast pieniędzy zagrabionych starcom i inwalidom rząd nigdy nie oddał - i nie odda. Jeśli pp. Bąsik i Gąsiorowski mają pójść pod sąd za to, że korzystali z opieszałości naszych banków i zagarnęli 100 mln dolarów, to gdzie powinni wylądować ci, co zagrabili prawie miliard? Zwracam uwagę, że nasz kodeks wyraźnie mówi, iż (art. 120) zagarnięcie mienia to przysporzenie sobie lub komuś innemu korzyści majątkowej.

Obecnie rząd zapowiada, że będzie obcinał rozmaite kategorie zasiłków. Zwracam uwagę, że wielokrotnie pisałem i mówiłem: Kto godzi się na to, by władza podnosiła renty i emerytury - ten godzi się i na to, że będzie je zmniejszać.

Z tym że zapowiedź owa jest bezprawna. Opiera się na dwóch podstawach: po pierwsze, motywuje to nie „sprawiedliwością”, lecz brakiem pieniędzy. To znaczy, że albo do tej pory wypłacano zasiłek niesprawiedliwie, albo w tej chwili niesprawiedliwie się go odbierze. Po drugie, robi się to kolektywnie. Odbiera się nie temu pseudorenciście, który wyłudził świadczenia, tylko całej kategorii rencistów lub emerytów. A co są winni ci, którym się należy? Jedynym wyjściem - na przyszłość - jest całkowite wyłączenie państwa z biznesu „ubezpieczenia” - biznesu, które państwo - z właściwym sobie talentem - doprowadziło do ruiny. Niestety, państwo do tego stopnia nie ma pieniędzy, że właśnie dokonuje ostatecznego rabunku emerytów poprzez wyprzedaż całości majątku państwowego.

A przecież wpłacane przez kilkadziesiąt lat składki emerytów były używane do inwestowania w przemysł państwowy. Jaki on jest, taki jest - ale jest przecież coś wart.

Dlatego nie wolno sprzedawać zakładów pracy w całości! Należy przekształcić je - ustawowo i bez dyskusji - w spółki kapitału państwowego, a następnie ok. 30% przekazać na niezależny od państwa Fundusz Emerytalny. Z dywidendy od tych akcji należy wypłacić renty i emerytury. Wówczas już żaden Sejm, Senat, czy inna demokratyczna instytucja nie będzie mogła wpakować w to swoich brudnych paluchów.

Następnie trzeba pozwolić ludziom w wieku przedemerytalnym brać z tego Funduszu akcje w zamian za rezygnację z państwowej emerytury (jeśli ktoś chce, oczywiście!) - natomiast

w stosunku do emerytów należy to rozprzedać prywatnym firmom ubezpieczeniowym, tak jak zrobiono to w Chile za gen. Augusta Pinocheta. Wówczas państwo przestawałoby być zainteresowane tym, by emerytom dać jak najmniej - stałoby się sprawiedliwym sędzią w sporze między prywatnym emerytem, a prywatną firmą... Tak powinno być normalnie - i tak było, dopóki nie wtrąciło się w to państwo.

Aha, dlaczego nie pozwolić na to emerytom? Dlatego, że Fundusz daje zyski średnie, a poszczególne akcje mogą zwyżkować lub wręcz spadać do zera: trudno zaś, by emeryt, obecnie już nie uczestnik gry gospodarczej, miał dobre rozeznanie w biznesie.

Przypominam złowieszczo, jak Kasandra: jeśli państwo rozprzeda wszystkie akcje, to emeryci będą zależni tylko do łaski pańskiej. A łaska pańska na pstrym koniu jeździ... Emeryci odczuli już tego przedsmak. To co nastąpi, będzie bez porównania straszniejsze. Pozostało do katastrofy kilka - może kilkanaście - miesięcy.

## TYGRYS I KOBIETY

Na jednym ze spotkań zadano mi pytanie o kobiety. Do tych pytań przywykłem - ale to było postawione w trochę inny sposób. Chodziło o to, czy ja bym chciał - z uwagi na rosnące bezrobocie - usunąć kobiety z pracy. Przy tym powinienem wziąć pod uwagę, że w Polsce 75% kobiet pracuje, bo musi.

No, w to bezrobocie, to ja nie bardzo wierzę - ale: niech tam! Przyjmijmy to jako założenie. Gdyby więc było bezrobocie to czy ja bym wydał - jako, powiedzmy, dyktator - ustawę nakazującą zwolnienie jakiejś części kobiet z pracy?

Ale się - dzięki dziennikarskim uproszczeniom i złośliwej anty-propagandzie - dorobiłem opinii, co?

W każdym razie czym prędzej wyjaśniłem, że nie jestem zwolennikiem stosowania centralistycznych metod sterowania gospodarką. Dodałem, że czym innym jest postawienie rosnącemu drzewu przegrody tak, by musiało prowadzić pień po dwóch jej stronach - a czym innym rozdzieranie żywej gałęzi na dwie części! Jest to zabieg brutalny i poważnie okalecza drzewo - często je niszczy. Czym innym jest więc zmiana warunków (lub nawet zakaz pracy kobiet) wydany na przyszłość - a czym innym nakaz zwolnienia kobiet (czy kogokolwiek) z pracy!

Jeśli ktoś nie widzi zasadniczej różnicy między zakazem czegoś w przyszłości, a nakazem zmiany stanu obecnego - to nie rozumie ducha konserwatyzmu, który powinien być naturalną składową myślenia konserwatywnego liberała.

Tak naprawdę pytanie zmierza do wyjaśnienia pewnego faktu: we wszystkich właściwie znanych społeczeństwach kobiety są chronione przed pracami trudnymi, wymagającymi dużej siły lub dużej inteligencji. Powierza się im prace wymagające mozolnego dłubania - czynności z reguły powtarzalne.

Trzeba tu dodać, że kobiety lubią - i to jest fakt niezaprzeczalny - dostać szczegółowe instrukcje i znajdują przyjemność w dokładnym wykonaniu - podczas kiedy mężczyzna z reguły zżyma się, gdy ktoś mu instrukcji udziela; on chce sam sobie pokombinować! W efekcie cztery razy na pięć przy pierwszych podejściach psuje materiał - ale za piątym odkrywa jakiś inny (lepszy obiektywnie - bądź po prostu lepiej jemu pasujący) sposób wykonania tej czynności. Oczywiście - jak słusznie napisała do mnie w uroczym liście p. Wanda z Puszczykowa - są i



kobiety obdarzone takimi zdolnościami (i powinny je móc wykorzystywać!) - oraz są mężczyźni nie lubiący wysilać mózgowicy na odkrywanie czegokolwiek, a skupiający się na dobrym, dokładnym wykonawstwie. I każdy powinien pracować w takiej dziedzinie, gdzie jego zdolności wykorzystywane są najlepiej.

Uwaga! Nawet kamieniarz lub śmieciarz mogą pracować bezmyślnie - lub twórczo.

Natomiast pytanie, dlaczego nie posyła się kobiet do prac niebezpiecznych, jest źle postawione.

Zakłada mianowicie, że w każdym plemienu jakiś mądry szaman po latach doświadczeń dochodził do wniosku, że kobiet nie powinno się zatrudniać przy takich-to-a-takich pracach (a mężczyzn przy innych) - po czym wydawał odpowiedni dekret i od tej pory byt plemina znacznie się poprawił, a w nagrodę za wiekopomne odkrycie szamanowi przyznano „prawo pierwszej nocy”.

W rzeczywistości sprawa przedstawia się inaczej. Podobnie jak nikt nie wymyślił np. języka, tak samo nikt nie wymyślił podziału ról w rodzinie i społeczeństwie. Najprawdopodobniej początkowo na polowanie na tygrysa szablistero wybierało się wspólnie całe plemię, z kobietami włącznie. Jeśli chciały. Jedne kobiety zostawały w pieczarach - inne szły na tygrysa.

No, i te, które szły, tygrysy po prostu zjadały - oblizując się, bo mięso kobiece jest bardzo delikatne. A tamte przeżywały. I miały dzieci. Wychowywane tak samo, jak matki - i dziedziczące po nich te cechy charakteru, które dziś nazywamy „kobięcymi”. A pozbawione pożywienia tygrysy szablistero wymarły. Mężczyźni, którzy zostawali w pieczarze też przeżywali - tyle że ich rodziny przymierały głodem...

W efekcie te plemiona, które przestrzegały podziału ról, który dziś nazywamy „naturalnym” rozmnożyły się i napełniły Ziemię - a inne gdzieś tam wegetują. Selekcja naturalna.

Postępowcom odpowiadam, że należy na to użyć argumentu: „Tak było dawniej. Obecnie ludzi jest na Ziemi za dużo - a więc przeżyje to społeczeństwo, które doprowadzi do śmierci, a przynajmniej do bezpłodności, jak największej liczby kobiet. Kobiety więc należy posyłać na wojny (Izrael - ale stopniowo i Zachód) zatrudniać przy ciężkich pracach (najlepiej jako traktorzystki) oraz skłaniać by dokonywały jak najwięcej aborcji (bo jest po tym duża szansa na bezpłodność!).

Tylko koniecznie - ale to koniecznie trzeba zmusić do przyjęcia tego modelu wszystkie

plemiona na Ziemi. W przeciwnym bowiem razie to, które nie posłucha, opanuje Ziemię - i raz jeszcze Wstecznicstwo zatryumfuje nad Postępem.

Ciekawe, po której stronie barykady staną zwolennicy powrotu do Natury?

## LEWY OBRONCA

Obrona kobiet - zwłaszcza kobiet pracujących - jest ważnym zadaniem nowoczesnego państwa opiekuńczego. Tysiące mniej lub bardziej zdolnych urzędników setek rządowych agend starają się zarobić na awans wymyślając kolejne przepisy chroniące kobiety pracujące - zwłaszcza ciężarne, bo jak wiadomo płód to coś do usunięcia z punktu widzenia Ministerstwa Zdrowia - ale Przyszłość Narodu z punktu widzenia Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej; w przyszłości będzie albo pracował (dając przy sobie pożyć urzędnikom Departamentu Spraw Pracowniczych) albo zostanie bezrobotnym (dając usprawiedliwienie dla pensyj Departamentu d/s Walki z Bezrobociem). Tak nawiasem: w tym właśnie Ministerstwie średnia płaca jest najwyższa spośród wszystkich resortów!!!

Tak czy owak - motywy są nieważne, grunt, że dzięki temu kobiety otoczone są coraz lepszą opieką naszej kochanej IV Rzeczypospolitej.

Popatrzmy, jak znakomicie to działa.

Znajoma mej synowej chciała zatrudnić się sezonowo; na 1½ (słownie: półtorej) miesiąca.

Dzięki działalności troskliwych opiekunów, kobieta przed przyjęciem do pracy musiała być przebadana przez lekarza (tak nawiasem: w domu wolno jej tyrać 14 godzin na dobę, często ciężiej niż w pracy - ale to jeszcze nie jest chronione; sądzić wszak należy, że w przyszłości i ta nienormalna sytuacja zostanie jakoś uregulowana - i np. miłe to i owo z własną żoną będzie dopuszczalne wyłącznie za zezwoleniem odpowiedniego specjalisty).

Lekarz stwierdził, że kobieta jest w świetnej formie - tyle, że jest w drugim miesiącu ciąży.

Znów nawiasem: sportswomenki dziś często specjalnie zachodzą w ciążę na miesiąc-dwa przed ważnymi zawodami: organizm kobiety w drugim miesiącu jest bardzo silny i wydajny! Tym niemniej szef firmy z przykrością odmówił jej przyjęcia do pracy!

Powód? Bardzo prosty! W trakcie pracy obywatelka pracująca ukończyłaby trzeci miesiąc ciąży. Tym samym - nawet pracując na umowę-zlecenie - byłaby objęta ochroną prawną. Konkretnie: stałaby się świętą krową, której trzeba przedłużyć okres zatrudnienia, wypłacać zasiłki za (jakże częstą - i usprawiedliwioną) nieobecność, utrzymywać na urlopie macierzyńskim, płacić od tego narzut na ZUS - no, i liczyć się z tym, że pracownica w okresie macierzyńskim może po raz drugi zajść w ciążę. Tak więc gwoli szczytnej idei ochrony praw

pracujących kobiet w ciąży pani owa może sobie zdychać z głodu! Ewentualnie pójść na zasiłek dla bezrobotnych plus specjalny dodatek dla kobiet w ciąży. Kandydatka na pracownicę się wściekła - i powiedziała, że ma tego dość; ona napisze i podpisze zobowiązanie, że za te półtora miesiąca się zwolni, że korzystać nie chce i nie będzie! Przy świadkach! U notariusza - jeśli trzeba!!!

Figa z makiem! W świetle chroniącego kobiety prawa takie zobowiązanie jest nieważne!

Można je podpisać - a potem oświadczyć, że jednak chce się korzystać z przywilejów. I pracodawca może sobie tym zobowiązaniem co najwyżej podetrzeć to lub owo.

Firma więc z żalem, ale stanowczo, odmówiła przyjęcia jej do pracy. A zarobki w sezonie są tam b. wysokie... Nie wiem, w jakim stanie ducha jest obecnie ta pani. Jednak podobno przeżycia matki odbijają się wyraźnie na noszonym przez nią dziecku. W takim razie wyrośnie zeń tęgi choleryk!

\*\*\*

To, że przepisy wydawane przez państwo szkodzą tym, których powinny chronić - to wiemy. Akcja wywołuje reakcję - wszystko musi się wyrównać. Jednak warto spytać Rzecznika Praw Obywatelskich:

Jak można odebrać kobiecie część jej praw?

Prawo do zaciągania zobowiązań jej podstawowym prawem obywatela. Istotnie: w stosunku do kobiet stosowano i stosuje się nadal różne ograniczenia (nikt serio nie bierze tych bają o równouprawnieniu). Tym niemniej w polskiej tradycji prawnej nigdy nie ograniczono praw kobiet do dysponowania swoim dobrem osobistym.

A zobowiązanie, że się czegoś nie zrobi, jest właśnie dobrem osobistym...

Istnieje ostra granica, między daniem kobietom innych praw niż mężczyznom - a traktowaniem ich jak suk, mulic, czy krów, których zobowiązań, że nie wejdą w szkodę, też nie traktuje się poważnie i przywiązuje się je postronkiem!

Mnie tam zresztą wszystko jedno: niech się twórca tego przepisu tłumaczy przed kobietami. Ja tylko przypominam, że nie jest to przepis jedyny: kobieta nie może np. mając przyznane alimenty, zrzec się ich za jakąś ryczałtową sumę, umożliwiającą np. założenie sklepiku z nabiałem...

Tak dobrze się nią opiekują!

## KONSUMENTKI

Jak wiadomo ulubionym gambitem Czerwonych jest wbicie ludziom do łbów, że są „ludźmi pracy”. Dla Czerwonego praca jest celem, jest czymś w życiu najważniejszym. Oczywiście dla normalnego człowieka praca jest środkiem: murujemy ściany nie dlatego, że lubimy kłaść cegłę na cegle, tylko po to, by mieć dom - lub też dokonać wymiany: ktoś zamieszka w tym domu, który ja wybuduję, a ja dostanę pieniądze, które wymienię na np. samochód.

Celem jest zawsze dom, samochód, ubranie, jedzenie - lub ewentualnie pieniądze, za które w przyszłości kupię coś z tych rzeczy. Są, oczywiście, ludzie, dla których celem jest praca - ale to tak, jak gdyby dla kobiety celem małżeństwa było założenie białej sukni...

Dla Czerwonych fabryka śrubek istnieje po to, by ludzie w niej pracowali; dla normalnego człowieka fabryka jest po to, by wytwarzać śrubki. W konsekwencji Czerwoni budują fabryki tam, gdzie jest siła robocza - normalni ludzie budują fabryki tam, gdzie łatwo dowieźć surowiec i łatwo znaleźć kupców. Są to dwa zupełnie inne światy - i nie ma między nimi zrozumienia. Socjaliści to po prostu grono niebezpiecznych wariatów, którym nie wolno dawać do ręki niczego cenniejszego, bo zniszczą.

By zwyciężył socjalizm wystarczy, by ludzie zaczęli patrzeć na siebie jako na „ludzi pracy”. Jeśli w towarzystwie facet przedstawia mi się: „Jan Kowalski, adwokat” - to już wiadomo, że to towarzystwo jest nieodwołalnie skazane na socjalizm!

Społeczeństwo, w którym każdy widzi siebie jako „tokarza”, jako „szewca”, jako „lekarza” prędzej czy później zgodzi się na to, by walczyć o prawa „człowieka pracy”. Zacznie się rozszarpywanie kraju pomiędzy sprzeczne interesy „związków zawodowych” - i porządek społeczny prędzej czy później diabli biorą. Na ogół wcześniej, niż później...

By się przed tymi bronić w towarzystwie - czyli wśród osób decydujących (w dawnych, dobrych czasach) o polityce - istniał zakaz rozmowy na tematy zawodowe. O pracy mówi się w pracy - a nie, do cholery, na przyjęciu. Poznają p. Kowalskiego - i chcę wiedzieć, czy łowi on ryby, czy poluje, czy gra w brydża, czy w warcaby, czy w golfa, czy lubi brunetki, czy kocha konie i psy, czy słucha Brahmsa czy Mozarta i co sądzi o pogodzie (żelazny temat w Anglii). Natomiast nie interesuje mnie, czy jest to chłop, czy tokarz, czy wreszcie rzeźbiarz. Nie interesuje mnie nawet, ile on zarabia: gentleman o pieniądzach nie mówi - gentleman pieniądze

ma. I tyle.

Niestety: nawet w Krakowie nie istnieje już „towarzystwo” - w tym sensie, w jakim o nim przed chwilą pisałem. Mamy do czynienia z szarą masą wyrobników - i nie ma znaczenia, że są to rzemieślnicy w dziedzinie poezji, muzyki, advokatury i innych szlachetnych zawodów. Wszyscy daliśmy się Czerwonym sprowadzić do poziomu mrówek-robotnic. Nawet emeryci, choć nie pracują, mówią głównie o swoich pieniądzach...

Czy jest jakaś grupa, która się temu nie poddała? Która można by odzyskać?

W normalnym państwie taką grupą są kobiety!

Kobiety z jednej strony rządzą światem: to one wybierają sobie mężczyzn, to one wychowują mężczyzn; cały świat kręci się wokół kobiet. Kobiety starają się stronić od brudnej pracy zawodowej. Kobiety wreszcie dokonują zakupów...

Tu jest pies pogrzebany!

Gdy Czerwony mówi lekarzowi: „Strajkuj! Dostaniesz podwyżkę!” - to jego żona wrzeszczy: „Tak! Ty dostaniesz! 200 tysięcy więcej!

Ale szewc też dostanie 200 tys. więcej - do czego Rząd doliczy 100 tys. na ZUS, 40 tys. na podatek, ileś tam na „popiwiek” - i w sumie ja za buciki zapłacę o 400.000 więcej! To może podzielać - i często działało.

Dlatego właśnie Czerwoni ze skóry wychodzą, by kobiety wciągnąć w to samo bagno. By kobieta przestała być kobietą - a stała się dziennikarką, szwaczką, advokatką, maszynistką, sekretarką, a najlepiej traktorzystką... No dobrze: to se už ne vrati - ale reszta jest jak najbardziej w zasięgu pp. Clintona, Pawlaka, Cimoszewicza i Papandreu - z zachowaniem proporcji rzecz jasna.

W wyborach 19.IX1993 roku ponad 50% głosujących na Unię Polityki Realnej - to były kobiety. Głosowały tak - pomimo wrzasków tzw. „feministek”, że UPR jest partią anty-feministów. Głosowały tak - bo chciały żyć w normalnym kraju.

Jak wiadomo bardzo wielu kobietom nie jest do twarzy w Czerwonym...

## ZWIĄZKI

W Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu pracuje podobno ok. 10.000 osób. To sporo. „Polonezami” i „Fiat”-ami jeździ ponad 500.000 osób. To bardzo dużo.

Pracownik FSO ma interes w tym, by „Polonez” był możliwie drogi - i by nie trzeba było szczególnie namachać się przy jego produkcji.

Kierowca i właściciel „Poloneza” ma interes w tym, by „Polonez” był możliwie tani - i był wykonany solidnie, wręcz: wymuskany.

Pracowników fabryczki korkociągów jest 7-miu.

Użytkowników korkociągów jest 10 milionów.

Użytkownicy korkociągów chcą, by korkociągi były możliwie tanie i dobre. Pracownicy najchętniej sprzedawaliby kawałek pogiętego drutu i rączkę do samodzielnego sklejanania (i tak odpada...) - w cenie drutu ze srebra.

I tak dalej.

Powstaje pytanie:

Dlaczego 10000 producentów „Polonezów”, 30 producentów korkociągów, 20 producentów agrafek, 20.000 wytwórców szyb, klamek, chleba... - potrafi narzucić swą wolę 500 tysiącom użytkowników „Polonezów”, 10 milionom korzystających z korkociągów... 40 milionom zjadaczy chleba wreszcie?

Odpowiedź pierwsza brzmi:

Bo ci pierwsi są zorganizowani!

Łatwo możemy sobie wyobrazić 10 tysięcy robotników Żerania wychodzących na ulicę z kluczami francuskimi w rękach (i pod dowództwem własnego dyrektora!). Teoretycznie użytkownicy „Polonezów” mają w rękach maszynę znacznie potężniejszą: samego „Poloneza” (o mocy 87KM). Mają zapewne więcej pieniędzy i możliwości, niż ci pracownicy. Są przeciętnie zapewne inteligentniejsi, a być może i fizycznie silniejsi.

Są jednak niezorganizowani. Nie potrafię sobie wyobrazić, by choćby 100.000 właścicieli „Poloneza” na znak protestu przejechało... no właśnie - gdzie? Przed URM-em? Przed FSO, protestując przeciwko niskiej jakości produktu tej zasłużonej fabryki? Przed siedzibą OPZZ lub NSZZ „S”? Czy przed Belwederem?

A gdyby nawet się zebrali i przejechali, potrabili, pobłyskali światłami - to nikt by się tym



nie przejął; przejechali - no, to przejechali. I pojechali. I znów są rozproszeni. A załoga FSO w każdej chwili znów może wziąć młoty w dłonie...

Gdybyśmy zorganizowali Związek Użytkowników „Polonezów”, Związek Użytkowników Korkociągów itd.- to mielibyśmy kilkaset miliardów Polaków (tak! każdy obywatel należałby do paru tysięcy takich związków!!), którzy by producentów roznieśli w proch i w pył.

Tyle, że nie ma takiej możliwości. Nikt nie widzi siebie jako członka grupy społecznej „użytkownik korkociągu”. Ustawiacz FSO widzi siebie jako „robotnika FSO” - a nie jako wędkarza, zjadacza chleba, konsumenta masła i pasztetowej, nosiciela bluzy z tergalu itp.

Miedzy członkami tych grup (z wyjątkiem, być może, wędkarzy) nie istnieją żadne więzy...

(Nawiasem pisząc, ciekawe: czy gdyby wszyscy pracownicy Fabryki Wędek byli wędkarzami, to produkowałiby dobre i tanie wędkę? Moim zdaniem: nie! O wiele bardziej opłacałoby się im strajkami wymóc cła ochronne na wędkę, produkować drogo wędkę byle jakiej, a samemu, z nadwyżki, kupić choćby i ocloną wędkę zagraniczną).

...natomiast więzy takie wytwarzają się między kolegami z pracy. I naszym zadaniem musi być rozbicie tych więzów. Uświadomienie temu ustawiaczowi, że jego największym konkurentem i wrogiem nie jest ustawiacz Smith z Detroit, nie jest jego dyrektor, nie jest emeryt, lecz... kolega ustawiacz, który lepiej ustawia i jutro może go wygryźć z roboty! Musimy tych ludzi napuścić na siebie, skłócić ze sobą, rozbić „solidarność ludzi pracy” - tak pracowicie montowaną przez socjalistów. Dla ich (tj. nie socjalistów, lecz ludzi pracy!) dobra - bowiem wówczas będą korzystać z wyzysku innych „ludzi pracy”: tych od korkociągów na przykład...

To wszystko jasne: siła Szatana leży w organizacji „ludzi pracy”.

Doskonale! Ale dlaczego przegraliśmy wybory? Przecież ludzie przy urnach byli sami, przed telewizorami oglądali programy wyborcze w rodzinie, a nie w gronie kolegów-związkowców...

Z tymi programami to nie całkiem tak, bo z badań wynika, że audycje te oglądało raptem 2%-5% widzów (!); reszta przełączała się na inne kanały lub wyłączała odbiorniki. Tym niemniej kilka procent ludzi mimo wszystko myśli?

Tak. Ale mają spłaszczoną optykę.

Wyobraźmy sobie, że na planecie Poronii mieszka taki gatunek istot, że rozmaici

osobnicy konsumują tylko jeden produkt: Kowalski jada wyłącznie chleb, Wiśniewski wyłącznie masło, Zieliński wyłącznie ryby. Natomiast pracują - taki Poronny Kodeks Pracy - w pięciu różnych fabrykach po 1,5 godziny. Np. Kowalski pracuje 1,5 godziny w piekarni, 1,5 w mleczarni, 1,5 w masarni, 1,5 w serowni i 1,5 w miodosytni...

O, wtedy Kowalski dbałby o to, by piekarze robili dobrze i tanio - a pozwalałby się „wyzyskiwać” jako piekarz, mleczarz, masarz itd.

Wprowadzenie na Poronii socjalizmu w ziemskiej postaci byłoby trudne.

Jeśli jednak Kowalski pracuje w jednej fabryce, a rozmaitych przedmiotów kupuje tysiące, to nie potrafi walczyć o swoje dobro jako piekarza! I tę obiektywną sytuację wykorzystują cyniczni socjaliści.

Dlatego właśnie nie da się socjalizmu zwalczyć pragmatycznie. Konieczne jest podejście pryncypialne: zanegowanie „praw ludzi pracy”. Jest to trudne - ale nie niemożliwe.

I trzeba mieć nadzieję. Bo bez tego - nie warto żyć.

## 1111 KAPITANOW

Wszyscy miłośnicy talentu p. Cyryla N. Parkinsona - jeśli ktoś nim nie jest, to tylko dlatego, że nie czytał Jego dzieł - pamiętają na pewno z Jego najsłynniejszej książeczki „Prawo Parkinsona” esej z rozwoju instytucji politycznych.

Ten zmarły w 1993 r. ideolog brytyjskich Torysów przedstawił w nim - bogato ilustrując to przykładami - taki, mniej-więcej, model. Oto powstaje szacowna i mająca realny wpływ na władzę instytucja, np. parlament. Skoro ma ona władzę, to każdy chce się do niej dopchać. Naciski są tak silne, że instytucja zaczyna się rozrastać. W pewnym momencie staje się już tak wielka, że nie jest w stanie efektywnie prowadzić obrad - nie mówiąc już o podejmowaniu rozsądnych decyzji.

Co dzieje się wówczas? Bardzo, ale to rzadko, ktoś taką instytucję reformuje, zmniejszając obsadę do rozsądnych rozmiarów (co to są rozmiary nierozsądne? - w jednym ze Swych genialnych esejów prof Parkinson utrzymuje, że instytucja mająca ponad tysiąc pracowników w ogóle już nie potrzebuje zewnętrznego świata: ma tyle problemów z utrzymaniem samej siebie, że wszyscy pracownicy są zajęci tym całkowicie...). Inna możliwość - to katastrofa okrętu prowadzonego przez 1111 kapitanów. Na ogół jednak wybierane jest rozwiązanie inne.

Oto w łonie (czasem z zewnątrz) niesprawnej instytucji pojawia się nowa instytucja - np. „prezydium”. Prezydium, jako organ sprawniejszy, w sposób zupełnie naturalny przejmuje funkcje instytucji macierzystej, natomiast członkowie tej ostatniej nawet nie zdają sobie sprawy z tego, co się naprawdę stało. Do instytucji pchają się nowi kandydaci, a ponieważ straciła ona istotne znaczenie nie ma żadnego powodu, by zamykać przed nimi drzwi. W końcu instytucja zamiera lub pada, pozostawiając swoim członkom jakieś-tam tytuły honorowe.

Tyczy to zarówno parlamentów, jak i rządów. Z tym, że rządy, jako mniej liczebne, zwolna stają się ważniejsze od swych mocodawców, parlamentów. Stąd taki nacisk na udział w rządzie - co mogą Państwo zaobserwować i dziś. Stąd też rządy ewoluują znacznie szybciej - rząd Jej Królewskiej Mości przechodził opisaną kurację już parokrotnie - a i teraz w jego obrębie funkcjonuje rząd właściwy - i rząd w szerokim sensie (jacyś-tam ministrowie od spraw sportu czy zdrowia, których się na prawdziwie ważne narady po prostu nie wzywa).

Jak to z tym jest obecnie w Polsce?

Otóż - moim zdaniem - zdarzyło się u nas typowe materyi pomieszanie. Zresztą nie tylko u nas: w bardzo wielu krajach, gdy parlament stał się nazbyt duży, zamiast budowania wewnątrz jakiegoś mniejszego „prezydium” - np. „Konwentu Seniorów” - po prostu przekazano funkcje parlamentu rządowi!

Tym właśnie można wyjaśnić pozornie absurdalne rozwiązania. Bo przecież, na zdrowy rozum, jest absurdem, że projekty ustaw przygotowuje ciało wykonawcze, a nie ustawodawcze - a parlament co najwyżej zatwierdza lub wprowadza jakieś poprawki. Na zdrowy rozum jest też absurdem, że ministrowie są jednocześnie posłami - jak może poseł sam siebie kontrolować jako ministra?! I po co w ogóle jakaś Rada Ministrów? - twór, gdzie minister kultury na równi z ministrem wojny głosują nad tym, co ma robić minister zdrowia?! Przecież nie do tego zostali powołani?

Dzieje się tak, gdyż Rada Ministrów po prostu przejęła funkcje Prezydium Parlamentu. Rada Ministrów stała się ciałem ustawodawczym, a nie wykonawczym - co najlepiej widać po jej składzie: cóż to za organ wykonawczy, gdy każdy z ministrów jest z innej partii? Jak taki twór w ogóle może wykonywać jakakolwiek spójną koncepcję?

Jednakże, choć Rada Ministrów zajmuje się głównie ustawodawstwem (czego smutnym skutkiem jest m.in. i to, że ministrowie sterczą ponuro na obradach Sejmu i tracą wysoko (? - no, względnie wysoko...) opłacany czas na wysłuchiwanie - mniej lub bardziej sensownych uzasadnień projektów - zamiast siedzieć w biurze i pilnować interesu, zapoznając się tylko z gotowymi już ustawami sejmowymi - to pozostały jej tradycyjnie niektóre funkcje wykonawcze.

Wprawdzie de facto wykonują je zawodowi urzędnicy - ale od ministra oczekuje się, by sam też te funkcje urzędnicze pełnił. Ubocznym efektem tego jest wyraźnie widoczny fakt, iż te projekty ustaw przedstawione przez Radę Ministrów niemal nieodmiennie są korzystne dla urzędników, dla aparatu państwa, a nie dla nas, państwa tego obywateli.

Z tym bałaganem trzeba coś zrobić. Najprostsza propozycja to:

- zredukować Sejm do tych 120 posłów, jak postuluje Program UPR;
- odebrać ministrom prawo pobytu w Parlamencie (poza ew. wezwaniem na interpelację), uniemożliwić posłom piastowanie tek ministerialnych,
- oddać Premierowi ster nad ministrami (lub przekazać to, jak w USA, Prezydentowi), skasować dekrety Rady Ministrów, zastępując je rozporządzeniami Premiera kontrsygnowanymi przez właściwego ministra, posiedzeniom RM nadając charakter wyłącznie informacyjny.

Jeśli jednak chcemy zastosować znaną w judo zasadę: „trzcina wygrywa, gdyż ugina się na wietrze (w tym przypadku: dziejowym)” - to należy postąpić odwrotnie: potraktować Parlament, jako ciało elektorskie, wybierać „radę ministrów” w głosowaniu większościowym, natomiast właściwe stanowiska wykonawcze powierzyć urzędnikom mianowanym przez „radę ministrów” lub też tzw. dziś „ministrom stanu” - czyli urzędnikom mianowanym przez p. Prezydenta i obecnie pracującym w Jego kancelarii i... dublującym pracę normalnych ministrów.

Jako ciekawostkę można zauważyć, że... taki właśnie model panował za komunistów, gdzie rolę ministrów stanu spełniali członkowie PolitBiura - to wskazuje na uniwersalny trend w tym kierunku: skoro tak dzieje się zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w PRL...

Tak czy owak: na coś trzeba się zdecydować. Z przykrością zauważam, że wielu posłów - i to nawet tych, którzy najgłośniej krzyczą o konieczności „przełomu” - zamiast zdecydowanych rozwiązań oddzielających władzę wykonawczą od ustawodawczej, zajmuje się doraźnym kompromisowym łataniem obecnej, niejasnej i sprzecznej konstrukcji, która wielokrotnie już okazała się niesprawna.

Ba! Ale jak przekonać np. PT Posłów by dobrowolnie pozbawili się szansy zostania ministrem?

Wszak teraz każdy nosi buławę (p. Leszek M. nawet marszałkowską...) w tornistrze! Albo: jak ich przekonać, by ograniczyli w przyszłym Parlamencie liczbę Posłów i Senatorów - zmniejszając tym samym szansę własnej reelekcji!?!?

Może przyjdzie Państwu do głowy jakaś genialna idea?!? Proszę o taki pomysł w prezencie!

## ZIEMIA

Parę dni temu w jednej z gazet przeczytałem biadolenia, że Niemcy to mają dwa poręczne określenia: Vaterland, czyli Ojczyzna - i Heimat - taka mała ojczyzna, obejmująca najbliższe sąsiedztwo Niemca. Autor wywodzi to z tradycji, z podziału na landy, z rozbicia dzielnicowego - i z innych ważnych socjologicznie i historycznie faktów.

Można by twierdzić, że Polska też miała okresy rozbicia dzielnicowego; że oprócz tego miała jeszcze rozbiory, które wywarły na Polakach piętno prawie takie, jak podział na Ossis i Wesis...

... tu dygresja: dlaczego 200 lat rozbiorów, życia jednych Polaków w Rechtstaat, innych pod rządami wschodniej, restrykcyjnej biurokracji, a jeszcze innych pod rządami dobrotliwej, na ogół własnej, biurokracji Cesarsko-Królewskiej - mniej zróżnicowało Polaków, niż pół wieku podziału Niemiec na nrd-ówek i RFN? Ciekawe, prawda? Otóż odpowiedź jest taka, że Europa cały czas była Europą chrześcijańską, opartą na wspólnych w gruncie rzeczy zasadach moralnych. Socjalizm - to experiment będący zaprzeczeniem podstaw naszej cywilizacji. Nie ma z nim żadnego kompromisu, nie ma żadnej trzeciej drogi - państwa Zachodu, które tego próbują, przeżywają gospodarczą stagnację i moralny upadek.

Wracamy do głównego nurtu. Nie wiem, czy b. NRD to dla Ossis Heimat czy Vaterland - podejrzewam, że ani jedno, ani drugie: Ossis od Wesis nie różni się obyczajowo ani kulturowo - tylko politycznie.

Wiem natomiast, że można by wymienić jeszcze dziesiątki przyczyn, dla których w Polsce nie ukształtowały się dwa odrębne pojęcia Heimat i Vaterland - gdyby nie to, że takie pojęcia istnieją.

Są nimi Ojczyzna i Ziemia.

Obywatel najpierw był obywatelem miasta lub obywatelem ziemskim (co do dziś możemy czytać, z umieszczonych dumnie na nagrobkach napisów) - a dopiero potem Poddanym Króla Polskiego lub obywatelem Rz-plitej. Poseł był posłem Ziemi Chełmińskiej lub Wielkopolski - a dopiero potem myślał o dobru Królestwa.

Tak, że ten partykularyzm istniał - i nawet był nadmierny: np. posłowie Wielkopolski przyjęli jako swego władcę Gustawa szwedzkiego, wypowiadając posłuszeństwo Janowi Kazimierzowi - w dodatku zrobili to w stylu przynoszącym im hańbę. Nawet ci Radziwiłowie,

którzy mieli istotne powody by odłączyć Litwę od Korony, zarobili (słusznie) na epitet zdrajców. W każdym razie: nikt nie może pisać, że pojęcie ziemi w Polsce historycznie nie występuje!

Inna sprawa, że od czasów rewolucji francuskiej, wszyscy nasi insurrekcyjniści, spiskowcy i powstańcy rozmaitych maści (z reguły masoni, karbonariusze e tutti quanti) usiłowali, idąc śladami Garibaldiego, niszczyć tę miłość do własnej ziemi, zastępując ją miłością do całej Ojczyzny. Niestety, ciężko jest kochać coś tak ogromnego i zróżnicowanego, jak Ojczyzna: jeśli uwielbiam góry, to nie chcę, by kazano mi kochać i morskie wybrzeże - skądinąd bardzo ładną i miłą okolicę!

Gdy duchowi spadkobiercy tych totalitarystów (nie mam wątpliwości, że gdyby taki Ludwik Mierosławski dorwał się do władzy, to zrobiłby w Polsce pol-potyzm... na skalę XIX wieku, oczywiście) objęli xealne rządy, doprowadzili kult Ojczyzny do absurdu. Mieli władzę, pieniądze z podatków, artystów gotowych za pieniądze pleść byle co (proszę porównać scenariusz obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego zmajstrowany za ogromne pieniądze przez p. Izabelę Cywińską) - ale, co najważniejsze, mieli miliony ludzi szczerze cieszących się ze scalenia Ojczyzny. Ich uczucia były haniebnie wykorzystywane przez Sanację (i nie tylko przez Sanację...) w walce o władzę.

Wszystko na świecie ma jednak swój koniec. Tak wykorzystywane społeczeństwa scyniczały kompletnie. Największe pieniądze robi się na wyśmiewaniu patriotyzmu - a winni są nie autorzy tych paskudztw - tylko ci, którzy patriotyczną tromtadracją doprowadzili do tego, że większość ludzi woli słuchać parodii wiersza - niż wiersza samego! !

Powiedzmy jasno: jest to koniec. Państwo gnoi wszystko, czego się dotknie - i zgnoiło pojęcie Ojczyzny. W źródle centralizmu: we Francji, we Włoszech - coraz częściej mówi się o rozpadzie tych ojczyzn na prowincje. Kto widział Bawarię zalaną dosłownie biało-niebieskimi flagami (a to czarno-czerwono-żółte dziwactwo upychane jest po kątach) - ten zrozumie.

Odrodzenie patriotyzmu musi iść w parze z odrodzeniem miłości do Ziemi. Nie ma innej drogi: wpajanie patriotyzmu na siłę skończy się znienawidzeniem tej sztuczności.

Czy jednak ktokolwiek z Warszawiaków przywiązany jest do żółto-czerwonej flagi? Czy ktoś - nie to, że gotów byłby w jej obronie umrzeć, ale: czy dałby 1 zł za to, by Mazowsze miało własną flagę?? Ilu Wielkopolan wie, że biało-czerwona krata to nie chorągiewka startera przez pomyłkę pomalowana na czerwono - lecz flaga Wielkopolski? Jakie boje o nią toczono przed pruskim Parlamentem! A dziś?

Doprowadzono to pojęcie do ruiny. Trzeba je odradzać. Historycy na prowincji, zamiast pleść dyrdymały o Lechu, Czechu i Rusie, powinni badać własne źródła. Powinni starać się, by dokumenty Księstwa Płockiego były w Płocku - a nie w Archiwum Głównym Akt Dawnych! I tak dalej.

Zanim jednak je odrodzimy, musimy mieć zdrowe państwo, z zawodową armią. Jeśli bowiem odrodzimy pojęcie ziemi, a armię, jak w Jugosławii zorganizujemy z poborowych terytorialnych - to druga Jugosławia gotowa.

Już sąsiedzi się o to postarają!



## SPALONY

W światku piłkarskim coraz częściej mówi się o zniesieniu przepisu o „spalonym”. Przypominam, że jeszcze do 1925 r. przed piłkarzem otrzymującym piłkę musiało być trzech przeciwników - obecnie wystarcza dwóch; być może ograniczenie w ogóle nie jest potrzebne (uzasadnia się je chęcią nakłonienia futbolistów do gry skrzydłami).

Pomińmy piłkarską specyfikę. Wyobraźmy sobie, że FIFA podjęła w sprawie „spalonego” salomonową decyzję: niech rozstrzyga praktyka! O tym, czy trzeba mieć przed sobą dwóch przeciwników ma decydować konkretna sytuacja na boisku.

Wszyscy normalni ludzie natychmiast popukaliby się w czoło, a z władz FIFA nie zostałyby po miesiącu nawet śladu (to znaczy: z tych jej członków, którzy za tym optowali!). Przecież wyobraźmy sobie, że jest finał Mundialu, stan 2:1 i w ostatniej minucie gola dla strony przegrywającej strzela gracz, który otrzymał piłkę stojąc sam na sam z bramkarzem!

Przecież to byłaby wojna!

Oczywiście, wypowiedzieć by się musiała Komisja Sędziowska. Każdy z jej członków otrzymałby (od przedstawicieli zainteresowanych państw) oferty za kilka milionów dolarów, a przed oknami defilowałyby uzbrojone watahy grożąc śmiercią każdemu, kto podejmie „niesprawiedliwą” decyzję.

Oczywiście - winna temu wszystkiemu byłaby FIFA, która zamiast rozstrzygnąć sprawę przed zawodami, kunktatorsko i tchórzliwie wymigała się od podjęcia decyzji.

A jaka decyzja byłaby słuszna?

Wszystko jedno! Być może ze względów technicznych byłoby właściwsze, by „spalony” działał - a być może nie. Ta różnica jest jednak drobna wobec różnicy między podjęciem decyzji przed grą - a podjęciem jej po grze.

Jak każdy widzi przyczyną tego jest, że przed grą możemy dyskutować obiektywnie, nie wiedząc, czy wyrównującą bramkę strzelił Urugwaj czy Honduras. Po meczu każda decyzja narusza już czyjeś uczucia.

Jest rzeczą najzupełniej obojętną, czy ustalimy, że podatek od kupna samochodu płaci nabywca - czy zbywca. Człowiek, który urodził się w Poronii i zna prawo, wie, że kupując samochód będzie jeszcze oprócz tego musiał zapłacić podatek - i wcale przeciwko temu, że to płaci on, a nie sprzedawca, nie protestuje (w rzeczywistości gdyby Poronia znienacka uchwaliła,

że płaci sprzedający - to ci po prostu w kalkulowałyby podatek w cenę i... nic by się nie zmieniło!)  
Gdyby natomiast ktoś wpadł na piekielny pomysł:

Zawieramy transakcję. Wypłacamy jej sumę. Po czym zbiera się Sąd Społeczny i sprawiedliwie ustala, kto (z uwagi na sytuację rodzinną, stan majątkowy i inne ważne względy społeczne) powinien ten podatek zapłacić - to wszyscy kupujący samochody chodziliby wściekli i znerwicowani. Taki jest koszt prawa ustalanego ad hoc.

Dlatego prawo musi być ustalane z góry, przed grą. Jest to elementarz polityki.

Dlatego właśnie wielkim szacunkiem cieszą się prawa stare. Do ustaw parlamentu mamy stosunek pogardliwy, gdyż uchwalali je faceci zainteresowani ich skutkami. 70-letni sędzia Sądu Najwyższego ma znacznie większy autorytet, gdyż myśli On raczej o sędzie Boskim i osądzie Historii - a nie o bieżących korzyściach. Natomiast największym szacunkiem cieszy się np. Kodeks Napoleona - nie dlatego, że był on jakoś wyjątkowo wspaniały, lecz po prostu dlatego, że nieboszyk N. na pewno nie jest zainteresowany w rozgrywkach między - powiedzmy - pp. Geremkiem i Wałęsą. Dlatego słuszne jest i właściwe, by rozgrywka ta toczona była na podstawie reguł ustalonych sto lat temu - a nie dziś, przez najzacniejszych nawet polityków polskich.

Niestety! Jak słusznie (przed ponad stu laty zresztą...) napisał wiella Aleksy de Tocqueville: „Im bardziej oświecone staje się społeczeństwo cywilne, tym bardziej brnie w barbarzyństwo społeczeństwo polityczne”. Politycy demokratyczni nie potrafią się powstrzymać, by nie uchwalić nowych praw, oczywiście lepszych, jak to się mówi w nowo-mowie: „lepiej dostosowanych do współczesnej rzeczywistości”.

Tylko ludzie nie bardzo chcą tych praw słuchać. „Co to za prawo - powiadają - skoro ja sam mogę je, w głosowaniu zmienić? Skoro mogę je zmienić na bardziej dla mnie korzystne - a obecnie jest niekorzystne - to zapewne jest niekorzystne dlatego, że tamci faceci je sobie uchwalili. A niedoczekanie!”

Po czym zamiast pracować zabiera się za podgryzanie.

Klasycznym przykładem takiej kołomyjki w Wielkiej Polityce była sytuacja w Federacji STAMB (Saksonia - Turyngia - Anhalt - Meklemburgia - Brandenburgia) zwanej dla niepoznaki „Niemiecką Republiką Demokratyczną”. Otóż Parlament owej demokratycznej Republiki zabrał się za uchwalanie ordynacji wyborczej...

Na szczęście upodobania polityczne Niemców są dość stałe, a przewidywania instytucji

badania opinii publicznej - bardzo dobre (przypominam, że cały czas piszę o Niemcach!). Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można więc założyć, że jeśli wybierzemy ordynację A to wynik głosowania brzmieć będzie: (CDU - 25% mandatów, DSU 7%, liberałowie 10%, socjaliści 40%, komuniści 18%), a jeśli ordynację B, to: (CDU 43%, DSU 6%, liberałowie 15%, socjaliści 25%, komuniści 11%), a jeśli ordynację C, to... I tak dalej. Tym samym wynik gry zależy nie od głosowania, tylko od wyboru ordynacji! W dyskusji nad wyborem Ordynacji krzyżują się frazesy o Demokracji, o Równości Szans, o postulatcie Niezależności Pareto, o zasadzie Równej Wariancji, o unikaniu Paradoksu Mniejszości itd. - a w rzeczywistości ledwo ktoś zaproponuje jakąś Zasadę, to spece ze wszystkich partij rzucają ją na komputery i po paru minutach wiedzą, jaki będzie wynik wyborów - po czym partia, która na tym by straciła, podnosi wrzask powołując się np. na Arrowa Twierdzenie o Niemożności, na Wolę Ludu Pracującego Miast i Wsi, czy jaki tak demagogiczny argument uznają w tej chwili za właściwy. Czy w ten sposób można osiągnąć sprawiedliwy rezultat?

Oczywiście: Nie!

Czy jest to więc sytuacja bez wyjścia?

Oczywiście: Nie!

Błąd tkwi w tym, że Niemcy starają się rozwiązać ten problem sami - a przecież oni są tym zainteresowani! *Nemo Iudex In Causa Sua!* Ludzkość już dawno - bo przed naszą erą - wynalazła sposób na rozwiązanie tego typu trudności.

Bierzemy jakiegoś Sędziego z powiatowego sądu, znanego z uczciwości (są tacy, nawet w państwach socjalistycznych). Nieufni mogą dodać mu jawnie do towarzystwa dwóch tajniaków (jednego ze StaSi, jednego pożyczony im min. Milczanowski), dać \$5000 na koszty i wyprawić do Ameryki z zadaniem znalezienia trzech studentów matematyki, socjologii, cybernetyki, teorii decyzji, teorii organizacji lub czegokolwiek - byle nic nie wiedzieli o politycznej sytuacji w STAMB. Dać dwóm z nich po \$1000 za napisanie w ciągu jednego dnia (bez kontaktu z nikim z zewnątrz!) sprawiedliwego systemu wyborczego w Rurytanii (tu podać zaszyfrowane nazwy partij działających w Rurytanii, w Burytanii oraz ordynację Burytanii, do której Rurytania się przyłącza). Premia \$50.000 dla tego, kto opracuje zgrabniejszą ordynację - a zdecyduje o tym trzeci student, który za to otrzyma premię \$ 20.000.

Po tym sędzia odbiera ostateczną, wybraną wersję, sprawdza, czy nie ma jakiegoś błędu czysto technicznego, i w asyście tajniaków nadaje ją faxem do Berlina. Koniec pracy.

Proszę zwrócić uwagę na prostotę i tajność procedury. Zamiast tygodni kłótni, wzajemnego poniżania, zapełniania tysięcy ton papieru gazetowego argumentami za i przeciw - po dwóch dniach mamy sprawiedliwą ordynację wyborczą.

Warunek: osoby ją tworzące muszą być niezainteresowane sytuacją w STAMB. Delegujący sędziego Parlament musi postanowić z góry, że niezależnie od tego, jaka ordynacja będzie przesłana, zostanie ona przyjęta bez żadnej dalszej dyskusji.

Niestety: sprzedajnym politykom demokratycznym wcale nie zależy, by w państwie rządziły Honor, Prawda i Sprawiedliwość. Oni chcą, by woda była mętna, by moc w niej załatwiać swe brudne partyjne interesiki. Jak pisał jeden z potencjalnych deprawatorów naszego narodu, Szymon Konarski: „Raz ty zostaniesz przegłosowany - ale jutro, da Bóg, przegłosujesz innych!” I jest robota dla polityka!

Poza tym Lud - a raczej jego przedstawiciele - są cholernie zazdrośni o swoją Suwerenność. Król Hiszpanii, Nawarry, Gaskonii, Obojga Sycylii, Nowej Grenady, Peru, Argentyny i paruset innych krajów mógł być oddać swoją sprawę pod arbitraż Papieża i niczego się nie bał. Mógł to też uczynić np. p. August Pinochet. Natomiast polityk demokratyczny boi się tego panicznie - bo a nuż się okaże, że jeden szary, niezaangażowany człowiek lepiej rozwiązuje problemy niż cały Parlament - i co wtedy! Ludzie mogą wpaść na pomysł ograniczenia Parlamentu - a wtedy: żegnajcie diety! Żegnajcie delegacje służbowe! Żegnaj poklasku tłumów...

Ta sama sprawa dotyczy również Polski. Lewica a to chce odwlec wybory - a to przyspieszyć. Centrum zawsze odwrotnie (nie ma sztabu analityków, więc tylko instynktownie: Na odwrót!). Prawica coś pokrzykuje o zasadach - ale skąd człowiek z ulicy ma wiedzieć, czy nie są to przypadkiem zasady dobrane nie przypadkiem, lecz akurat dla Prawicy korzystne?

A ja powiadam: dość tej szopki! Źródła Prawa szukajmy w naszej tradycji, w Rozumie, w zbiorowym doświadczeniu ludów naszej cywilizacji - a nie w „bieżących zachciankach tłumów” lub w interesach grup politycznych. Dobrze jest też mieć w kraju grupę ludzi nie zainteresowanych polityką bieżącą, lecz właśnie generalnymi zasadami, o których trzeba myśleć zanim dojdzie do konfliktu (stąd nasz postulat powołania Rady Stanu).

Pytam: czy nasz Parlament wreszcie zrozumie, że trzeba się samoograniczyć? Łatwo było żądać tego od „komuny” - i, co ciekawe Oni zaczęli to robić! Natomiast Neo-komuna w najlepsze rozwija radosną twórczość ustawową. Jeśli pp. Senatorowie i Posłowie tego nie rozumieją - to w końcu zrozumieją to prości, zwyczajni ludzie. Tylko oni, zamiast mówić i pisać

- po prostu trzasną pięścią. I tu p. Wałęsa ma rację... A ja tylko zacieram ręce: „I co powiecie, Panowie Demokracy, gdy ludzie większością głosów powiedzą, że Demokracji nie chcą?”

## KARA ŚMIERCI: DLACZEGO JESTEM ZA?

Moim odruchem było zawsze być „przeciw”. W tej sprawie - szczególnie. Moje serce i instynkt są ostro nastawione przeciwko stosowaniu kary śmierci. Mój rozum jest jednak ZA - a w sprawach publicznych zwykłem posługiwać się rozumem a nie emocjami.

Obecnie trwa w tej sprawie dyskusja. Zapamiętali demokraci wywodzą, że fakt, iż prawie 2/3 ludności wypowiada się za karą śmierci (KS), można i należy zignorować. Przeciwnicy KS potrafią w jednym zdaniu zarzucić jej obrońcom, że powodują się niską zemstą - i, że bez szkody można by KS zastąpić np. dożywociem, który jest gorszą karą dla zbrodniarza. Na dyskusji w warszawskiej Radzie Adwokackiej jeden z przeciwników KS wspominał los Rudolfa Hessa z autentyczną mściwą radością.

Bardzo pragnę zostać przekonany, że nie mam racji. Jak na razie jednak argumentom, które poniżej przedstawię, przeciwstawia się wyłącznie emocje. Pora na nieco chłodnego rozsądku. Zaznaczam, że z przyczyn etycznych dopuszczalność KS ograniczam do zbrodni popełnionych z premedytacją - a z powodów technicznych: do morderstw.

Wyobraźmy sobie, że buduję szpital. Jeśli jest to duża budowa, to mogę być niemal pewien, że podczas tej budowy wystąpią wypadki, w których zginie - według oceny PZU - średnio 5 osób. Czy to jest powód, by zaniechać budowy szpitala?

Oczywiście: Nie. Choćby dlatego, że szpital po skończeniu uratuje znacznie więcej osób. Przypuśćmy jednak, że nie chodzi o szpital, lecz o linię kolejową?

Odpowiedź też brzmi: nie. W społeczeństwie ceniącym nade wszystko życie ludzkie przy działającym wolnym rynku podjęte będą tylko takie decyzje, które per saldo uratują więcej ludzi niż zabiją. Nawet jednak w braku takiego dowodu ludzie nie zaprzestaną budowy kolei, samochodów lub promów kosmicznych... Tak nawiasem: konsekwentne przestrzeganie zasady: „Życie ludzkie jest ponad wszelką cenę” doprowadziłoby do zupełnego zahamowania postępu (a nawet prokreacji, gdyż ciąża i poród też są zagrożeniem życia!!!) - i doprowadziłoby ludzkość do wegetacji na maszynach „płuco-serce”.

System linii kolejowych daje społeczeństwu niebagatelne korzyści gospodarcze - co przy okazji podnosi zdrowotność i ratuje ludzkie istnienia. Dokładnie taką samą rolę pełni system prawa karnego. Jest oczywiste, że sieć linii kolejowych ogranicza moją wolność - np. wolność szwendania się, gdzie chcę. Na szyny mogę wejść - ale ryzykując utratę życia... Identycznie z

prawem: wolno mi je przekroczyć - ale ponosząc odpowiednie ryzyko. Zarówno system kolei jak i system praw winny być konstruowane tak, by tę swobodę ograniczać w stopniu minimalnym (ten warunek w obydwu przypadkach nie jest dziś spełniony!) ale nie znaczy to, że są zbędne. Tak samo jak koleje pośrednio oszczędzają życie ludzkie - tak samo i prawo chroni życie ofiar. Ofiar, które na ogół należy żałować bardziej niż ich morderców - ale to już inna sprawa.

Dlatego uważam prawo za dyscyplinę ściśle techniczną, a na system sądownictwa patrzę jak na zwykły mechanizm. Im bardziej jest on bezosobowy - tym lepiej; Temida ma zawiązane oczy!

Ofiary tych systemów dzielą się na dwie kategorie: świadome i przypadkowe. Pierwsze nie spędzają mi snu z powiek: jeśli ktoś świadomie kładzie głowę na szynach - to jego śmierć jest kwestią jego sumienia, a nie mojego. Podobnie, jeśli ktoś planuje morderstwo wiedząc, że grozi za nie KS. Wie, co robi - i żal mi raczej jego ofiary (choć bywają sytuacje odwrotne, niesłychanie dramatyczne!) Tak nawiasem: zwolennicy KS używają argumentu „Drżącej Ręki” (że niby potencjalny zabójca w ostatnim momencie może się zawahać, wspomniawszy KS); nie bardzo w to wierzę - ale wiem, że zawodowi złodzieje starannie kalkulują przestępstwo w zależności od ustawowego zagrożenia: nie widzę powodu, dla którego zabójstwo z premedytacją miało być wyjątkiem.

Bez wątplenia istnienie obydwu systemów pociąga też za sobą ofiary przypadkowe. Samochód rozbity na przejeździe, kobieta, która we mgle zbłądziła na tory, wykolejenia, zderzenia... Nie ma jednak systemów idealnych - a ci, co chcą stworzyć system doskonały, budują zazwyczaj dom niewoli: proszę przypomnieć sobie „falanstery” Karola Fouriera. To samo dotyczy i systemu sądownictwa: trzeba sobie śmiało powiedzieć, że ofiary niewinne będą.

Odróżniamy dwa poziomy: twórcy systemu - i jego użytkownika. Budowniczy autostrady - jeśli jest człowiekiem myślącym - wie, że tworzy maszynę do zabijania ludzi; nie powstrzymuje go to jednak. Mimo to każdy kierowca zamiast zamknąć oczy i mówić fatum, ma obowiązek uniknięcia zbłąkanego na szosie przechodnia. Podobnie i sędzia nie może powiedzieć, że ofiary być muszą, a Bóg rozpozna niewinnych - lecz musi ze wszystkich sił minimalizować liczbę błędów. Jednak ten, co decyduje o utrzymaniu lub zniesieniu KS nie może patrzeć na sprawę z optyki sędziego - lecz minimalizować ogólną liczbę ofiar w społeczeństwie i dlatego nie może brać pod uwagę opinii sędziego, który widzi problem jednostronnie, licząc posłanych na szafot - ale nie liczy tych, którzy dzięki KS nie zostali zamordowani; powtarzam do znudzenia: opinia

zainteresowanych jest zawsze opinią spaczoną!!

To wszystko jest banalne. Można by się więc zgodzić z opinią wyrażoną w telewizyjnej dyskusji: Zróbmy experiment: znieśmy na 5 lat KS - i zobaczymy, czy liczba morderstw wzrośnie!

Można tu stosować dwa kryteria. Jedno: jeśli liczba morderstw wzrośnie rocznie o 5, ale zaoszczędzi się 7-miu kaźni - to zmiana była opłacalna. Można jednak argumentować, że życie ofiar winno być cenione i chronione wyżej - i wówczas nawet minimalny przyrost morderstw byłby wynikiem negatywnym. Z kolei w tej dziedzinie mały przyrost jest statystycznie niesprawdzalny...

Zamiast więc prowadzenia wątpliwych eksperymentów na żywym ciele społeczeństwa skorzystajmy z szansy przeprowadzenia pewnego eksperymentu myślowego. Jest to znacznie tańsze.

Otóż przeciwnicy KS argumentują - słusznie - że jest to kara straszliwa. Zróbmy założenia, że (podobnie jak z innymi relikami „barbarzyńskiej” przeszłości, jako to: honor, wolność podróżowania bez paszportu, wolność handlu, prawna pozycja mężczyzny etc.) rozstajemy się z karą śmierci. Od 1 lipca nie obowiązuje. Zamiast niej orzeka się 25 lat. Zgodnie z twierdzeniem przeciwników KS ma to nie spowodować wzrostu liczby morderstw.

Teraz mój argument: przychodzę 2 lipca i proponuję: Znieśmy za morderstwo karę 25 lat więzienia i wprowadźmy zamiast niej 15 lat!!

Jeżeli rezygnacja ze straszliwej kary i zastąpienia jej 25-letnim (lub dożywotnim) więzieniem nie spowoduje wzrostu liczby morderstw - to tym bardziej nie powinna tego spowodować zwykła redukcja zagrożenia latami więzienia!

Rozumując dalej ad absurdum - co jest jedną z najsilniejszych znanych w logice metod dowodu - można twierdzić, że i kolejna redukcja do 5-ciu lat - a następnie do 1 dnia więzienia również nie spowoduje przyrostu morderstw!!

To rozumowanie - które uważam za nie do obalenia - wcale nie osłabia argumentów przeciwników KS!!! Ukazuje tylko, że są to argumenty wywodzące się z ducha anarchii. Całkiem możliwe, że anarchiści mają rację i sam system moralny społeczeństwa, bez pomocy prawa państwowego, jest wystarczający! Być może społeczeństwo samo powstrzyma, reedukuje lub wyizoluje potencjalnych morderców.

Przynaję jednak, że boję się całkowitego zniesienia kary za morderstwo. Po prostu: boję



się! Społeczeństwo jest zasadniczo bardzo zdrowe - ale zawsze znajdują się w nim jednostki wyjątkowe, całkowicie pozbawione sumienia, słabo powiązane ze społeczeństwem. Są wśród nich mizantropi - i odwrotnie, miłośnicy Człowieka gotowi dla Jego dobra wyróżnić połowę ludzkości. Są myzogyni, jak Kuba-rozpruwacz. Są zapewne i tacy, co nienawidzą mnie. A spośród nich zapewne część powstrzymywana jest przez obawę przed szubienicą.

Boję się więc bardzo zniesienia kary za morderstwo. Złagodzenia tej kary boję się trochę mniej - tym niemniej też się boję, bo rozmaici mordercy mogą - nie bez pewnych szans - liczyć na amnestie, trzęsienia ziemi, skrócenia kar, bunty w więzieniu, wojny itp, wydarzenia.

Moja obawa jest czysto rozumowa. Z usposobienia jestem ryzykantem i sytuację opisaną w nowelce „Mówi Moskwa...” [Science-fiction Mikołaja Arzaka: na jeden dzień znosi się wszelkie kary za morderstwa i zabójstwa.] przyjąłbym z zainteresowaniem, uzbroiwszy się należycie. Jednak ten nieszczęsny rozum... Proszę więc mnie przekonać, że nie mam racji - a z największą rozkoszą przyłączę się do przeciwników kary śmierci.

Na razie jednak z ciężkim sercem opowiadam się - za!

## KREW NA ULICACH

Jak Państwo wiedzą jestem upartym optymistą. Jednak uczciwość nakazuje mi wyznać, że mimo nadal optymistycznego nastroju zauważam w obecnej sytuacji niepokojące symptomy.

Niedawno minęła dwusetna rocznica ścięcia na gilotynie Ludwika XVI - króla Francji, który zawinił, podobnie jak śp. Mikołaj II, nadmierną ustępliwością wobec czerwonej hałasty. Warto więc poświęcić chwilę historycznym analogiom.

Otóż sytuacja we Francji była wówczas mniej więcej zbliżona. Na parędziesiąt lat przed rewolucją pojawił się niejaki Adam Smith. - Facet ten - podobnie jak w naszych czasach Fryderyk von Hayek - przekonywał ludzi i rządy, iż najlepszym sposobem gospodarowania jest wolny rynek.

Spotykało się to początkowo z kpinkami, potem z oporami podświadomości wychowywanej w duchu etatyzmu („Państwo to ja” - mawiał Król-Słońce...) wreszcie się udało: właściwie wszyscy zgodzili się, że wolny rynek, to jest to! Wszyscy zaczęli mówić o wolnym rynku - z ówczesną Lewicą włącznie, a nawet na czele. Co oni przez to rozumieli - to już inna sprawa.

Król prowadził grę niezdecydowanie. Najpierw mianował premiera wolnorynkowca - potem, pod wpływem nacisków ludności, zmienił go na tradycyjnego merkantylistę. Sytuacja w wyniku mianowania pierwszego nie poprawiła się specjalnie, gdyż reformy nie były konsekwentne - w wyniku mianowania drugiego rozpoczęło się gwałtowne spożywanie resztek rezerw państwowych. Przy pierwszym załamaniu sytuacja stała się groźna. Niepewne kierownictwo polityczne dopięło dzieła. Francja spłynęła krwią, komuna różnej maści święciła tryumf (do dziś zresztą świętuje się rocznice tych barbarzyńskich mordów!).

A co się dzieje tu i teraz? Wszyscy mówią o Wolnym Rynku. P. prof Milton Friedman przyjmowany jest z honorami nie tylko w Warszawie, ale i w Pekinie. Zasady wolnego rynku uznają socjaliści z PPS, socjaldemokraci z SdRP i z ROAD-u, a nawet komuniści z powstałej niedawno osobnej partii (nawet nie znam jej nazwy ale takowa istnieje). Również Wolność jako taka nie schodzi ludziom z gęby - każdy sobie wyciera w/w gębę serwetką z napisem „Wolność”.

Czasem nawet jest to „Wolność nasza i wasza”.

A teraz popatrzmy na konkrety:

- walcząca o wolność i samorządność Rada Miasta St. Warszawa ustanowiła solidne

restrykcje dla ludzi pragnących zostać taksówkarzami - a także dla tych, co już są taksówkarzami,

- walczący o wolność i wolny rynek demokratyczni liberałowie zaczynają swe rządy od podniesienia ceł i podatków,

- walczący o wolność i swobodę drobni producenci, - czyli rolnicy - domagają się od państwa dodatkowych ceł, a także sztywnych cen na produkowane przez siebie artykuły rolne,

- walczący o wolność i niezależność Litwini rozpoczynają od ustanowienia posterunków celnych na granicy z Polską - ale i z Białorusią, a także od zakazu sprzedawania w sklepach towarów ludziom obcym,

- walczący o wolność i własność Rosjanie konfiskują obywatelom ich własność - czyli 50- i 100-rublowe banknoty. Byłoby ciekawym porównanie własności majątków skonfiskowanych podczas rewolucji październikowej - i obecnie!

- walczący o wolny rynek czescy liberałowie ustawiają póki co na granicy z Polską dodatkowych celników,

- walczące o wolny rynek i kapitalizm kraje cywilizacji atlantyckiej ustanawiają zakazy zatrudniania u siebie obcych obywateli.

Innymi słowy: liberalizm kwitnie nam głównie w gazetach. Natomiast w dziennikach ustaw widzimy dokładnie coś odwrotnego. Bardziej może niepokojące są inne symptomy. Słowo „Wolność” nader często myłone jest z anarchią. Gdy dwadzieścia kobiet układa się na szosie prowadzącej do bazy wojskowej, to jest to uznawane za demonstrację ich wolności (a to, że wojsko nie może do swojej bazy wjechać to już, rzecz jasna, żadnym ograniczeniem nie jest). Gdy tysiąc demonstrantów przez dwie godziny blokuje główną ulicę - to jest ich Prawo do Wolności - a to, że 10 tysięcy innych ludzi nie może ta ulicą przejechać - to nikogo nie obchodzi. Tamto to Zwyczajni Ludzie - a my walczymy o wolność Bojowników o Wolność!

Armia i policja są rozkładane od wewnątrz i zewnątrz. Są atakowane moralnie - i w efekcie policjant boi się strzelić do bandziora. Skoro zaś nie wolno mu strzelić do bandziora bez krzyknięcia trzy razy „Stój, Urząd Ochrony Państwa” i oddania strzałów ostrzegawczych (uwaga: rekord świata w wyciąganiu spluwy z kabury i oddaniu celnego strzału do ćwierćdolarówki to 22 setne sekundy!) - to w ogóle boi się wyjść i patrolować ulice.

Wojsko uczone jest, że ma walczyć o pokój - a nie np. o słuszną sprawę, bezpieczeństwo granic lub przywrócenie równowagi międzynarodowej. Wojsko oduczyło się strzelać - gdyż ileś

lat wcześniej popierało tych, co strzelali do niewłaściwych osób. W związku z tym istnieje poważna obawa, że gdy w przyszłości będzie musiało walczyć z motłochem zagrażającym życiu i zdrowiu mieszkańców - to po prostu wżruszy ramionami i zachowa neutralność.

Jak zaś wiadomo od dawna, do tego, by zatryumfowało zło wystarczy obojętność ludzi dobrych... Co, oczywiście, nie znaczy, że siły zbrojne składają się wyłącznie z aniołów - natomiast znaczy, że sama instytucja jest dobra. Na co oczywistym dowodem jest to, że w świecie istnieją wyłącznie państwa posiadające armie - zaś państw bez sił zbrojnych właściwie się nie spotyka. Gdyby wojsko było rzeczą złą, dominowałyby te drugie.

Podobna sytuacja istniała właśnie we Francji. Król nie chciał wydawać rozkazu strzelania do demonstrantów - po części z powodu własnych skrupułów moralnych, po części z obawy, że zarażeni „humanitaryzmem” żołnierze mogliby odmówić. No, i doczekał się gilotyny.

Sytuacja po rewolucji z trudem usprawiedliwiałaby nazwę „rewolucja burżuazyjna”. Własność konfiskowano, wolności produkcji nie było, władze rewolucyjne w ramach wolności ustanawiały cła lub zakazy przywozu, sztywne ceny państwowe na mąkę i inne towary, zakazy i nakazy pracy - innymi słowy zamordyzm był jak za Ludwika XIV, tyle, że wsparty terrorem. Francja otrząsnęła się z tego dopiero po parudziesięciu latach. Tak naprawdę: dopiero wówczas, gdy rząd Thiersa rozstrzelał komunardów w 1870-tym.

Ja w dalszym ciągu podtrzymuję tezę, którą napisałem w 1979-tym roku (w komentarzu do wydanej przez Oficynę Liberałów znakomitej książki Aleksandra Trzaski-Chrząszczewskiego „Przypływy i odpływy demokracji”): Polska wróci do normalności dopiero po pewnym katharsis. Też musi polać się krew na ulicach. Rzecz w tym, że jeśli przełom nastąpi wcześniej, to krwi będzie mało lub właściwie w ogóle. Jeśli zaś pozwolimy chamom i socjalistom umocnić się na pozycjach - to walka będzie bardzo krwawa. Pora więc naprawdę o przyspieszenie.

## PERSONIFIKACJA

Ten tekst jest przyczynkiem do dyskusji o istocie różnicy pomiędzy teorią - a polityką praktyczną. Przyczyn, dla których monarchie trwają dłużej i działają skuteczniej, niż demokracje i inne takie, jest dwie:

- po pierwsze: monarchia oznacza jednoosobową władzę i odpowiedzialność. Dzięki temu decyzje mogą być podejmowane szybko - i są odpowiedzialne. Król Rurytanu, decydując się na wojnę wie, że ryzykuje dziedzictwem, które przejdzie na dzieci i wnuki - i wie, czym ryzykuje, jeśli wojny nie wypowie. W każdym razie: ryzykuje swoim. Poddani ryzykują tylko tyle, że zostaną poddanymi kogo innego - i ten inny też zaprzysięgnie przestrzegać ich ustalone od wieków prawa i przywileje. Natomiast prezydent Poronii dokładnie odwrotnie: sam ryzykuje niewiele, bo kraj nie jest jego własnością, a on z kasą może zwiać (tu Hitler był, trzeba przyznać, uczciwy: nie zwał) - natomiast obywatele zostają przez ludową wojnę na ogół solidnie podniszczeni finansowo...

- po drugie: ludność kraju wie, komu jest poddana.

Każdy konserwatysta wie, że tego czynnika nie wolno lekceważyć. Ogromna większość ludzi potrafi lubić i szanować Karola V lub Zygmunta Augusta (lub ich nie lubić - lecz nie lubić osobnika odzianego w purpurę, przed którym schylają głowy najwięksi magnaci jest prostemu człowiekowi bardzo trudno!). Natomiast niewielu tylko potrafi kochać rzeczy abstrakcyjne!

Dlatego o wiele łatwiej znaleźć ludzi gotowych umierać za Króla - niż za Republikę. Łatwo sobie wyobrazić, że nieprzyjaciel może oślepić mojego Króla i zgwałcić moja Królowę (jak to uczynił np. Bolesław Chrobry z księżniczką kijowską) - i dlatego w ich obronie warto wytężyć siły. Natomiast gwałt zadany Republice... Że komu, proszę? Co się tej waszej „Republice” stało? Że kto inny jest jej prezydentem? I tak się zmieniali co kilka lat... Że zamiast Prezydenta jest Król? No, i dobrze: przynajmniej popatrzymy na koronację! Że Król mówi obcym językiem? Jagiełło, Batory, Walezy, Waza, August Mocny i inni też nie mówili po polsku - a czy każdy obecny Prezydent dobrze mówi po polsku? To, że nie wybrał Go nasz Sejm? Ten Sejm? Ci złodzieje? Zobaczymy, czy wybrany przez kogo innego nie będzie lepszy!!

Oszukując Skarb w monarchii okrada się kogoś - Króla, konkretnie. Okradając Skarb Rzeczypospolitej nie okrada się nikogo - a raczej miliony osób (w tym i siebie!). To się jakoś rozplywa. Podobnie: ordynatorzy w RFN bez skrupułów oszukiwali ubezpieczalnię na 700.000

DM - ale nie oszukaliby pacjenta na 2000!!

Władza uosobiona jest władzą ludzką. Człowiek przywykł do życia wśród ludzi, a nie wśród abstraktów - stąd tylko część ludzi gotowa jest walczyć o abstrakty, jak np. o Sprawiedliwość, o Wolność... Inni nie robią tego nie dlatego, że są źli - tylko dlatego, że nie umieją sobie tych abstraktów wyobrazić! Oddadzą ostatnią koszulę, by wyrównać krzywdę Kowalskiego - ale nie dadzą stu złotych na walkę o Sprawiedliwość jako taką!!

Gdy narzekamy, że LTPR nie jest masowo popierana - pamiętajmy o tym prostym zjawisku! Pamiętajmy, że 40% obywateli RP nie jest w stanie zrozumieć treści Wiadomości TV! Pamiętajmy, że wprowadzie Pułk Preobrażenski na żądanie Dekabrystów skandował „Niech Źyje Konstytucja!” - ale tylko dlatego, że oficerowie powiedzieli im, że Konstytucja to jest żona księcia Konstantego!!!

To samo zjawisko działa jednak i w drugą stronę!

Dziwimy się często, że ludzie uparcie nie chcą walczyć z Komunizmem, czy Socjalizmem. Nie chcą - z dokładnie tych samych powodów.

Kapitałiści są indywidualni. Gdy Kowalski (a jeszcze lepiej: Rotstein!) skrzywdzi przy wypłacie Wiśniewskiego - sprawa jest jasna. O wiele trudniej zmobilizować ludzi do zrozumienia krzywdy, jaką odnoszą np. emeryci przez to, że wielu rencistów wyłudziło swoje renty. Rencista Zieliński zarobił - a gdzie jest pokrzywdzony?

Ludzie po prostu nie rozumieją tego, że UPR nie znosi Socjalizmu.

Mogą zrozumieć, że zwalczamy pp. Jaruzelskiego i Cioska, przyjmują do wiadomości, że zwalczamy pp. Kuronia i Michnika - ale wyróżnikiem ich jest to, że należą do jednej szajki - a nie, że mają takie same poglądy!! Stąd dopiero po tym, jak pp. Jaruzelski i Michnik zaczęli się wzajemnie wychwalać, ludność zaczęła (z oporami) przyjmować do wiadomości, że jest to jeden lewicowy gang. To, że Józef Piłsudski bił się z Sowietami niemal automatycznie czyni zeń przeciwnika Czerwonych! Poglądy Piłsudskiego? Ależ: kto to rozumie!

To samo dotyczy sprawy p. Kuklińskiego - i podobnych. Ważne: przeciwko komu działał, a nie: czy postępował słusznie! I dopóki p. Jarosław Kaczyński będzie gromił pp. Kuronia i Cioska, dopóty dla połowy społeczeństwa będzie On (w przeciwieństwie do oceniającego każdego człowieka z osobna, wg. aktualnych poglądów, Janusza Korwin-Mikke) zawziętym wrogiem Czerwonych.

Nawet, gdyby domagał się całkowitej urawniłowki, sprawiedliwości społecznej,

wspólnoty żon, upaństwowienia fabryk - a dla szybkiego skończenia z Czerwonymi i urzeczywistnienia tych ideałów zażądał wprowadzenia czerezwyczajki!

## UWAGA: FASZYZM!

Z mieszaniną satysfakcji i niepokoju chcę przypomnieć Czytelnikom, iż moje prognozy co do rozwoju politycznej sytuacji w Polsce niestety się sprawdzają.

Nie mam zamiaru zajmować się popularnymi obecnie kawiarnianymi rozważaniami, których Autorzy dodają do siebie lub odejmują elektoraty partyj i partyjek w wyborach prezydenckich [Chodzi o wybory prezydenckie 1995 r.]; jest to totalny bełkot, w dodatku zaciemniający sens dokonujących się w naszym życiu politycznym przemian. Zajmę się procesami trwałymi.

Trwałym jest proces porządkowania sceny politycznej. Mamy na niej obecnie:

a) Prawicę, składającą się z Unii Polityki Realnej (wraz z wchodzącą w jej skład autonomiczną Partią Republikańską odcinającą się od nadmiernej ekspozycji katolicyzmu w polityce) i innych partyj Porozumienia 11 Listopada (Partii Konserwatywnej, Partii Chrześcijańskich Demokratów, Stronnictwa Ludowo-Chrześcijańskiego, Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego), Republikanów p. prof. Religi, częściowo niektórych stronnictw narodowych (w tym Unii SpołecznoNarodowej), częściowo (1/5) Unii Wolności, ok. połowy ZChN oraz części PC, SdRP i RTP. Do jej krystalizacji potrzeba rozpadu partyj stojących okrzakiem na barykadzie.

b) Lewicę, składającą się z UP, PPS, SLD i 3/5 Unii Wolności (przypominam, że sama UD należała do trzech (!!!) Międzynarodówek: Socjalistycznej, Demokratycznej i Liberalnej). Powstanie jednolitego obozu socjaldemokratycznego, który otwarcie przyznałby się do chęci wzięcia odpowiedzialności za Polskę bardzo rozjaśniłoby życie polityczne. Dość powiedzieć, że wg Sopockiej Pracowni Badań Społecznych 60% obywateli uważa Jacka Kuronia (w rzeczywistości będącego poglądami na lewo od p. Aleksandra Kwaśniewskiego) za przedstawiciela Prawicy (o co właśnie chodzi „rozgrywającemu” socjaldemokracji, p. prof Bolesławowi Geremkowi).

c) faszyzujące Centrum... tu od razu wyjaśniam, że przez „faszyzm” nie rozumiem broń Boże socjalizmu narodowego a la Adolf Hitler - lecz normalny faszyzm w stylu włoskim. W warunkach polskich składa się nań: socjalizm i interwencjonizm w gospodarce, „matczyne” traktowanie obywatela i rodziny, syndykalizm i walka o „człowieka pracy”, etatystyczny nacjonalizm, otwarta katolickość i lekki odruchowy anty-semityzm, i wreszcie marzenia o



Imperium (Lwów, Wilno).

Do tego Centrum zaliczyć należy:

1. Sekretariat Ugrupowań Centro-Prawicowych plus reszta PC, RdR i RTR.  
2. Odcinające się od wolnego rynku ugrupowania narodowe, w tym narodowosocjalistyczna frakcja ZChN.

3. „Solidarność”

4. PSL, coraz bardziej zbliżające się do Centro-Prawicy i KPN-u.

5. KPN

Wszystkie te partie nie różnią się zbytnio programami (o ile je mają, oczywiście). Brakuje im tylko Wodza.

O ile mi wiadomo p. Lech Wałęsa chciałby otrzymać poparcie tych formacji w Swych staraniach o reelekcję - a nawet, gdyby nie startował, stanąć na czele tej formacji i krytykować z dowolnych pozycji rządzącą centro-lewicową koalicję (bo nie ulega dla mnie wątpliwości, że po wyborach prezydenckich i - obiecanych przez p. Kwaśniewskiego - przedwczesnych parlamentarnych dojdzie do „węgierskiej” koalicji: SLD plus Lewica UW; mówi się też o porozumieniu pp. Geremka i Wiatra, zakładającym sojusz socjal-liberalny już po wyborach prezydenckich, gdyż istnieje obawa, że UW mogłaby w nowych wyborach spaść do roli marginalnej). Gdyby tak się stało, do stawki doszłusuje przynajmniej część BBWR (przypominam, że w Niemczech część konserwatystów, zmylona hasłami o „silnej władzy”, w pierwszych dwóch latach poparła Adolfa Hitlera; zapomniała o słowach Winstona Churchilla, że „dyktator jest wszechpotężny, bo siedzi na tygrysie; nie może jednak z niego zsiąść, bo zostanie pożarty”). Możliwe jest jednak, że pojawi się tam inny Wódz (Romuald Szeremietiew?)

Jaki będzie tego efekt? Jestem realistą. O ile Lewicę obliczam na ok. 40% głosów, to Prawica może liczyć na 25-30%. Jest to jednak bez większego znaczenia, bo w Parlamencie (o ile utrzymamy d\*\*\*krację) rządzić będzie to właśnie faszyzujące Centrum!

To ono - grożąc zawarciem koalicji raz z Lewicą raz z Prawicą - będzie wymuszać korzystne dla siebie rozwiązania, szerzyć swoją propagandę i obsadzać kluczowe stanowiska. Dla tego elektoratu-politycznie niezbyt wyrobionego - za każdym razem będzie politycznie wiarygodne (raz bowiem pomacha chorągiewką narodową - a raz upomina się o prawa człowieka pracy). Natomiast Lewica nie może zawrzeć porozumienia z Prawicą - tym samym obydwie te formacje zostaną zmarginalizowane.

Jeśli Konstytucja nie zapewni silnej pozycji Prezydenta, który przypadkiem okazać się może człowiekiem z charakterem (przypominam, że p. Ronald Reagan wygrał wybory samotnie - na 20 lat przed objęciem władzy przez Prawicę) - to ześlizg Polski w kierunku tak rozumianego faszyzmu jest nieunikniony.

Obym się mylił.

## LITERACI

Stary dowcip głosił, że aby zostać za czasów Bieruta członkiem Związku Literatów Polskich trzeba było wydać co najmniej jedną książkę i dwóch kolegów. Odsuwając żarty na bok należy jednak zauważyć, że w dawnych dobrych czasach, gdy telefony nie były tak rozprzestrzenione, zaś podsłuch na nich i owszem - na to, by donieść trzeba było umieć pisać. Anonimu - zwłaszcza zawierającego nazwisko podejrzanego - nie da się nasmarować pismem obrazkowym.

Z tego punktu patrząc nie należy się dziwić, że Władza Ludowa walczyła z analfabetyzmem, zaś największy procent agentów i zwykłych donosicieli był właśnie wśród intelektualistów. Jest to układ wręcz naturalny i konieczny - tym bardziej, że taki literat pisze znacznie ciekawsze (artystycznie) donosy.

Poza agentami wśród intelektualistów zawsze było pełno zwolenników Lewicy - z powodów, o których pisałem już wielokrotnie. Monopol ten był strzeżony zazdrośnie - do tego stopnia, że odkryłem ze zdumieniem, że w słynnej bibliotece British Museum (gdzie m.in. szkolił się Karol Marx) w sali głównej znajdują się wszyscy postępowi pisarze, z autorem „Dawida Copperfilelda” na czele - natomiast Kipling (znany reakcjonista, anty-feminista, militarysta itd.), został wyrzucony do jednej z sal bocznych; odnieść można wrażenie, że Wielka Brytania wstydzi się tego pisarza.

Jest jednak zastanawiające, jak lewicowi intelektualiści solidarnie się nawzajem wspierają. Służą do tego organizacje typu „Pen Club” będące swoistą „Międzynarodówką” - lub, jak kto woli, masonerią - dla piszących. Tam ustala się, kto jest swój, a kto nie.

Niewątpliwie dobra jest Konopnicka oraz Mickiewicz (ale tylko do czasów dojrzałości; Księgi Pielgrzymstwa Polskiego już są podejrzanę!). Sienkiewicz jest, oczywiście, zły. Kryteria są nie całkiem ostre - ale orientacja jest jasna.

W stalinizmie kryteria były ustalane przez urzędników, co czasem prowadziło do zamieszania. Jednak i bez urzędników dzielni intelektualiści wiedzą, kto jest dobry, a kto zły. Gdy w latach 60-tych żaden urzędnik nie słyszał jeszcze o „Socjo-biologii”, rewelacji w naukach biologicznych i społecznych, kilku pseudo-uczonych (tzn. „pracowników nauki”) wystąpiło na łamach {”Polityki”} z tezą, że tej reakcyjnej nauki do Polski nie dopuszczają. I nie dopuścili!! Do dziś!!! W efekcie uczeń polski miota się między niedoskonałą teorią ewolucji taką, jaką Pan

Darwin stworzył a kreacjonizmem; to ostatnie b. denerwuje postępowych pracowników nauki - ale przynajmniej potrafią to nazwać Ciemnogrodem i mają spokój. Socjo-biologia stwarza im „dysonans poznawczy”: czy coś, co sprzeczne jest z nauką Ciemnogrodu, może być postępowe, skoro przecież jest reakcyjne???

Po 1956-tym, 70-tym, 81-szym itd. latach urzędnicy nie zakazywali Sienkiewicza - a Oświeceni byli przeciw niemu i robili co mogli, by Go zohydzić w oczach Czytelników. Bezskutecznie zresztą: „inżynieria dusz ludzkich” ma swoje, na szczęście, granice. Teraz stosują lepszą technikę: zapomnieć Sienkiewicza, niech żyje porno!

Na razie pozostajemy w kręgu piszących tradycyjnie. W tej dziedzinie też istniały dwie podstawowe hierarchie: „postępowa” i „komunistyczna” - które to - w miarę jak „realny socjalizm” odchodził od Ideałów Prawdziwego Socjalizmu - stawały się odmienne. Różnie się to w różnych krajach układało: w niektórych przewagę mieli zimni biurokraci z Moskwy, coraz bardziej anty-semiccy; w niektórych pro-żydowski intelektualiści z Nowej Jerozolimy - pardon: Nowego Jorku.

Dobrzy byli pisarze, których w rodzinnych krajach nikt nie czytał (poza intelektualną wierchuszką, być może) - ale którzy byli postępowi: Jan Steinbeck, np. - dopóki nie poparł swego kraju w wojnie Viet-Namskiej; gdy poparł, dla komunistów stał się Wrogiem Sowietów, a dla Postępowych - wstrętnym militarystą (gdyby protestował przeciwko USArmy, byłby bohaterem; gdyby protestował przeciwko Armii Sowieckiej, zostałby zyty milczeniem: przez komunę cenzuralnym, przez Postępowców zakłopotanym).

Dobrzy byli: Jan-Paweł Sartre i jego żona (jak jej tam było?) - co prawda komunistom nie podobało im się, że na starość Sartre przeszedł był do trockistów - ale zawżdyć to też Lewica. Tak samo znakomita poetka francuska Elza Triolet (pewno pseudonim?) i jej mąż, jeszcze znakomitszy poeta (jak mu to było?) i jeszcze wybitniejszy członek francuskiej KomPartii. Wydawano tych francuskich pisarzy w nakładach, na jakie w rodzinnym kraju nie mogli liczyć. Ale: od czego jest Międzynarodówka? Od tego, by marnym pisarzom, za granicą nadawać ogromną markę; nie ma obawy: za granicą ich nie rozdemaskują (z uwagi na trudności przekładu...) Dobrze - ba, znakomite! - były filmy Passoliniego (facet był złodziejem, pedałem i członkiem Włoskiej Partii Komunistycznej!). Dopiero niedawno dowiedziałem się natomiast, że ulubiona aktorka Passoliniego, p. Vanessa Redgrave (chyba pseudonim?) to agentka Międzynarodówki Trockistowskiej. To, że szmirus Marek Chagall został wybitnym malarzem

dlatego, że był Żydem i bolszewickim komisarzem w Witebsku - to oczywiste. O dziwo, nie odegrały tu roli walory osobiste: znakomita pisarka Izabella „Czajka” Stachowicz (też zresztą Żydówka) pisze o Chagallu z niekłamanym obrzydzeniem... Nigdy tylko nie mogłem zrozumieć, dlaczego postępowi literaci tak nienawidzili Waltera Disney’a, czyniąc zeń wręcz człowieka odpowiedzialnego za artystyczną deprawację młodego pokolenia. I dopiero teraz, gdy dowiedzieliśmy się, że kapował on do FBI na swych kumpli-komunistów, zrozumiałem, że Myszak Miki i pies Huckelbury to rzeczywiście twory beztalencia... gdybyż przynajmniej Miki był homoseksualistą...

Jednego jednak nadal nie rozumiem: czy Czerwoni tylko wyczuwali - czy też mając wtykę w FBI wiedzieli, że Disney kapuje - a nie rozgłaszali tego z ogólnej niechęci do lustracji?

## „ZIELONI” I „NIEBIESCY”

Od samego początku swego istnienia Lewica wysuwała program oświatowy. O ile Prawica twierdziła, że wiedzę należy podawać tylko tym, którzy tego pragną, a ci, co uwielbiają żyć w ciemności i zacofaniu, powinni w nim żyć *suum bonum cuique*, o tyle Lewica tłumaczyła, jakie to szczęście spotkać Ludzkość, gdy opierających się i wrzeszczących nieboraków porwie się siłą z Pieczar Ciemności i wyniesie na Jasne Światło Wiedzy.

Lewica do władzy się dorwała - i ciężko doświadczona Ludzkość mogła już tylko z przerażeniem zamykać oczy - hale tam! Ręce od ócz oderwano przemocą i kaganek oświaty podtykano pod same powieki, czasem rżęsy osmalając. Od tej pory parobek od wideł, mający dotąd tylko jeden problem: „jak zarobić na pół litra?” - budzi się— nocami z krzykiem, gdyż Syriusz zbliża się do Ziemi z prędkością 6 mln km na godzinę - i ani chybi za paręset milionów lat się zderzymy. Jego zaś dziewczyna chlipała w kącie, nie wiedząc tak na pewno, czy egzystencja wyprzedza esencję, czy też nie (czytelnikom, którzy zapomnieli, podpowiadam: wyprzedza, ale nic z tego nie wynika).

Ludzie wzięli w ręce nie tylko własny, lecz cudzy los, np. przerywając życie swoich dzieci u samego zarania lub też głosując w wyborach powszechnych, dzięki czemu moje losy zaczęły zależeć od tego parobka od wideł. Innymi słowy, zaczęło być nowocześnie albo i jeszcze gorzej.

Nie da się ukryć, że Lewicy udało się wlać w obywateli (od tej pory już nie ludzi, a obywateli) sporo wiedzy. Dzięki temu rozkwitły w gazetach rubryki pt. „horoskopy”, p. Daeniken zaczął osiągać milionowe nakłady, a „latające talerze” stały się gościem w każdym domu.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że obywatele stali się dzięki temu wyłącznie bierną masą, podatną na obróbkę ideologiczną za pomocą prasy, szkół i uniwersytetów. Ludzie stali się twórczy!

Przypomnijmy raz jeszcze cele Lewicy. Ludzie powinni być - dzięki oświacie - oderwani od tak przyziemnych spraw, jak żarcie, picie i kopulacja - a zwróceniu twarzą ku celom wyższym. Nie powinni zajmować się też zyskiem, nie powinni „mieć”, powinni „być”. Powinni też „być” bezinteresownie.

Owóz jadąc pociągiem stwierdziłem z całą stanowczością, że swój cel Lewica osiągnęła:

wszystkie ściany oraz część budynków upstrzona jest napisami: „RTS Tude-Raus”, „Legia ch...”, „Wisła-k...” itp.

Wbrew pozorom, napisy te nie świadczą tylko o tym, że Lewicy udało się wszczepić Ludowi szlachetną sztukę pisania. Świadczą także o tym, że nasza młodzież jest absolutnie bezinteresowna (bo nikt jej za to nie płaci, natomiast płatną pracę młodzież wykonuje, zgodnie z zaleceniem Lewicy, niechętnie i z obrzydzeniem).

Poza samo-się-realizacją poprzez pisanie na płotach, młodzież demonstrowuje wielką ofiarność w walce o Ideały (bo jadąc na obcy stadion można mieć solidnie rozbitą głowę), a także przywiązanie do wartości abstrakcyjnych, gdyż kolor szalika nie ma - poza symbolicznym - innego realnego znaczenia.

Z pewnym niepokojem można tu zauważyć, iż w chylącym się ku upadkowi cesarskim Rzymie zachodziły kubek w kubek takueteńskie procesy: upadło normalne życie polityczne; nikogo nie interesowały spory popularów i optymatów - natomiast prawdziwymi stronnictwami politycznymi byli „zieloni” i „niebiescy”, od koloru ubiorów zawodników, bodajże woźniców i rydwanów... Niestety: moja nauczycielka historii zapomniała mi powiedzieć, do którego stronnictwa należał ostatni cesarz Rzymu...

Podobno Polska przeżywa obecnie kryzys gospodarczy. Nie uwierzę w żaden kryzys ani żadną biedę dopóty, dopóki młodzież będzie nadal tak romantycznie idealistyczna - zamiast w pocie czoła pracować na kawałek schabowego z odrobiną kapusty. Niestety, wbrew „Rocznikowi statystycznemu”, coraz więcej jest ludzi mających sporo pieniędzy i wolnego czasu. Tam może społeczeństwo wychowywać swą arystokrację - zdeprawowanych zastępują młodzi. Gdy natomiast w słodkim nieróbstwie i idealizmie pograżają się szerokie warstwy społeczne - zamiast się dorabiać - to nieuchronnie nadciąga nieszczęście.

Oczywiście: szalikowcy nie są jedynymi idealistami w Polsce. Mamy np. rozmaitych ekologów, cierpiących na brak gotówki, którzy zamiast zarabiać, wolą protestować przeciwko „Żarnobyłowi” lub tamie w Czorsztynie. Ja zresztą jestem pełen podziwu dla nich - lecz podziw ten tylko wtedy byłby realny, gdyby płacili (lub odsiadywali) nałożone na nich kary. Anarchista pracujący w pocie czoła, by z zarobionymi pieniędzmi pojechać protestować - i uczciwie zapłacić grzywnę - to byłby ktoś. Gdy kolejni ministrowie zachęcają ich do protestów, zapewniając, że włos im z głowy nie spadnie, mój podziw spada w okolice zera.

Ekologowie przy tym trzymają się mocno, choć należą do różnych orientacji.

Na przykład pewna pani oburzyła się, że wyzwiałem niektórych ekologów od faszystów, a przecież ona nie jest faszystką ani lewaczką. Otóż Hitler też był wegetarianinem i też popierał ochronę przyrody. Oczywiście: nie wynika z tego, by pani ta była faszystką! Pytanie brzmi: czy gotowa jest skazać mnie na grzywnę za noszenie kozucha lub futrzanej czapki? Jeśli tak - to pani ta jest niebezpieczna. Jeśli nie, to w porządku, ale w takim razie ja nie o Niej pisałem, więc o co się obraża??

A - notabene - produkcja sztucznych futer cholernie niszczy środowisko naturalne!!!



## DZIENNIKARZE

Socjalizm wytwarza swoistą warstwę cwaniacko-dwuznaczno-aferalno-biurokratyczną - a członkowie tej warstwy, dodatkowo związani wspólnym obecnie zagrożeniem, doskonale się rozumieją i umieją wykorzystywać nadal istniejący system urzędolonia lepiej od nieudacznym jego reformatorów (udacznym, po prostu, w ten system nie wchodzi!).

Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego dziennikarze i publicyści, niemal bez wyjątku są na usługach tej mafii? Dlaczego jej pośrednio sprzyjają? Przecież nie wszyscy są przekupieni - a powstają pisma niezależne; można by przeto mniemać, że odważne pisma niezależne powinny wygrać w wolnej konkurencji?

Tak się jednak nie dzieje. Co więcej: na Zachodzie z Japonią (!!) włącznie, dziennikarze zazwyczaj są zwolennikami „komuny”, tj. tego samego kompleksu - nazwijmy go „rózowym”. Dlaczego?!

Odpowiedzi jest kilka.

Po pierwsze: zwykłe przekupstwo. dziennikarz woli zarobić więcej i bezpiecznie - niż ryzykować konflikty. No - ale nie każdy!

Po drugie: dawniej dziennikarz to był poduczony chłopiec do roznoszenia gazet - i uczył się z życia, że bogaci są na ogół dobrzy, a biedacy to często złodzieje. Dziś dziennikarz to człowiek wykształcony... na komunistę; czytał w lekturach szkolnych, że bogaci to złodzieje, a biedacy to ludzie szlachetni (dzisiejszy dziennikarz amerykański wie również, że kowboje byli źli, a Indianie szlachetni - skąd wie? Z lektury Karola Maya, który nigdy nawet w Ameryce nie był; miliony przodków tych dziennikarzy, w tym oskalpowani, przewracają się w grobach ze zgryzoty...).

Po trzecie: dziennikarz ten, mając wykształcenie i dyplom, chętnie przychyła ucho do teoryj, że zarobki i pozycja społeczna powinny zależeć od dyplomu i znajomości - a nie od pracy i zdolności!!

Po czwarte: dziennikarz ten nie po to się uczył, by jego wiedza została zmarnowana! Nauczył się, że Indianie byli szlachetnymi ofiarami Białych Twarzy - i będzie ten slogan upowszechniał, choćby był (a jest!) z gruntu fałszywy. Warto tu jeszcze zauważyć, że przeciętny czytelnik też nie lubi odchodzenia od stereotypów (jakie melodie lubimy najbardziej? - te, które już słyszeliśmy, nieprawdaż?) - ten, kto pisałby prawdę, tj. iż ogromna część Indian zwałała całą

robotę na swe squaw, a sami ganią po prerii, by łapać kogokolwiek, skalpować i z upodobaniem torturować - ten publicysta traciłby czytelników... Ciekawe: nawet ci, którzy np. ze zgrozą powitaliby chorych na AIDS w swoim sąsiedztwie, wolą czytać banialuki o tym, jakie korzyści daje „humanitarne” traktowanie HIV-owców - i jacy źli są ci, którzy protestują!!

Po piąte: ten dziennikarz po to uczył się różnych rzeczy, by ludzi pouczać! On chce ich pouczyć! On ma poczucie Misji! Jak dotąd - OK. Jednak po jakimś czasie dziennikarz taki spostrzeżę ze zgrozą, że ludziska i owszem: artykuł o szkodliwości noszenia futer, przeczytają, pokiwiają głowami... a futra nadal noszą i nawet kupują; czy taki sfrustrowany dziennikarz nie może zacząć się domagać, by państwo miało prawo zakazać noszenia tych dowodów bestialstwa, tych skalpów zdartych z żyjącego jeszcze zapewne tygrysa???!

To wszystko nie miałooby takiego znaczenia, gdyby nie reakcja odbiorców. Otóż ludzie kupują gazetę, by właśnie zostać pouczonym. Co komu z gazety prowadzonej przez liberałów? Nic! Dziennikarz taki nie odpowie na pytanie, np. „jakie akcje kupić na giełdzie?” - tylko radzi nieodmiennie: „Rób Pan, jak Pan uważasz”, natomiast współczesny dziennikarz postępuje inaczej: doradza konkretnie i praktycznie: kup Pan akcje Tixi-Fixi! To nic, że jest to bzdura, bo gdyby dziennikarz ten wierzył we własną radę, to zamiast pisać artykuł za milion kupiłby akcje, by zarobić sto milionów... I za Boga by tego sekretu nie zdradzał!!! To nic - ale czytelnik chce konkretnego, chce czuć, że Wielki Brat nad nim czuwa, że o nim myśli, że mu doradza!

Jak powiedział Owidiusz: „Vulgus vult decipi - ergo decipiatur”. Nasz klient - nasz pan: chcą być oszukani - to oszukujemy. Dziennikarz nie jest głupi, by pisać, że jakiś problem sam się rozwiąże na rynku, lub też, że jego czytelnicy domagają się interwencjonizmu państwowego, to zwykli niedouczeni durnie. Ludzie wierzą w horoskopy - to drukujemy im horoskopy, choć prywatnie uważamy to za Ciemnogród (ciekawe przy tym, że wiele gazet, walczących z Kościołem i jego „przesądami”, bez najmniejszej żenady drukuje obok np. właśnie horoskopy).

Dziennikarstwo jest tylko fragmentem ogólnej prostytucji wiedzy, nieuniknienie pojawiającej się w demokracjach. Słyszałem o uniwersytecie (i to w Europie, w kulturalnych ponoć Niemczech, w Republice Federalnej, w Hamburgu, na którym zbuntowali się studenci i zamiast wykładu normalnej ekonomii zażądali wykładu ekonomii marksistowsko-keynesowskiej: Senat uczelni, po krótkim uporze, ustąpił - zdając sobie przecież sprawę, że uczy podopiecznych sterty bzdur (bo w przeciwnym przypadku umieściłby tę „ekonomię” od razu w programie, no nie?).

Gdy brak arystokracji, dziennikarz musi schlebiać instynktom motłochu i lub służyć Nowej Klasie czerpiącej z tego niebagatelne korzyści materialne, to się po prostu opłaca. Dobry pieniądz jest wypierany przez pieniądz gorszy, a idee trudne w odbiorze - przez prostackie recepty ad usum delphini. Nawet język staje się coraz prostszy - no, chyba że dziennikarz pisze dla elity: wówczas świadomie używa żargonu po to, by prosty lud nic z tego nie zrozumiał.

Kończę już. Dziennikarze muszą służyć Nowej Klasie, bo taka jest ich natura w Demokracji. Dlatego właśnie demokracje tak szybko padają - i będą padać - w historii Ludzkości. A jeśli zgranym gęganiem przedłuży się czas upadania - to upadek będzie tym gwałtowniejszy. Oznaką jego nadejścia jest upadek wiary w to, co piszą dziennikarze i publicyści.

Swego czasu w „Rzeczypospolitej” przeczytałem wypowiedź Szefa „Pentoru”. Wyraził on w niej opinię, że na szczęście partie nie mają pieniędzy - bo gdyby miały, to zamawiałyby badania... a wiadomo, że wynik zależy od postawienia pytania, więc otrzymałyby wyniki takie, jakie by chciały. To szczere wyznanie prowokuje do pytanie: czy całkowita rozbieżność tych instytutów badania opinii z wynikami np. wyborów wynika ze sposobu formułowania pytań - i kto w takim razie je formułuje i dlaczego? A także: kto wierzy tym sondażom?

## ZNOW 3 MAJ...

...i znów, jak co roku, będziemy świadkami nachalnej propagandy tej daty jako Święta Demokracji.

Ponieważ i ja piszę o tym co roku, przeto przypominam tylko krótko, że Konstytucja 3-go Maja wprowadziła m.in.:

- monarchię dziedziczną. Tym samym kończyła z idiotyczną „wolną elekcją” „króla”, który w rzeczywistości był tylko dożywotnim prezydentem - mniej więcej tak, jak Pierwsi Sekretarze w Sowietach czy np. Korei Płn., pokazującej, że między tymi formami demokracji nie ma wielkiej różnicy (ani Sobieskiemu, ani Stanisławowi Augustowi nie udało się wprowadzić dziedzicznej monarchii - i na pewno nie uda się to Kim Ir Senowi, demokracja, nawet ludowa, ma swoje przesady, a sąsiedzi nie śpią...). Polski „król” nosił przy tym koronę tylko po to, by mógł jak równy z równym rozmawiać z namaszczonej monarchiami - poza tym Polska była - zarówno de nomine jak i de facto Rzeczpospolitą.

- ograniczenie prawa głosu wyłącznie do posesjonatów; szlachta-hołota traciła prawo głosu, co jest najzupełniej słuszne - tyle, że całkowicie anty-demokratyczne.

Pytam krótko: kto z tysięcy durniów lub cwaniaków, którzy w TV i na trybunach wychwalają Konstytucję 3-go Maja, ośmieli się zaproponować wprowadzenie dziś w życie jej postanowień?

Wprowadzenie Konstytucji możliwe było tylko w drodze zamachu stanu - o czym też się dzieci w szkołach nie uczy: Sejm zawiązano pod laską konfederacji (co skądinąd zwolennicy Konstytucji zwalczyli - ale chodziło o zawieszenie weta), a posłów opozycyjnych po prostu o posiedzeniu nie zawiadomiono. Z tej to przyczyny Konfederacja Targowicka powoływała się na złamanie legalizmu, prawa i zwykłej przyzwoitości.

Tym niemniej w atmosferze powszechnej obojętności (szlachta miała na głowie ważniejsze sprawy - zwłaszcza zwalczanie groźnych band najeżdżających dwory, egzekwowanie niewykonalnych wyroków sądowych) Konstytucja uzyskała sporo zwolenników - zwłaszcza, oczywiście, wśród posesjonatów, którzy już nie musieli kupować „kresiek” u golców wiszących u ich klamek. Ci ostatni, wściekli, stanowili większość - ale już bez większego znaczenia.

Tymczasem dwory ościennych murem stanęły w obronie poprzedniego porządku. Rzecz

ta jest obrzydliwa. Monarchowie broniący ludowładztwa przeciwko Monarchii?? - jednak rozumiała: państwo jest tym silniejsze, im słabszych ma sąsiadów: Ponieważ zaś powszechne wśród szlachty prawo głosu, wolna elekcja itd. czyniły Polskę beznadziejnie słabą w porównaniu z sąsiadami - przeto sąsiedzi zawarli porozumienie mające gwarantować utrzymanie demokracji w Polsce...

W czasach dzisiejszych sytuacja jest jeszcze bardziej dramatyczna. W XVIII wieku Polska, jako monarchia dziedziczna, prędzej czy później (bo nie za słabego Stanisława Augusta, zapewne!) stałaby się równym partnerem dla sąsiadów. Polska, która dziś wprowadziłaby ustrój autorytarny, niekonieczne nawet najlepszą z tych ustrojów monarchię - stałaby się w ciągu kilkunastu lat przerastającym sąsiadów o głowę lub dwie.

O ile więc wówczas Polska tylko dogoniłaby inne państwa - obecnie stałaby się dla nich śmiertelnym zagrożeniem. Albo inne państwa stałyby się beznadziejnie zacofane - albo by też ich elity obaliłyby obecnie skorumpowaną warstwę cwaniaków-demokratów (czyt. „złodziei”) i wprowadziły taki sam ustrój u siebie. Dlatego obecny establishment Zachodu i Wschodu zwalczać będzie w Polsce ustrój autorytarny z siłą znacznie większą, niż Świąte Przymierze - a ma też mniej skrupułów.

Tak, jak popierali „Solidarność” (która zachowała socjalizm rozbijając autorytarne szczątki „komunizmu”), tak teraz popierać będą UW i w ogóle wszystkie partie demokratyczne - nawet SLD. Słaba Polska, rządzona przez oglupiony „lud” pod wodzą przekupnych „demokratów”. którym wystarczy milionem dolarów przed nosem pomachać - oto cel ich najprostszy. Partie domagające się ustroju autorytarnego jak np. UPR - będą zwalczane, ośmieszane na wszelkie sposoby. Zresztą: wystarczy dać parę dolarów ich przeciwnikom: polecamy Fundację im. Maurycego Schumanna, źródło finansowania. Ciekawe tylko, jak się czuje ta opłacana przez przeciwników Polski - Targowica? Bo to, że masy popierają demokrację - tak samo, jak szlachta-chołota (i nie tylko chołota!) w ogromnej większości popierała Targowicę - to rozumiało. To poparcie skończy się - bo są to ludzie krótkowzroczni, ale patrioci - gdy np. Polska wprowadzi jakąś formę autorytaryzmu, a obce wojska, jak w Somalii, na przykład, zainterweniują by „przywrócić demokrację”.

Ale jak zachowają się wówczas dzisiejsi „demokraci”? Czy p. Mazowiecki w takim przypadku by, jak Branicki, przyjmował od nich medale - czy, jak Rzewuski, groził samobójstwem i pisał śmieszne memoriały do ONZ-u?

Myślę, że to drugie. Co wcale nie poprawia mu humoru...

## TELEKOMUNIZACJA

Po urzędnikach zdrowotnościowych, kontrolujących naszych lekarzy, czy zapisują nam legalne lekarstwa, po urzędnikach transporto-wościowych, czy jeździmy w pasach i z gaśnicami, wzięli się za nas telekomuniści. Sprawdzają, czy automatyczne sekretarki, telefaxy i inny elektroniczny szmelc odpowiada naszym standardom.

Nikt jakoś nie pisze otwarcie, że urzędnicy z odpowiedniego resortu też chcą po prostu brać łapówki od rozmaitych „Panasoniców” za szybsze wystawianie papierka o „homologacji”; mówi się tylko o konieczności „nowoczesności” i „dorównania Europie”. Europa - to znaczy eurokraci z EWG - ujednoliciła właśnie średnicę prezerwatyw, więc - wydawałoby się - powinna również ujednolicić standardy telesekretek. A tu - nie: okazuje się, że „Panasonic”, „Telefunken”, „Philips”, a nawet - o zgrozo - „Sony”, mogą sobie spokojnie sprzedawać w Rzymie, Paryżu i Londynie, a nawet w Berlinie - i jakoś tam pasują i nie psują sieci. Tylko w Polsce są to wyroby nie sprawdzone i trzeba je raz jeszcze homologować.

Mam tu propozycję jeszcze inną. Zamiast sprawdzać, czy te gadgety nadają się do naszych sieci, niech Instytut Telekomunikacji łaskawie sprawdzi, czy nasza sieć telefonów pasuje do tych gadgetów. Bo może to ją trzeba przerobić?

Dalej - samochody nadające się do jazdy w ojczyźnie Henryka Forda, absolutnie nie są zdadne - zdaniem speców od transportu i komunikacji - do jazdy po drogach polskich: oślepiają, zbyt wyraźnie oznajmniają, że hamują i skręcają - no, jednym słowem, trzeba je popsuć, by były dobre dla nas. Proponuję więc, by również amerykańskie spłuczki przerabiać wg polskich norm, tzn. powinny mieć złe uszczelki, aby woda czysta i żywa leciała z powrotem do rzek, podratowując środowisko.

Krótko pisząc - w ostatnim podrygu neosocjaliści spod znaku p. Bieleckiego zafundowali nam kolejną porcję tego, co przez całą kadencję nazywali liberalizmem - i zapamiętajmy to sobie!

Przypominam przy okazji kilka innych poprzednich wyczynów, z których najcelniejszym były te absurdalne pasy bezpieczeństwa w samochodach i cały pakiet towarzyszących temu ustaw. Jak Państwo pamiętają, polemizowałem z tym ostro, ze szczególną zjadliwością biorąc na ząb jednego faszyzującego oficera z odpowiedniego wydziału KG PP, który zaklinał się, że wskutek wprowadzenia tych jawnie faszystowskich (już nie chcę napisać brzydziej:

„socjalistycznych”) ustaw spadnie liczba wypadków.

Tymczasem właśnie policja (pewno ten sam wydział...) ogłosiła, że wypadków w ostatnim okresie było o połowę więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. To pewno znów przesada - policja zawsze rozdyma statystyki, by dostać więcej pieniędzy na walkę z wypadkami i przestępczością! - jednak o żadnym spadku mowy nie ma. Dlaczego miałby być spadek?!? Gdy jestem zapięty pasem, to czuję się bezpieczniej, a więc jeżdżę bardziej ryzykownie. Być może wskutek tego zginie mniej kierowców - ale na pewno zginie więcej pieszych. Proponuję więc zamiast nakazu zapinania pasów wprowadzić nakaz noszenia kasków przez przechodniów!

Przy okazji: nawet nasi sympatycy mówią czasem: nie ośmieszajmy się walką z takim drobiazgiem, jak pasy bezpieczeństwa! Ciekawe: Gdyby Najjaśniejszy Sejm wydał nakaz, by każdy nosił na szyi fioletową wstążeczkę - to czy byłbym śmieszny, walcząc z tym - niedorzecznym przecież - przymusem?!? Mnie chodzi o zasady, a nie o to, że zginie parędziesiąt osób więcej czy mniej! Mnie się wydaje, że ten, kto twierdzi, że sprawa pasów bezpieczeństwa jest śmieszna i nieważna, powinien najpierw trafić pod sąd za obrazę Parlamentu - bo przecież w takim razie wydanie nakazu jazdy w pasach jest też sprawą śmieszna i nieważna. Dlaczego wtedy zajmowanie się pasami nie zostało potraktowane jako rzecz śmieszna i niegodna uwagi Najjaśniejszego, najwyższego Organu Ustawodawczego?!?

Podobnie było rok wcześniej - za sprawa Orła. Nasz ptak herbowy miał za sprawą Czerwonych (tak, piłsudczyków!) wstawione na skrzydła gwiazdki pięcioramienne, uwielbiane przez masonów. Prawica zażądała skasowania tych gwiazd. Po wielkich dyskusjach Sejm zgodził się na skrócenie dwóch ramion - taki kompromis między gwiazdą a koniczynką. I znów: padały oskarżenia przeciwko Prawicy, że zajmuje się sprawami niepoważnymi; jeśli to niepoważne to czemu Lewica tak się o te cholerne gwiazdy wyklócała, a? Nie mogła to ustąpić i zgodzić się np. na mieczyk Chrobrego? Skoro symbole są, zdaniem Lewicy, nieważne?



## WÓJSKO NIECO ODNOWIONE

W roku 1990 przeniesiono w stan spoczynku 39 generałów WP. Pozostało 85-ciu. Co tu istotne: średni wiek generała obniżył się do 54 lat.

Przypominam: w armii izraelskiej żołnierz - generał, czy nie generał - już od dziesięciu lat jest na emeryturze. Sporej i zasłużonej. A także opłacalnej dla państwa - gdyż w przypadku wojny decyzje trzeba podejmować błyskawicznie - a do tego najlepsi są młodzi. Podejmować je trzeba odważnie - a do tego najlepsi są młodzi. Co więcej: w dzisiejszych czasach trzeba szybko wprowadzać nowoczesną technikę-a w tym najlepsi są młodzi. Jeśli tego nie zrozumiemy - będziemy mieli armię w sam raz zdolną do wygrania bitwy pod Verdun, a lotnictwo, nowocześniejsze, do wygrania (samodzielnie!) „Bitwy o Anglię”. O Flocie nie piszę, po prostu trzeba mieć na czym pływać...

Zaczyna się to zresztą od samego początku. Do szkół oficerskich bierze się młodzież po maturze. Tym samym gubi się ogromną ilość chłopaków, którzy muszą iść do liceów. Tam, na jednego chłopaka przypada siedem dziewcząt. Ponieważ zaś, jak wiadomo, z kim przestajesz, takim się stajesz, młodzieniec po przejściu przez szkołę kompletnie się na żołnierza nie nadaje. Raczej na malarza.

Proszę pamiętać, że przed wojną też brało się ludzi z maturą - ale wtedy maturę zdawało się mając lat 17, a nie 19! Jest jasne, że jeśli ktoś poważnie myśli o karierze generała, to musi mieć maturę - ale z tego powodu nie należy odwalać dziesiątków tysięcy takich, którzy nie nauczą się wzoru trotylu lub iperytu, a mimo to znakomicie umieją się nim posługiwać. Nie dojdą wyżej kapitana - no, to nie dojdą. Natomiast wielu takich, co dojdą, bo mają wspaniałą wiedzę ogólną, zupełnie nie sprawdza się w wojsku.

No i ten zawyżony wiek... w rezultacie średni wiek naszych oficerów jest taki, że średnio za rok wszyscy by w Izraelu przeszli na emeryturę - to otrzymamy obraz naszego wojska. Wielkim plusem jest, oczywiście to, że nowe kierownictwo niczego niemal nie ukrywa - i można o tym pisać. Ale - jakby powiedzieli artylerzyści - głośnością się wojny nie wygra; ważna jest gromkość...

Dodam jeszcze, że w ub. roku odeszło z wojska aż 8000 oficerów.

Na pewno nie wszyscy wyjechali do RPA...

Na ćwierćmilionową armię - to dużo. Po części jest to tylko usprawiedliwione

przewidywanym zmniejszeniem siły uderzeniowej wojsk przewidzianych Kartą Paryską i Dokumentem Wiedeńskim. Trzeba jednak pamiętać i o plusach: odeszła głównie kadra zasiedziała w biurach, a przed młodymi oficerami otworzyły się szanse... mam tu pytanie: czy aby nie szanse zamiany zdrowej pracy na poligonie na pracę przy czarnej kawie i papierosach?

Być może mianem niepotrzebnie - bo 53% tych, co odeszli, to pułkownicy i podpułkownicy - co istotnie otwiera drogę awansu. W zasadzie oficer, który co roku nie awansuje - powinien być raczej usuwany z wojska, niż zatrzymywany: bo staje się zgorzkniałym tetrykiem. Jednak patrzę na to wszystko z troską, gdyż nasze wojsko zawsze było oczkiem w głowie konserwatywnych liberałów... Walczyliśmy o jego dobre imię i właściwą kondycję w 1978 roku - tym bardziej musimy to robić teraz, gdy pacyfiści i inni lewacy podstępnie próbują tę wspaniałą (in spe...) maszynę rozmontować.

Przede wszystkim ryba psuje się od głowy. Planowana jest pieriestrojka organizacji wojska. Ministrem ma zostać cywil, a dla zawodowego wojskowego zarezerwowano tradycyjną nazwę „Generalny Inspektor Sił Zbrojnych”...

Sęk w tym, że ma to być sztabowiec. Tymczasem kwalifikacje dowódcze i sztabowe są przeciwnego rodzaju: dowódca ma mieć fantazje i starać się wylądować „o jeden most za daleko” - szef sztabu ma go hamować (tak, jak sędzia hamuje zapędy prokuratora). Oznacza to więc, że w razie czego wojsko zostanie bez dowódcy tout court, bo przecież trudno wyobrazić sobie, by zaczął tą maszyną dowodzić cywil-minister...

Wydaje się, że powinno być odwrotnie: wojsko powinno mieć jakiegoś „Dyktatora”, który przejmowałby władzę w odpowiednim momencie z rąk władz cywilnych. A Minister - ten sobie może być urzędnikiem. Natomiast Szef Sztabu pracowałby na dwie strony: opracowywałby plany na życzenie „Dyktatora”, zaś meldował o potrzebach strategicznych Ministrowi. Minister pilnowałby, by pieniądze wpływały do właściwych działów.

Tu dochodzimy do budżetu wojskowego - obciętego w porównaniu z rokiem poprzednim. To skandal! Zamiast dać pieniądze wojsku, by złożyło jakieś zamówienia, i stworzyło miejsca pracy - daje się zasiłki bezrobotnym!!! Pan Jan Rokita, znany pacyfista, zaciera ręce, pewien swej poselskiej nietykalności. Słusznie! Kiedyś jednak posłem być przestanie... Być może zresztą sam będzie gorzko żałował, gdy - co nie daj Bóg - objawią się realne skutki Jego działalności. Tu dochodzimy do słowa „demokracja”, które stało się w wojsku fetyszem, jak niegdyś „socjalizm”.

Pomysł, by 460 facetów, z których połowa nie odróżnia armaty od haubicy i moździerza

od kotła kuchni polowej, decydowało o podziale sum na wojsko - jest poroniony. Parlament ma określić tylko jedno: ile możemy i chcemy wydać na wojsko. Na tej podstawie Prezydent powinien określić, ile idzie na fundusz osobowy (czyli, po prostu, na żołd) - a podziałem reszty musi zająć się wojskowy fachowiec, czyli ów Szef Sztabu. Minister zaś pełniłby rolę oka i ucha Parlamentu, donosząc o wszelkich nieprawidłowościach. To on przeto powinien raczej nazywać się „Inspektorem”.

Co do „demokratyzacji”... Generalicja zastrzega się, że rozumie przez to (nie wiem dlaczego?) „praworządność”, a nie głosowanie nad rozkazami - jednak słowo to ma inne znaczenie i łatwo może to doprowadzić do nieporozumień, zwłaszcza na fali „demokratyzacji” w cywilu. Tymczasem nie wolno mieszać dwóch porządków! W cywilu potrzebne są prawa - a wewnątrz nich pełna dowolność, właściwie anarchia; w wojsku niezbędna jest struktura ściśle hierarchiczna. Wszelkie Rady Żołnierskie są bez sensu: zawodowy żołnierz nie powinien „radzić” lecz (jeśli mu się nie podoba) złożyć abszyt ew. przejść do konkurencyjnej armii (być może nawet innego państwa!). Oczywiście z odpowiednim okresem wymówienia służby. Demokraci mówią o „armii ludowej” - obecnie zauważyłem niepokojące zjawisko gaworzenia o armii „narodowej”. Niestety jeśli to to samo (a w dodatku irytuje niektórych naszych współobywateli) armia ludowa zazwyczaj się rozłazi w pole, armia narodowa debatuje nad kierunkami polityki zagranicznej, zaś armia obywatelska urządza sobie wiece i głosowania.

Ja chcę mieć armię zawodową. Chcę mieć żołnierzy, którym dobrze płacę, którzy składają przysięgę (na określony czas) - i mają dość honoru, by jej dotrzymać. W związku z tym nie życzę sobie, by armia wpajała komukolwiek wartości „narodowe” (bo ja wiem, czy żołnierzom nie przyjdzie wtedy do głowy, by dla dobra narodu przestać wykonywać rozkazy?) ani kształtowała postawy „propaństwowe” (bo znów nie ma gwarancji, że żołnierze dla dobra państwa nie wyrzną połowy narodu). A Wojsko ma wykonywać wszystkie zgodne z prawem rozkazy. Jeśli podwładny uzna rozkaz za sprzeczny z prawem - ma zażądać wydania rozkazu na piśmie. Jeśli uzna, że jest to sprzeczne nie tylko z prawem, ale i z podstawami etyki - może odmówić wykonania rozkazu (ze wszystkim konsekwencjami). Biada jednak przełożonemu, który by postawił subalterna w takiej sytuacji!

Natomiast wojsko powinno wpajać żołnierzom typowy etos żołnierski: honor, wierność danemu słowu, braterstwo broni itd. Nie będę tego wyliczał - ani niech nikt nie układa tu jakiś śmiesznych „kodeksów zawodowych”. Wojsko już wie, co ma zrobić! Jeśli powstaną jakieś

korporacje oficerskie z własnymi formalnymi kodeksami honorowymi, albo wytworzy się jakieś bu-shi-do - to bardzo dobrze!

Nie jest natomiast dobrze, gdy nieustannie podkreśla się (choćby sama nazwą ministerstwa!) że wojsko zajmuje się tylko obroną. Walczące wojsko musi mieć wolne ręce do ataku. Armia amerykańska przegrała w Wietnamie dlatego, że nie wolno jej było przekroczyć granicy z Wietnamem północnym; to musi demoralizować. Musimy mieć armię agresywną, zdolną do działań zaczepnych.

Niestety! Zamiast tego wojsko zajmuje się międleniem liczb nie mających sensu (np. procent wydatków na badania naukowe zależy od marży i popiwku - a nie od ilości lub jakości badań!). Wojsko staje się klubem intelektualistów, specjalistów od różnych nauk - tylko nie od niszczenia i zabijania. Tego ostatniego słowa już dawno nie słyszałem - a przecież niszczenia potencjału raczej nie da się oddzielić od zabijania ludzi. Przykre - ale mówmy jak mężczyźni.

I takiego języka właśnie mi w wojsku brak.

## GORZAŁKA

Liberałowie są wrogami wszelkich monopolii, a już zdecydowanie: monopolii państwowych. Tak: zniesiemy monopol spirytusowy!

Nie od razu. Na początku obniżymy ceny wódki o połowę. Zapowiemy obniżki co miesiąc. Gdy za rok - półtora cena zbliży się do rynkowej - zniesiemy monopol.

Dlaczego nie od razu? Bo też będziemy potrzebować pieniędzy w okresie przejściowym!

Oni podnoszą ceny na wódkę co parę miesięcy - za każdym razem tłumacząc, że chcą „walczyć z pijaństwem”!

Kłamstwo !

Po każdej podwyżce cen wódki spożycie oficjalne po paru tygodniach przewyższa poprzednie - a do tego dochodzi coraz większa liczba melin i bimbrowni.

Oni podnoszą cenę wódki wyłącznie po to, by marnować nasze pieniądze. Zarówno w Rosji (i carskiej i sowieckiej) jak i w Polsce wpływy z wódki stanowiły 1/3 dochodów państwa!!

Oni kłamią bezczelnie, że cena monopolowa chroni przed jeszcze większym pijaństwem. Nieprawda!!! Im wyższe ceny, tym bardziej urzędnikom, kelnerom, knajpiarzom - opłaca się, by ludzie pili. I piją.

I piją. Piją - bo picie drogiego napoju to oznaka dobrobytu. Gdyby wódka była po 2 tysiące za pół litra, piliby ją tylko menele, którzy teraz piją denaturat i brzozową.

Oni kłamią, że to pijacy dają tę 1/3 dochodów. Nieprawda!! To ty dajesz - nawet jeśli tego nie pijesz!

Jeśli kumpel ma ci zrobić fuchę - i pytasz o cenę, to on odpowiada: „Dasz na flachę - i załatwione”. To kto płaci? On - czy ty!??

Teraz inaczej. Twój kolega pracuje w fabryce za 3 miliony miesięcznie. Milion wydaje na wódkę. Gdyby wypita przezeń wódka kosztowała tylko 200 tys. - to czy on zgodziłby się pracować za 2.200 tys.?

Zgodziłby się! Czy mógłby żądać więcej? Nie!

Dlaczego nie? Z tych samych powodów dla, których w tej chwili nie może żądać więcej i dostać 3.800 tys.? Nie może - bo są inni chętni do pracy za 3 mln.

A wtedy będą chętni za 2.200.000... Proste?

Tak więc to nie on płaci za tę gorzałkę. To płacimy my wszyscy - bo przecież tę

podwyżkę płacy producent dolicza do ceny wyrobu. Do tego dochodzi: narzut na ZUS, podatek, „popiwiek” i zwiększone zasiłki. Gdyby wódka staniała - staniałoby wszystko!

Monopolowa cena żytniej - to po prostu podatek nałożony na nas wszystkich. A Oni łżą, że to tylko pijacy płacą i gdy im brakuje pieniędzy, to mówią „Nie podniesiemy podatków, tylko cenę siwuchy. Nich ci brzydscy pijacy pokryją rachunek!”

A ty nie masz odwagi się sprzeciwić. Jeśli pijesz. Jeśli nie pijesz - to pewno myślisz: dobrze, że to ja nie płacę!

Teraz już wiesz, że jesteś oszukiwany?

Szczególne cenę za monopol płacą nie pijacy, lecz ich rodziny. Gdyby gorzałka była tania - pijak przepijałby tylko drobną część zarobków.

Tak jest w normalnym kraju, gdy stworzy się w nim hydrę pod nazwą: „Monopol Spirytusowy”. W kraju socjalistycznym jest jeszcze gorzej!

W każdym państwie jest jakiś ułamek procenta ludzi o chorobliwie słabej woli. Tam zapiją się lub zaćpają na śmierć - i tyle.

W socjalizmie - nie! Gdy taki już stoczy się na dno - to na twój koszt jest leczony! Ty - pod przymusem (patrz: Ubezpieczenie) płacisz za postawienie go znów na nogi! Po to, by znów mógł pić i dawać zyski gangsterom z Monopolu. Również Ty (pod przymusem) płacisz za jego rodzinę! Kobiety o tym wiedzą - więc nie boją się wychodzić za pijaków. I rodzą następnych klientów Monopolu! To wszystko jest tak pomyślane, by dać Im jak największe zyski.

Bo to nie Monopol je zgarnia! Monopol jest obłożony takim podatkiem „obrotowym”, że jeszcze państwo doń (w statystyce!) dopłaca!!! Naiwnych, którzy w to uwierzą, chyba nie ma - ale Oni kłamią odruchowo. Taki mają nawyk.

Ale my nie od macochy. My odkradamy swoje! Cała Polska jest obecnie pokryta sitw, okradających państwo, by mieć na gorzałę. To nie są normalne gangi - gangi nie tolerują pijaków! To są sitwy. I ludzie je tolerują, bo rozumieją, że człowiek musi wypić - no, a po cenie monopolowej uczciwego nie stać!

Gdy obniżymy cenę spirytusu, ludzie nie będą umierali od picia denaturatu, salicylu i metylu. Producenci denaturatu to przecież zwykli truciele! Denaturat zniknie, bo zwykły spirytus będzie tańszy, a rektyfikowany tylko trochę droższy.

Być może, podobnie jak Brazylia, będziemy mogli przejść na czyste, nie smrodzące, paliwo spirytusowe. Przy tej cenie benzyny mogłoby być od niej tańsze.

Wówczas zamiast sprowadzania drogiej ropy, kupimy od chłopów żyto i kartofle. I kierowcy będą zachwyceni, i chłopci.

Skończy się bimbrownictwo - bo i po co? A jak ktoś będzie umiał zrobić lepszą wódeczkę według rodzinnej receptury - to niech robi! Wolny rynek! Skończy się przetrzymywanie w więzieniach nieszczęsnych staruszków biorących na siebie winę za dzieci i wnuki... Policja odetchnie.

Zamiast afer polegających na sprowadzaniu do Polski wódki, Polska stanie się jej gigantycznym eksporterem! Miliony ludzi będą wywozić i przemycać za granicę nasze wyroby. Na bazie taniego spirytusu rozkwitną znów prywatne wytwórnie wódek gatunkowych - i podbiją cały świat!

Skończymy z Monopolem! Skończymy z gigantycznym kłamstwem!

Jeśli jeszcze masz jakieś wątpliwości, jeśli jeszcze Im wierzysz to pomyśl przez chwilę:

Najstarszy monopol spirytusowy wprowadziła... Kto? Rosja.

Efekt? Gdzie pije się najwięcej? W Rosji...

Druga była Polska. Kto jest na drugim miejscu?

Dziękuję!

Precz z Monopolem, wynalazkiem Szatana!!

## SKOŃCZYĆ Z NARKOMANIĄ!

Ponieważ otrzymuję listy od Czytelników proszących o wyjaśnienie mego stosunku do narkomanii - i zawiadamiające, że jest to słabo rozumiane przez społeczeństwo - wyjaśniam raz jeszcze:

Motorem narkomanii jest ogromny zysk: narkotyk w Warszawie kosztuje 200 razy więcej niż w „Złotym Trójkącie”! Różnica cen bierze się z zakazu - gdyby nie zakaz wynosiłaby 10% i nikt poza apteką, by się takim zarobkiem nie zainteresował.

Gdy potrzeba jest silna, a różnica cen wielka - nikt i nic zjawiska nie zwalczy. Amerykanie wydają dziesiątki miliardów na „walkę z narkomanią” - i w efekcie narkomanów jest tam coraz więcej.

Niemcy za okupacji grozili karą śmierci za nielegalny handel mięsem - a mięso można było dostać wszędzie, bo dzięki temu zysk był kilkakrotny. A co przy przebicciu 200 razy?

Dealer daje więc człowiekowi kilka działek za darmo - i gdy ten (zwłaszcza dziecko!) wpadnie w szpony nałogu, to już musi kupować.

U niego - bo innego dealera nie zna, a w wolnej sprzedaży narkotyku nie ma. Skąd dziecko weźmie na to ciężkie pieniądze? Najprostszy sposób to wciągnąć w nałóg pięcioro dalszych klientów - i kupować narkotyki za procent od sprzedaży. Tamci zaś tworzą dalszy łańcuszek. I w ten sposób narkomania musi się szerzyć - podobnie jak szerzył się alkoholizm za czasów Prohibicji w USA.

Alkoholizm - i demoralizacja. I korupcja w policji, która dostaje od rządu ciężkie pieniądze i ogromna władzę na walkę z narkomanią - od mafii jeszcze większe pieniądze za nie łapanie jej (tylko ew. początkującej konkurencji...)

Jest to oczywiste - podobnie jak to, że musimy zwiększyć władzę ojców nad dziećmi; jak to, że więcej matek powinno być w domu i wychowywać dzieci; jak to, że szkoły muszą być znów prywatne; gdy w takiej szkole pojawi się narkomania, rodzice natychmiast zabiorą dzieci - i szkoła splajtuje. Natomiast szkoły państwowe są w USA (i zaczynają być w Polsce) po prostu punktami dystrybucji narkotyków wg wyżej opisanego wzoru.

Jest to oczywiste.

Nie można jednak zapominać o jeszcze jednym aspekcie sprawy.

Jeśli Polska zniesie kontrolę narkotyków, to powstaną u nas legalne już wytwórnie



amfetaminy oraz przetwórnice heroiny - przemycanych natychmiast na Zachód. I to jest w porządku. Przy okazji Polacy będą na tym robić jakieś pieniądze. Jednak wielu zagranicznych narkomanów, zamiast czekać, aż im dealerzy zaczną (drogo) sprzedawać towar, przyjadą na pewno sami do Polski, by ćpać na miejscu! Tak samo jeżdżą zresztą obecnie do Bhutanu i Nepalu.

Ma to aspekt pozytywny - oni muszą coś jeść i gdzieś spać, więc przywiozą ze sobą pieniądze, których nie wydadzą na podróż (do Polski bliżej!) i na narkotyki (bo będą tanie). Jednak między nimi będą również ćpuny najgorszego sortu - tacy, co to położą się byle gdzie, i zrobią byle co, byle dostać działkę. I będzie ich - to trzeba otwarcie powiedzieć - dużo; raczej w tysiącach, niż w setkach. Co prawda oznacza to po jednym ćpunie na miasteczko - ale wiemy z doświadczenia, że zamiast się tak rozmieścić, ulokują się w centrach wielkich miast - gdzie będą doskonale widoczni.

I jest to znów wysoce korzystne!

Czego najbardziej brak Polakom, to poczucia dumy narodowej. Mamy wyuczoną czołobitność w stosunku do każdego Zachodniaka, z Amerykaninem na czele. Tysiące obszarpanych Niemców, Francuzów i Amerykanów, mijanych ze wstrętem, wytworzy w polskich dzieciach przekonanie: Boże, jacy obrzydliwi są ci Europejczycy! Jaki ja jestem wspaniały, że nie ćпам, nie ulegam nałogom. Ja jestem lepszy od tamtych durniów, którzy leżą na ulicy.

Tylko to wytworzy barierę psychologiczną chroniącą przed narkotykami. Jeśli bowiem narkotyki są tym czymś, co zażywają wyżsi kulturowo Zachodniacy - to trudno i darmo: szczeniaki będą małpować!

Telewizja powinna pokazywać takie obrazki; powinna pokazywać śmierć narkomana - w jego wymiocinach i drgawkach - tak, by ludzie czuli; to nie jest „romantyczne” - to jest wstrętne! Oczywiście z braku gości z Zachodu można pokazywać własnych narkomanów - mamy ich jednak bardzo mało...

Ci ludzie nie będą dawać narkotyków naszym dzieciom - bo niby po co? Już prędzej im ukradną! Gdyby się jednak znalazł taki dobry wujaszek, co chce dać zatruty „cukierek” - albo gdyby ktoś chciał narkotyki reklamować - to trzeba karać surowo! Wtedy opanujemy to marginalne już zjawisko - bo przecież facet nie miałby w tym interesu: po co więc miałby ryzykować więzieniem?!??? I tu jeszcze jedna uwaga: ci narkomani nie będą musieli kraść, bo narkotyki będą tanie. Gdyby jednak popełnili jakieś przestępstwo, należy ich bezwzględnie karać

- tak samo, jak zdrowych zresztą. Nie przejmować się wrzaskami, że w celi „umrą z głodu narkotycznego”; po pierwsze: nie umrą - a po drugie: co nas to obchodzi! Człowiek nie może być traktowany ulgowo, tylko dlatego, że sam się wprowadził w stan, w którym grozi mu śmierć z powodu zastosowania bardzo łagodnego środka, jakim jest izolacja. Czy gdyby złodziej przed aresztowaniem połknął bombkę, która wybucha w nim po zamknięciu w celi - to byśmy go nie zamknęli? Trzeba zamknąć - i niech wybucha! Jednego złodzieja mniej - i to on się zabił, a nie my jego: volenti non fit iniuria! [„Chcącemu nie dzieje się krzywda” ] (tak nawiasem: takie podejście skończyłoby radykalnie plagę „połyków” w więzieniach).

Obawiam się, że miasta, obecnie już zakazujące picia na ulicach, wydadzą zakaz wylegiwania się na chodnikach - co mocno osłabi efekt „szkoliowy”. Ale i na to jest sposób: prowadzić wycieczki do takiej noclegowni dla narkomanów - wybrać trzeba oczywiście najbardziej smrodliwa norę - i nawet płacić im za to! Oni za to kupią sobie więcej narkotyków - i bardzo dobrze: wcześniej umrą!

Wszelkie cackanie się z narkomanami, wszelka litość jest tu szkodliwa. Narkomania musi być w Polsce zwalczona. W ten sposób zniknie w ciągu roku-dwóch. Co nie znaczy, że nie będzie poszczególnych narkomanów i gości z zewnątrz - ale zniknie jako zjawisko. Bo zniknie jej pożywka:

Pieniądze!

## JAK ZOSTRZEC KOMUNISTĄ?

Znane powiedzenie brzmi: „By zatriumfowało zło, wystarczy obojętność ludzi dobrych”. Jeśli więc zachowujemy się biernie, to najprawdopodobniej nie tylko dopuścimy do triumfu komunizmu w swojej okolicy; najprawdopodobniej sami staniemy się komunistami.

Przepis na to jest bardzo prosty.

Przede wszystkim należy pozwolić, by używano w naszej obecności argumentów kolektywnych. Mówi się: „Chcemy, żądamy...” Mówi się: „Naród polski nie godzi się...” Mówi się: „Społeczeństwo żąda...”. Oczywiście, samemu można żądać demagogicznie tego typu sformułowań - pod warunkiem, że się wie, iż jest to bzdura. Nawet i wówczas pozostaje groźba, że nasz mózg zacznie odruchowo przyciągać tego typu argumentację. A wówczas zaakceptujemy argumenty naszych przeciwników.

Rzecz jasna nie jest tu niezbędne używanie słów: „Naród, społeczeństwo” itp. Wystarczy sam kolektywizm. Gdy ktoś powiada: „Wszystkie dzieci są nasze” - to pozornie nie wymienia bytu kolektywnego. Wszelako nie ma chyba wątpliwości, że gdy „wszystkie dzieci są nasze”, to moje dzieci należą do ob. Kowalskiego i ob. Wiśniewskiego oraz od miliona innych (być może lepszych ode mnie!) opiekunów - ale nie do mnie!

Gdy sami zgadzamy się, że instytucje państwowe mogą ingerować w życie rodzinne - np. pod pretekstem bicia żony lub dzieci, bez skargi obywatela - no to już komuniści zdołali przełamać podstawowy bastion wolności: Rodzinę.

To prawda, że dzięki ingerencji państwa parę dzieci w Polsce zostaje uratowanych od złych rodziców. Ale za to paręnaście milionów ma gorsze warunki życia w swojej rodzinie, bo rodzice nie czują się pewnie, bo nie czują się odpowiedzialni za wybór szkoły, programu nauczania, metod wychowawczych itp. I to jest prawdziwy, niedostrzegalny przez reporterów, dramat.

Państwowa opieka... Mój Boże! Dzieci odbierane rodzicom w Szwecji pod pretekstem pobicia. (W domu dziecka okazało się, że dziecko nie było bite - ma rzadką chorobę objawiającą się siniakami; dziecka nie oddano rodzicom, bo byli to ubodzy imigranci z Polski i „zwrot rodzicom mógłby spowodować u dziecka wstrząs psychiczny”) Rodzeństwo (w Polsce, 4 osoby), które utraciło w katastrofie oboje rodziców - i które, mimo głódówki protestacyjnej brutalnie rozdzielono (najmniejsze do domu małego dziecka, większe do domu średniego dziecka - itd.,

zgodnie z biurokratycznym kryteriami).

Precz z Komuną!

Dalej, gdy już zgodziliśmy się na kolektywizm, trzeba jeszcze zgodzić się na demokrację. Jak trzeźwo zauważył Karol Marks, demokracja jest niezbędnym warunkiem do wprowadzenia komunizmu.

Demokracja (najlepiej: „ludowa”, ale niekoniecznie) oznacza podporządkowanie się woli większości. Większość każe nam np. jeździć w pasach bezpieczeństwa lub otwierać prywatny warsztat między 10 a 18 (mimo, że mnie najlepiej się pracuje między 8 a 16). Większość każe nam pracować, w soboty lub zakazuje pracy w soboty, podczas gdy w normalnym kraju jedne fabryki pracują w soboty, a inne nie - i co to komu szkodzi? Co to kogo w ogóle obchodzi? Gdy już mamy demokrację, trzeba koniecznie zgodzić się na łzawe hasła „pomocy dla biednych”. Normalny człowiek nie pozwoli sobie zabrać 3 milionów miesięcznie na pensję dla jakiegoś urzędnika, który popija herbatę. Jeśli jednak zażądamy utworzenia Stanowiska Do Zwalczenia Bezrobocia lub do Urzędu Opieki nad Bezdomnymi Dziećmi - to kto oprze się szantażowi moralnemu? Dzieci chcesz Pan zagłodzić - wrzeszczą wówczas socjaliści. Godzimy się. Jesteśmy ubożsi o 3 miliony, z czego w najlepszym przypadku 1,5 mln idzie na bezrobotnych i bezdomne dzieci, natomiast za drugie półtora komuniści uzyskają janczara, który będzie dobrowolnie wychowywał dzieci i bezrobotnych na klientów komunizmu - bo przecież oni „wszystko zawdzięczają socjalizmowi”, nieprawdaż?

To jeszcze nie wszystko. By zbudować komunizm, należy kategorycznie odrzucać wszelką myśl, że najważniejsza jest konsumpcja.

Wszelka myśl, że produkcja fabryk, zwłaszcza państwowych, służy obywatelom - jest zbrodnią. To obywatele są po to, by fabryki miały komu sprzedawać swe przodujące wyroby. Ważne nie jest dobro obywateli, lecz dobro przemysłu. Obywatele mogą sobie chodzić w łapciach, byle wskaźnik rozwoju przemysłu piął się w górę.

Pewien kłopot polega na tym, że wprawdzie przemysł może opłacić wojsko, policję itd. - ale jednak ogromna większość obywateli nie pracuje w wojsku ani w policji - a oni głosują! Mogliby więc któregoś dnia wpaść na pomysł, by ten przemysł wziąć pod but i kazać mu pracować na swoje potrzeby.

By temu zaradzić komuniści wymyślili specjalny twór - Człowieka Pracy. Człowiek Pracy to mniej więcej 1/3 człowieka (pracujemy 8 godzin na 24!). Człowiek Pracy nie ma

żołądka, mózgu i innych części - ma tylko ręce. Otóż Człowiek Pracy nie domaga się, by wszystko było jak najtańsze, czego domagałby się normalny człowiek, lecz by wszystko było jak najdroższe, bo Człowieka Pracy nie interesują wydatki - jego interesują jego zarobki, a one tym wyższe, im wyższe są ceny.

Dalej już idzie prosto. Przy każdym głosowaniu apelujemy do Ludzi Pracy. Ludzie pracy głosują, strajkują, protestują itd. - jak im się zagra. Socjaliści zawsze apelują do Człowieka Pracy, dbają o jego interes, a to że Człowiek po pracy musi konsumować tandetne wyroby uprzywilejowanych Ludzi Pracy - to już nie wina socjalistów przecie? Oni przecież nawołują do zwiększenia produkcji!!

Ta recepta na budowę komunizmu działa niezawodnie - w Europie, w Ameryce i na Marsie (gdzie już chyba wykończono cywilizację). By temu zapobiec, należy zdobyć się na heroizm: powiedzieć, że mamy w d... Ludzi Pracy i ich wymagania. Że los Ludzi Ubogich nic a nic nas jako ustawodawców i pracodawców nie interesuje (a jak są naprawdę biedni, to niech udadzą się do parafii lub żebrzą na ulicach prywatnie. Oczywiście nie damy im umrzeć z głodu). Że większość jest z reguły głupsza od mniejszości, a jednostka jest ważniejsza od kolektywu.

Czy zdobędziemy się na taki heroizm?

## OD AUTORA

Wielki pisarz rosyjski, Jan Bunin w jednej ze swych książek (właściwie: w pamiętnikach) napisał, że bolszewicy zmienili cyrylicę na grażdankę - i on tym ohydny alfabetem nie napisze ani słowa, a także nie będzie czytał tego, co oni po barbarzyńsku wypisują.

Doskonale rozumiem to uczucie! Trzeba bowiem dodać, że postępową grażdanka nie tylko wykasowała jery, jory i jat'ie (m.in. chodzi o „niemą spółgłoskę”) - ale i dokonała „komasacji” liter. W efekcie jedna litera (f) pełni rolę np. greckiej fi i greckiej thety co daje niesamowite wrażenie. Kto zna rosyjski, ten wie, że Teodor to jest „Fiodor”, a „Tomasz Ateńczyk” to po prostu „Afinskij Foma”. To trochę tak, jakby w polszczyźnie literze „ż” przypisać jeszcze jedną funkcję np. „ch”; prawda, jaka oszczędność na miejscu i literze?

Co prawda, na nasze szczęście, alfabetu nam nie zmieniono (Cesarz, w odróżnieniu od bolszewików, poddanym narodom nie narzucał alfabetu) - ale postępowcy zdołali dokonać kilku zmian w naszej pisowni. Nie aż tak radykalnych, jak bolszewicy - ale zawsze.

Gdy swoje niewczesne pomysły ogłosiła państwowa instytucja pn. Polska Akademia Literatury, nawet spokojny i otwarty na postęp Julian Tuwim „wyszedł był z nerw” i oświadczył, że ani mu się śni przestrzegać tych idiotycznych przepisów ortograficznych - i będzie pisał, jak chce.

Biurokraci literatury nie dali jednak za wygraną. W czyich rękach było koniec-końców Ministerstwo Oświaty i Wychowania Publicznego? Kto rządził - przed wojną - Związkiem Nauczycielstwa Polskiego? Zawsze przecież takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie! A tu jeszcze trafiła się wojna, władzę objęli postępowcy, że tak rzeknę, instytucjonalni - no, i używanie jedynie słusznej pisowni stało się obowiązkowe. Dalej już poszło prosto...

Mnie jednak - jak i każdego, kto czuje ducha języka - aż trzęsie.

Bo, np. mówimy „deska - desce” i „noga - nodze” (a nie „noce”!).

Należy więc nadal pisać, jak Duch Języka każe, „biedz” i „módz” (bo „biegnę” i „mogę”) - a nie robić drobne chamskie uproszczenia. Jeśli ktoś chce oszczędzać papier to proszę: wprowadzimy „dzetę” (np. jak rosyjskie lub gotyckie „3”) ale nie kaleczmy języka! Bo potem dziwimy się, że dzieci nie potrafią zrozumieć reguł ortografii!

Sposób, w jaki powstawały te cudaczne instytucje (PAU i PAL) - to osobny rozdział. W każdym razie Uczni Mężowie „poprawili” nam jeszcze pisownię w parunastu punktach. Np. z

tajemniczych powodów zamiast „puhar” kazali pisać „puchar” (po czesku, słowacku, ukraińsku i węgiersku jest przez samo „h”!) - tu mamy stratę litery; może chodziło o analogię do „puchu” lub „puchacza”?

Zupełnym i oczywistym jest pisanie „Jakób” przez „u”. Konsekwentnie trzeba by napisać o „Jakubinach”, „Jakubitach” i „Jakubianie”. Nie wiem, co kierowało Uczonymi Mężami: jako postępowi Europejczycy powinni starać się powstrzymać nasz związek z kulturą łacińską - a nie dopasowywać „Jakóba” do plebejskiego „Kuby”. (Nb. po rosyjsku „Koba” pisze się przez „o”, a nie przez „u”). Może po prostu byli pijani? A może założyli się między sobą, że zrobią taki kretynizm - a Polacy posłusznie będą pisać, jak im się każe, bo to naród nawykły do tego, by bezmyślnie robić tak, jak każą „ci na górze”?

Jest, być może, maniactwem w sytuacji, gdy walczymy o Konstytucję, o Wolność, o Własność, o Sprawiedliwość - rozpraszać siły na walkę z drobną w końcu korektą ortografii. Zresztą niektóre zmiany wprowadzane w 1936-tym są zupełnie sensowne.

Rzecz nie w tym. Rzecz w uzurpacji. Nasz język przez całe prawie Tysiąclecie rozwijał się zupełnie niezłe bez pomocy Uczonych Mężów - podobnie zresztą jak wszystkie języki świata. Ludzie zapisywali dźwięki przy pomocy standardowych liter, niektórzy wpadali na różne pomysły, niektóre z tych pomysłów upowszechniały się i przyjmowały - i powstawał język. Język ten tolerował odchylenia zarówno w mowie (dialekty) jak i w pisowni (oboczności).

Właśnie ta różnorodność to możliwość rozwoju języka. Jeśli zgodzimy się, że każde odejście od jedyne go wzorca to błąd - to zamykamy drogę przed nowymi, być może lepszymi, pomysłami. Ludzie sami, bez przepisów, stosują się do standardów - bo tak jest wygodnie. A czasem się nie stosują - bo myślą, że tak jest lepiej.

Tak więc bunt przeciwko sanacyjno-komunistycznym poprawkom do ortografii to nie tylko nostalgia za Tradycją, nie tylko chęć powrotu do logiki języka (w paru miejscach naruszonej) - ale i obrona różnorodności. Można protestować przeciwko uniformizmowi pisząc „Nuż w bżóhu” - a można i inaczej. Gdy w latach 60-tych jedni protestowali przeciwko szarzyźnie zakładając na szyję łańcuch lub budzik - ja zakładałem muszkę.

I w taki sam sposób protestuję w sprawie ortografii. Proszę o wybaczenie tego nieszkodliwego przecież (pozornego) dziwactwa.

Janusz Korwin-Mikke

## POSŁOWIE

Janusza Korwin-Mikke zauważyłem po raz pierwszy na początku lat 80-tych, kiedy to w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, na Uniwersytecie i w wielu innych miejscach odbywały się rozmaite dyskusje. Panowała tam atmosfera rewolucyjnego chaosu i właśnie w takiej atmosferze pojawiał się starannie ubrany dżentelmen z muszką, który jednak nie tylko strojem odróżniał się od otoczenia.

Kiedy bowiem większość deklarowała zgodnie o „podmiotowości społeczeństwa” czy „godności pracy” albo pomstowała na „komunistów” dżentelmen ów mówił o, jakichś podatkach, o jakichś ubezpieczeniach, o własności prywatnej, co to - *horribile dictu!* - ma być lepsza od „społecznej”; o wolnym rynku i podobnie mało porywających sprawach. Co prawda o takich sprawach pisywał też w „Tygodniku Powszechnym” (gdzie te czasy?!) Stefan Kisielewski, ale i on przecież - w odróżnieniu od autorów sążnistych wypracowań o „podmiotowości” - uważany był wyłącznie za... felietonistę. Toteż i podczas tych dyskusji na wystąpienia Korwina reagowano rosnącym zniecierpliwieniem i irytacją, no bo jak że tu słuchać o jakichś podatkach, o jakiejś gospodarce, kiedy frazesy o „podmiotowości” tak przyjemnie łechtają uszy. Ku memu zaskoczeniu jego jednak ani to zniecierpliwienie, ani objawy irytacji wcale nie konfundowały i cierpliwie, z żelazną logiką wyjaśniał swoje, dopóki nie odebrano mu głosu.

Zwróciło to moją uwagę, bo rzadko można było wtedy w Polsce spotkać człowieka, który odważyłby się iść pod prąd powszechnych nastrojów i nie dostrajać się do „większości”. Do takiego heroizmu cywilnego zdolni są albo maniacy, albo ludzie dobrze wiedzący, czego chcą i co mówią. Do której grupy należał Janusz Korwin-Mikke - na to pytanie nie potrafiłem jeszcze odpowiedzieć. Pozostało tylko wrażenie człowieka obdarzonego wyjątkową odwagą cywilną.

W parę miesięcy po ogłoszeniu stanu wojennego znalazłem się w obozie dla internowanych w Białołęce, gdzie okazało się, że Janusz Korwin-Mikke siedzi w sąsiedniej celi nr 18. Poznaliśmy się bliżej w najbliższą niedzielę, na Mszy św., odprawianej w barakowej świetlicy przez ks. Jana Sikorskiego, kiedy to Korwin przekazał mi „znak pokoju” ze słowami: „*pax tibi Staszku*”. Późniejsze więzienne dyskusje, toczone ze zwolennikami „socjalizmu z ludzką twarzą” uświadomiły mi, że mam do czynienia z człowiekiem, który wie czego chce, który swoje cele i swój program ma dokładnie przemyślany, z człowiekiem wprawdzie zdeterminowanym, ale bez ponurego doktrynerstwa, przed którym chroni go dość rzadkie wśród



polityków poczucie humoru. Tak rozpoczęła się nasza przyjaźń.

Przez następnych siedem lat działaliśmy już - jak by to określił prokurator egzekwujący „surowe prawa stanu wojennego”- „wspólnie i w porozumieniu” choć przecież oddzielnie. Janusz Korwin-Mikke kierował podziemną „Oficyną Liberałów”, wydając książki Fryderyka von Hayek-a, Jerzego Gildera i innych, nieznanym kompletnie polskiej publiczności gigantów współczesnej myśli liberalnej, a ja, w swoim wydawnictwie „Kurs” - Milтона Friedmana, Gwidona Sormana i Davida Berglanda. Był to okres niesłychanie owocny, chociaż z pozoru mało efektowny. Kolportaż podziemny działał wcale sprawnie, dzięki czemu nakłady książek mogły osiągać całkiem przyzwoity w tych warunkach poziom. Taka „Rewolucja konserwatywna w Ameryce” Sormana rozeszła się błyskawicznie w nakładzie 5 tys. egzemplarzy! Jacyś nieznani ludzie te książki kupowali, czytali je, poszerzali swoje horyzonty, i świadomość tego wynagradzała udrękę ciężkiej pracy w prymitywnych warunkach i w stałym poczuciu zagrożenia.

Ta praca dostarczała też jeszcze jednej satysfakcji. Oto mogłem przekonać się, że jeden człowiek może wiele zdziałać nawet w warunkach niesprzyjających, jeśli tylko przyświeca mu jakaś idea. Zgadzało się to w stu procentach z głoszoną przez Korwina zasadą, że człowiek jest kowalem swego losu.

W tym właśnie okresie mogłem naocznie przekonać się, że Janusz Korwin-Mikke postępuje zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami, a skoro jemu się udaje, to znaczy, że te zasady są realne, słuszne i użyteczne, a zatem warto je krzewić i warto ich bronić.

To przeświadczenie skłoniło nas do ściślejszego współdziałania i tak doszło do utworzenia Ruchu Polityki Realnej, którego przywódcą został oczywiście Janusz Korwin-Mikke, a wśród założycieli - obok nieodżałowanej pamięci Stefana Kisielewskiego - znalazł się również niżej podpisany. W „Deklaracji” zapisane zostało m.in. „Łączy nas przekonanie o konieczności zastąpienia czym innym demagogicznych haseł, których realizacja podcina korzenie naszej cywilizacji. (...) Uważamy, że istnieją pewne niezbywalne prawa przynależne jednostce, rodzinie i narodowi - oraz zasady niezbędne do rządzenia państwem. (...) Wszystkie te sfery: jednostkę, rodzinę, naród - a także religię i moralność społeczną - uważamy za pierwotne względem państwa, które winno im służyć zgodnie z wykształconymi przez wieki regułami. (...) Uważamy, że społeczeństwu jest potrzebny każdy człowiek i tylko on ma prawo uznawania, co jest dla niego dobre. Dążyć będziemy do przywrócenia zdrowej rodziny, która została przez rujnujące moralnie ustawodawstwo doprowadzona do niemocy, żądamy przede wszystkim przywrócenia

pojęcia „głowy rodziny” przywrócenia rodzinie władzy nad dziećmi oraz usunięcia antyrodzinnego ustawodawstwa. Będziemy przeciwstawiać się działalności biurokracji i uświadamiać naród, że przez utożsamianie go z państwem i sztucznie popieranie traci z wolną swoją tożsamość. Będziemy domagać się radykalnej zmiany systemu oświaty, nauki i kultury oraz pełnego wycofania się państwa z działalności gospodarczej. Przede wszystkim zaś przywrócenia naturalnych mechanizmów, które przez wieki pozwalały znacznie słabszym gospodarczo państwom kwitnąć materialnie i duchowo. (...) Chcemy więc połączyć nasze wysiłki. Wierzimy głęboko, że jest szansa”.

Mimo upływu niemal dziesięciu lat od napisania tej „Deklaracji” ani jeden z postulatów się nie zestarzał. Przeciwnie - nabrały one niepokojącej aktualności. Autorem tych słów jest Janusz Korwin-Mikke.

Ale w roku 1989, roku „okrągłego stołu” mało kto o tym słyszał. Większość była zafascynowana okrągłostołową transakcją, dokonaną między tracącymi ideologiczną busołą komunistami, a „reprezentantami społeczeństwa”. Szczegółów tej transakcji nie znamy do dnia dzisiejszego i kto wie, czy poznamy je kiedykolwiek. Jedno jest pewne: nas przy tym nie było. I oto w najważniejszej dla przekształcenia ustroju dziedzinie - w gospodarce - postulaty „strony społecznej” wypadły nadzwyczaj mizernie: jakaś „indeksacja plac i dochodów” jakieś „zwiększenie roli samorządów w zakładach pracy” jakaś kontraktowa „demokracja” jakaś „Europa”... Intelktualna „góra” urodziła programową „mysz”. Żadnego konkretnego programu transformacji ustrojowej, tylko jego namiastka w postaci skleconych naprędce haseł. Bez fałszywej skromności, ale i bez fałszywej pokory, dzięki pracy intelektualnej, wykonanej w okresie, gdy byliśmy wyrobnikami idei konserwatywno-liberalnej, mogliśmy podsumować „okrągły stół” oceną, wg. której „socjaliści moskiewscy przekazali władzę socjalistom europejskim, ale socjalizm pozostał”. Autorem tej, jakże bulwersującej wówczas, ale jakże trzeźwej i trafnej z perspektywy kilku lat oceny był - jak utrzymywano w kręgach zbliżonych do „Gazety Wyborczej” - „kontrowersyjny” i „niepoważny” przedstawiciel „folkloru politycznego” Janusz Korwin-Mikke. No cóż - człowieka, który salonowemu towarzystwu pokazuje trupa w szafie, towarzystwo bierze pod obcas.

Janusz Korwin-Mikke kandydował wówczas bez powodzenia do Senatu. Bez powodzenia - bo nie ubiegał się o zrobienie sobie z p. Lechem Wałęsą fotografii, będącej wtedy biletem wstępu na polityczne salony.

Ale i to, zdawać by się mogło, desperackie posunięcie wynikało z ulubionej przez niego definicji polityki. W odróżnieniu od notorycznych konformistów, głoszących, że polityka jest sztuką kompromisów i zgodnie z tą definicją podkładających się każdorazowym możliwym tego świata, Janusz Korwin-Mikke twierdzi, że „polityka jest sztuką unikania kompromisów”; a już z pewnością unikaniem wchodzenia w układy będące zdradą ideałów i zasad, faryzejsko nazywane kompromisami. Warto o tym pamiętać po tylu straszliwych zawodach, uczynionych milionom ludzi, których zaufania nadużyto w okrutny i cyniczny sposób.

Nie mając tedy wstępu na salony władzy, mogliśmy jedynie obserwować i komentować „grubą kreską” p. Tadeusza Mazowieckiego i jej skutki, obronę majątku po rozwiązanej PZPR przez posła Adama Michnika w kontraktowym Sejmie (napisałem wtedy - a był to rok 1990 - że p. Michnik jest politykiem przewidującym, bo już dziś broni stanu posiadania swego przyszłego sojusznika) i postępujący rozkład Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, tego „mandatariusza społeczeństwa” który miał dokonać przełomu, a tymczasemgnił od środka, stopniowo przeżerany korupcją i ułatwionym dostępem do zasobów państwa. Państwa, w którym właśnie zakładano podwaliny nowego ustroju - republiki bananowej, oznaczającej kapitalizm dla wybranych i nędzny socjalizm dla reszty.

Ale nie ograniczyliśmy się wyłącznie do obserwowania i komentowania. W grudniu 1990 roku Rada Główna UPR przyjęła program gospodarczy, zakładający przeprowadzenie reprivatyzacji i prywatyzację sektora państwowego, uregulowanie emisji pieniądza i reformy ubezpieczeń społecznych (projekt utworzenia Funduszu Emerytalnego z prywatyzowanych przedsiębiorstw, zmniejszenie podatków i reformą systemu podatkowego, eliminowanie ingerencji rządu w gospodarkę i redukcję aparatu biurokratycznego, reformę Sił Zbrojnych i policji, a nawet - denominację. Dzisiejszy stan państwa, a zwłaszcza stan finansów publicznych, jest następstwem. tego, że nie udało się zrealizować tego programu. Programu, którego autorem głównym jest Janusz Korwin-Mikke.

W roku 1989 nie głosował na niego prawie nikt, ale już w roku 1991 na UPR padło 250 tys. głosów. Stworzyło to możliwość wejścia do rządu trzem posłom UPR: Andrzejowi Sierańcykowi, Lechowi Pruchno-Wróblewskiemu i Januszowi Korwin-Mikke. Ta symboliczna wręcz reprezentacja zaznaczyła w Sejmie swoją obecność nie tylko przemówieniami, ale i konkretnymi inicjatywami. Warto wspomnieć przynajmniej o trzech: projekt ustawy reprivatyzacyjnej, o którą walczył Lech Pruchno-Wróblewski i która dwukrotnie (!) została

odrzucona przez Sejm o przewadze ugrupowań „reformatorskich” i której odmówił poparcia Pan Prezydent, projekt większościowej ordynacji wyborczej (jednomandatowe okręgi i głosowanie w dwóch turach), którą - niestety! - tylko posłowie SLD trafnie rozszyfrowali jako „dekomunizacyjną” bez użycia tego słowa, no i wreszcie - uchwałę lustracyjną z 28 maja 1992 roku. Wiele mówiono o „dekomunizacji” czy lustracji, ale jakoś tak się składało, że najgłośniej mówili o tych sprawach ci politycy, którzy akurat utracili władzę dającą możliwość wykonania tego przedsięwzięcia. Żaden z wielkich klubów parlamentarnych przez prawie 3 lata od „upadku komunizmu” nie podjął sprawy lustracji, aż uczynili to posłowie 3-osobowego koła Unii Polityki Realnej, a konkretnie poseł Janusz Korwin-Mikke.

Mam nadzieję, że wszyscy pamiętamy ten dzień, kiedy na jedną chwilę opadły maski, kiedy spontanicznie utworzyła się zaskakująca „koalicja grubej kreski”. Byłoby dobrze, gdybyśmy nie zapomnieli, kto zdobył się na odwagę zdarcia tych masek. Żebyśmy nie zapomnieli, że tę odwagę wykazał polityk z zasadami, który wie, czego chce, który nie lęka się głosić tego otwartym tekstem, i który dotrzymuje słowa - Janusz Korwin-Mikke.

Stanisław Michałkiewicz

Teksty zawarte w niniejszej książce opublikowane były w następujących czasopismach: „Gazeta Polska” (1993,1995), „Literatura” (1981), „Ład” (1983,1988), „Najwyższy Czas!” (1990-1995), „Najwyższy Czas! - BIS” (1993-1994), „Nowy Świat” (1991-1992), „Poradnik Handlowca” (1994), „Przegląd Tygodniowy” (1990, 1991, 1993), „Tygodnik Demokratyczny” (1989), „Wprost” (1991-1992).

## Spis treści

U progu wolności

Ludzie myślcie - to nie boli!

Europa

Polityczne priorytety

Ostrzegam!

Bezpieka socjalna

Bomba odbezpieczona

Tygrys i kobiety

Lewy obrońca

Konsumentki

Związki

1111 kapitanów

Ziemia

ONZ

Rozpad

Gorzkie prawdy

Demogerontokracja

Czeczenia

Pluszowy miś

Wolność czy niepodległość?

Wiara

Manifest reakcji

Kapitalizm? Jakie to piękne!

Być kapitalistą

Niskie podatki

Optymalny system podatkowy

Wysokie ceny

Bieda

Pieniądz łagodzi obyczaje

Życ na własny rachunek  
Eksport dla króla Prus  
Interes narodowy  
Do roboty!  
Jak dzielić  
Plon planu  
Witte i Wałęsa  
Kara śmierci: dlaczego jestem za?  
Krew na ulicach  
Personifikacja  
Uwaga: faszyzm!  
Literaci  
„Zieloni” i „niebiescy”  
Dziennikarze  
Znow 3 maj...  
Telekomunikacja  
Wojsko nieco odnowione  
Gorzalka  
Skończyć z narkomanią!  
Jak zostać komunistą?  
Od autora  
Posłowie

Chcesz dowiedzieć się więcej?

CZYTAJ

ogólnopolski tygodnik prawnicowy

PISZEMY O WSZYSTKIM, CO INNI

WOLĄ POMINAĆ MILCZENIEM

LUB ZNIEKSZTAŁCIĆ